Pascal

PORADA DA RADĘ

Tanie latanie

Jakub Porada

tvn

warsaw modlin airport

Czy wiesz, że można oblecieć Europę za kilkadziesiąt złotych? A wakacje mogą trwać cały rok? Wystarczy dzień lub dwa dni wolnego i co tydzień możesz ruszać w nową podróż. Czasami nie ma co liczyć na wygody, ale zawsze jest bardzo ciekawie. I na pewno możesz sobie na to pozwolić. Przeczytaj, poleć i przekonaj się, że Polska to drogi kraj. Wakacyjny urlop to piękna rzecz. Ale jeszcze piękniejszy jest urlop CO TYDZIEŃ.

Jakub Porada

PORADA DA RADĘ

Tanie latanie

FOTOGRAFIE
Hanna Jewsiewicka

Autor: **Jakub Porada**
Tytuł: **Porada da redę**
Redakcja: **Ewa Kosiba**
Korekta: Katarzyna Zioła-Zemczak
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Zdjęcia na okładce: Tomasz Banasik, Photographybabak/Dreamstime.com, Lindenblade/Dreamstime.com, Daniel Chrobak
Zdjęcia: **Hanna Jewsiewicka, Jakub Porada, Dreamstime.com Tomasz Banasik**
Fotoedycja i opisy zdjęć: **Hanna Jesiewicka**
Redakcja techniczna:
Koordynatorzy projektu: *Kamila Trusiewicz, Małgorzata Jasińska-Kowynia, Łukasz Wolak*
Redaktor naczelna: **Agnieszka Hetnał**

Copyright © Jakub Porada
Copyright for this edition © Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
Inspirowane serią nadawaną w **„Dzień Dobry TVN”**

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
www.pascal.pl
pascal@pascal.pl

Bielsko-Biała 2014
ISBN 978-83-7642-342-5

eBook redaktor i konwersja: **Dominik Trzebiński Du Châteaux**
atelier@duchateaux.pl

ZAMIAST WSTĘPU

SŁOWA LOTNE I ULOTNE

Podróż za grosze. Wolność, nieskrępowana grubością portfela i limitem kilometrów. Któż o tym nie marzy? Nieprzypadkowo większość ludzi pytanych, co by zrobili z olbrzymią wygraną w lotto, powtarza jak mantrę, że oprócz kupienia dobrego samochodu i domu, ruszyłaby w podróż dookoła świata. Ale tak jak w lotto wygrywają nieliczni, tak marzenia oparte na kruchych podstawach najczęściej przegrywają z prozą życia. Brak pieniędzy? Być może. Brak odwagi? Na pewno.

Ciekawe, że nie brakowało jej w czasie wakacji za młodu. Wakacyjne wspomnienia, które przechowujemy w zakamarkach pamięci, są dowodem na to, że był czas, kiedy mogłeś, drogi czytelniku, ruszyć w najdalszą podróż bez oglądania się na trudy wyprawy. Co się z tobą stało? Spoważniałeś, czy nie

masz czasu? A może po prostu boisz się, że cię na to nie stać? Miło jest powspominać, jak to kiedyś hulało się pod namiotami. Znacznie mniej przyjemnym uczuciem jest zakończenie takich wspomnień brutalnymi słowami: „było, minęło”.

Nieprawda. Nie minęło.

Jeśli chcesz, możesz wrócić do tego okresu – to nic, że inna rzeczywistość. Wiadomo, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, ale czy kąpiel jest przez to mniej przyjemna? Oczywiście, że nie. I wcale nie oznacza uszczerbku na życiu rodzinnym czy zawodowym. Wręcz przeciwnie – daje większego kopa do zmierzenia się z nim po powrocie. Jesteś wyluzowany, pewny siebie, pachnący przygodą i przyciągający innych do siebie. Tryskasz energią i dowcipem, a opowiadane przez ciebie historie znajdują kolejnych naśladowców, którzy chcą iść w twoje ślady. Oni dopiero się uczą, a ty już jesteś szczęśliwym człowiekiem, jak po orzeźwiającej kąpieli. Wystarczy tylko się zanurzyć. A to jest bardzo proste. I udowodnię to czarno na białym.

Nie wierzysz? Bo nie wiesz. A kto nic nie wie, musi wierzyć wszystkiemu. Dostaniesz jednak dowody. Dzięki tej książce dowiesz się, w jaki sposób otworzyć się na świat za niewielkie pieniądze. Takie, na których wydanie możesz sobie pozwolić. Po prostu za małą kasę.

Myślisz, że mówię o kilku tysiącach? W końcu określenie „mała kasa” dla każdego oznacza co innego. Nie, takich przykładów tu nie ma. To może za tysiąc? Też nie. Przecież to spory wydatek, a chodzi o to, żeby podróżować często i bez uszczerbku dla domowego budżetu.

No to za ile? 500 zł, 300 zł, 250 zł?

Odpowiem w następujący sposób:

Jeździsz czasem do Krakowa? Albo do Poznania czy Gdańska? Na pewno. A zdarzyło ci się spędzić weekend na Mazurach lub nad morzem? Pojechałeś poza urlopem na imprezę, zjazd klasowy czy wyjazd integracyjny? Nocowałeś tam? Żywiłeś się na mieście? Jeśli na któreś z pytań odpowiedź brzmi „tak”, udowodnię ci, że możesz to samo zrobić w dowolnym miejscu w Europie.

ZA TYLE SAMO ALBO TANIEJ.

Tak, taniej, bo choć za granicą pewne rzeczy są droższe, inne kosztują mniej, więc opłaca się i mieszkać, i zwiedzać, i robić zakupy. A po powrocie opowiadać o tym w szkole lub w pracy. Dzielić się tą wiedzą, żeby inni też mogli skorzystać. Tak jak ktoś podzielił się ze mną i sprawił, że opadły mi nie tylko klapki z oczu, lecz także łuski z serca.

Zakochałem się w podróżach do tego stopnia, że teraz tydzień w jednym miejscu to dla mnie za dużo. A po dwunastu latach spędzonych w studiu TVN24 stwierdziłem, że muszę wyjść na powietrze. Tak jak robiłem to za młodych lat, gdy jeszcze nie wiedziałem, że będę dziennikarzem. Przeszedłem przemianę i już nie muszę tylko wspominać. Mogę czynnie tworzyć proces, który pachnie rewolucją. I wzywam do niej każdego, kto czuje, że chciałby pokazać dziewczynie, żonie, mężowi, dzieciom, ale przede wszystkim sobie, że można cieszyć się życiem, a świat jest w zasięgu ręki. I kilku kliknięć myszką. Dlatego korzystam z każdej okazji, żeby podróże propagować, przeprowadzać, przeżywać, w ogóle robić wszystko, co zaczyna się na P.

Z tego samego powodu pewnego dnia wystąpiłem w *Dzień Dobry TVN*, który to program był właśnie poświęcony tej kwestii. Krótko wcześniej odkryłem, że jeśli dobrze przyjrzę się promocjom, to w wolny dzień mogę wyskoczyć do nieznanego miejsca za złotówkę. I to nie przysłowiową. Okazało się, że istnieją bilety tak tanie, że aż opłaca się nawet za nie NIE jechać. A jeszcze bardziej pojechać, bo frajda jest nieziemska. Mistrzowie latają do Fezu w Marrakeszu na sok pomarańczowy, który kosztuje niecałe 2 złote, a za kilkadziesiąt minut wracają do kraju. Piłem ten sok, jest znakomity, ale w każdej podróży mam ambicję, żeby zaliczyć trochę kultury i nieco chałtury. Nigdy nie przepuszczam okazji, by odwiedzić ciekawe muzeum i spenetrować sklep z ciuchami. A to wszystko dzięki tanim podróżom. Po co przepłacać, skoro można to mieć za mniejsze pieniądze? Obiad w Budapeszcie za 14 złotych, stół szwedzki w Glasgow za 25 zł, ciuchy na Sardynii za 18 zł czy muzea w Londynie za darmo. Kusząca perspektywa.

Dlatego tak mi zależało w programie, żeby opowiedzieć i o „ucieczkach” z nastoletnich czasów, i „ucieczkach” jako duży chłopiec, kiedy budzi się potrzeba pójścia w świat, żeby przeżyć reset. Wypić warsteinera za jedno euro przed tureckim sklepem w Berlinie, przejechać się kolejką za 40 koron w największym szwedzkim lunaparku w Göteborgu, poczytać książkę na plaży Ada Ciganlija w Belgradzie.

Zależało mi także, żeby jak najwięcej osób wiedziało o możliwości przemieszczania się z pozoru najdroższym środkiem transportu, który, o dziwo, okazuje się najtańszy. Nie przejęzyczyłem się – samolot to najoszczędniejsza forma podróżowania. I najszybsza. W dwie, trzy godziny jest nas w stanie przenieść zarówno na daleką Północ, jak i na krańce Afryki. I mam na to dowody. Zdziwienie rozmówców – bezcenne. Za wszystko inne można zapłacić kartą Visa albo MasterCard.

Tak się złożyło, że moje wynurzenia usłyszała Hania Jewsiewicka, przedsiębiorcza reporterka o dużym zmyśle organizacyjnym. Zadzwoniła do mnie po emisji programu i przedstawiła propozycję, której nie mogłem odrzucić.

– Pokażmy to w kamerze. Podróż za grosze, miejsca, które warto odwiedzić, wszystko, co dowodzi, że każdy może w ten sposób zwiedzać świat.

Czy można było wymyślić lepszy sposób głoszenia rewolucji? Dlaczego nie zaprezentować czarno na białym, że co tydzień da się wyskoczyć na kawę do Szwecji albo zwiedzanie muzeum do Liverpoolu? Hania nie musiała mnie przekonywać. Obawiałem się jedynie, czy uda się przedstawić cały proces kupowania i podróżowania w jednym felietonie?

Dało się.

Dzięki koronkowej robocie na montażu Pawła Kielara okazało się, że każdy odcinek zmienia się w dobre sensacyjne kino, a akcja rozwija się z szybkością rollercoastera. To również zasługa zdjęć Krzyśka Poczopki, który potrafi dźwigać kamerę jak żołnierz piechoty karabin maszynowy, Tomka Szymoniuka, składającego się do ujęcia z szybkością, której pozazdrościć mu może Chuck Norris, Piotrka Siwka, umiejącego tak skadrować

drzwi od stodoły, że wyglądają na Wrota Niebios, oraz Wojtka Filipczaka, który oprócz zawodowych fotek dał mi dowód na to, że jest ktoś, kto pali więcej ode mnie. Razem stworzyliśmy drużynę. A ja zostałem jej Frodem.

Zaczęliśmy podróżować niemal co tydzień, łącząc dziennikarską robotę z zaangażowaniem pasjonatów. Staraliśmy się latać przynajmniej dwa razy w miesiącu. Zawsze tam, gdzie nas jeszcze nie było. Zawsze tam, gdzie jest tanio. Ta książka to właśnie zapis wypraw w trakcie jednego sezonu. Po nim przyszły kolejne. Mam nadzieję, że pojawią się też następne inspiracje dla ciebie w wersji papierowej. Tak jak przychodzą dla nas.

Nie zobaczyliśmy jeszcze wszystkiego. Całe szczęście. Za to poznaliśmy schemat i sposoby umiejętnego przygotowania podróży, żeby jej koszt był najniższy z możliwych. Ta wiedza czeka na ciebie na kolejnych stronach. Korzystaj z niej i podróżuj – sam, z dziewczyną, chłopakiem, przyjaciółmi. Nie tylko się uzależnisz, lecz także wcale nie będziesz chciał się leczyć.

A zatem nie zwlekaj i szykuj się do podróży.

Wciąż nieprzekonany? Nie dziwię się, to wygląda zbyt kolorowo.

To też normalne, tak reaguje 99 procent ludzi.

– Tanie loty? Za kilka złotych? Akurat, chyba we śnie. Po doliczeniu opłat wyjdzie drożej niż linią regularną.

Milion razy odpowiadałem na te pytania. Znam te teksty na pamięć. Mało tego – sam tak mówiłem, kiedy pierwszy raz usiadłem, by wyszukać przelot z Warszawy do Anglii. Szukałem i nic nie mogłem znaleźć. „Gdzie te ceny? – powtarzałem. – Przecież tu jest jakiś kosmos”. W końcu poszedłem do biura ajenta i kupiłem przelot do Londynu za ponad tysiąc złotych. Dlatego przypominając sobie swoje niedowierzanie, jestem gotów tłumaczyć kolejnym zainteresowanym do upadłego. Przed podaniem konkretów zachęcam jednak do uspokojenia emocji.

Po pierwsze: odrzuć uprzedzenia!

Kiedy w *Dzień Dobry TVN* pojawiły się pierwsze relacje z podróży, najczęściej pojawiające się komentarze na forach dyskusyj-

nych brzmiały:

„Jak to możliwe, że bilet kosztuje tylko złotówkę? Przecież to nielogiczne. To jakaś ściema. Na pewno ostateczna cena jest wyższa”.

„Szukałem i szukałem i nic nie znalazłem. Ceny wyglądają dobrze tylko w reklamie, w rzeczywistości okazało się, że lepiej lecieć linią regularną. To nie jest zabawa dla oszczędnych. Ściema na bank”.

Oszustwa nie ma, bo niektóre bilety kosztują złotówkę, a inne kilkaset złotych. Przewoźnik na jednych biletach traci, ale na innych zyskuje z nawiązką. Zadaniem podróżnika jest przede wszystkim odnieść korzyść. Poza tym tanie linie dostają haracz od lotnisk za to, że łaskawie decydują się na nich lądować. W przypadku Ryana jest to nawet kilka milionów złotych rocznie. Opłaca mu się latać z pustym samolotem. Nie twoje zmartwienie – nawet lepiej, bo masz szanse na trzy miejsca w cenie jednego.

Po drugie: nie myśl, że to jest trudne!

Wystarczy spełnić zaledwie kilka warunków, żeby nauczyć się, jak wyszukiwać tanie połączenia. A na dodatek proces ten nie jest skomplikowany, wręcz przeciwnie, zaczyna pasjonować. To tak jak z prawem jazdy – osobie, która nigdy nie siedziała za kółkiem, jego zdobycie może się wydawać ciężkim zadaniem, ale wystarczy, że ma dobrego nauczyciela, a po krótkim czasie prowadzenie samochodu staje się przyjemnością. W najgorszym wypadku okazja ucieknie ci sprzed nosa. Znajdziesz jednak kolejną.

Po trzecie: nie bój się i nie denerwuj!

Jeśli nawet teraz żachniesz się i pomyślisz sobie: „Jak ten Porada śmie, ja się boję? Bzdura. Nie takie rzeczy się robiło”, posłuchaj, co dokładnie miałem na myśli. Wielu podróżników już na starcie rezygnuje, bo obawia się nieznanego miasta. Zwłaszcza mając problemy językowe. W Polsce koniec języka za przewodnika, za granicą – niekoniecznie.

Płonne obawy. Oczywiście znajomość języka pomaga i nie jest to żadne odkrycie Ameryki, ale często podróżuję do krajów frankofońskich, gdzie z nikim nie mogę się dogadać, bo cała moja znajomość francuskiego ogranicza się do półsłówek. W Holandii nie umiałem wymówić poprawnie nazwy ulicy, więc pokazałem kierowcy kartkę z wydrukowanym adresem, w Paryżu rozkładałem ręce jak strach na wróble, pytając ludzi, czy pociąg do danej stacji odchodzi z tej strony czy z drugiej. Z kolei w republikach nadbałtyckich można na upartego dogadać się po polsku. Podobnie jak na Bałkanach. W Serbii i Bośni próbowałem tego wielokrotnie, za każdym razem z dobrym skutkiem. Nie pamiętałem słówek, ale nie zapomniałem języka w gębie. I o to chodzi.

Każdą sprawę da się jakoś załatwić. Nikt się nie będzie z ciebie śmiał. Musisz tylko uwierzyć, że to jak z pływaniem – dopóki nie wejdzie się do wody, dopóty można szusować po piasku, ale zamiast łyknąć słonej piany z glonami, udławisz się muszelką. A ty masz być jak Adam Małysz przestworzy. Nie zawsze wygrywał, ale zawsze robił wszystko, by ten cel osiągnąć.

Dzięki temu podróżowanie daje jeszcze jedną rzecz, niemal równie bezcenną jak możliwość poznania życia w innych rejonach, a mianowicie umiejętność radzenia sobie w nieznanym miejscu. Szkoła latania łączy się ze szkołą życia.

I wreszcie po czwarte: nie bój się wydatków na miejscu.

Wspominałem, że w wielu krajach ceny są wyższe niż w Polsce, ale też masa towarów kosztuje mniej niż u nas. Nie mówiąc o zarobkach. To jest tzw. efekt cappuccino, którym podpierają się ekonomiści. A straszenie nim zostawmy politykom. Niech się biorą za łby, żeby dostać się na Wiejską czy do Brukseli. Cytując bohaterów Maklakiewicza i Himilsbacha z *Wniebowziętych*, my lecimy dalej. Zresztą zawsze można zajrzeć na stronę **www.cenynaswiecie.pl**, gdzie podawane są ceny produktów w dowolnym kraju, i zestawić je z polskimi realiami.

Jeśli doczytałeś do tego miejsca i oburzenie zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeczytaj jeszcze jedno, najistotniejsze zdanie, które mnie, faceta po czterdziestce, popchnęło do podróżowania tak często, jak to możliwe.

To nie jest przewodnik turystyczny. W każdym razie nie w klasycznym rozumieniu. To przewodnik po wolności. Wolności podróżowania. Dla wszystkich, bez względu na wiek i stan posiadania. Nie każdego stać na wyprawę za kilka czy kilkanaście tysięcy, każdy natomiast może wydać od kilku do kilkunastu złotych. My zaczęliśmy latać od września, ty możesz na przykład od października. Albo od marca. Kiedy ci pasuje. Ta książka jest dla ciebie tylko ściągawką.

Brzmi patetycznie, ale to nie przesada. Jako obywatel kraju, w którym przez pierwsze pół życia musiałem mieć specjalny paszport, żeby wyjechać do krajów kapitalistycznych, a przez drugie zbierałem pieniądze, by raz w roku wyrwać się do Bułgarii czy Egiptu, wiem, co to znaczy tęsknota za wolnością.

Pamiętasz, ile miesięcy zostało ci do wymarzonego urlopu? I kiedy będziesz miał następny? Ja ci go proponuję nawet co tydzień.

Anglosasi ukuli na takie wyjazdy specjalne pojęcie: *citibreaks*. Brzmi nieźle, ale strasznie korporacyjnie. A mnie zależy na tym, żeby właśnie poczuć się z dala od wszelkiej korporacyjności. Świat zna odpowiedzi na wiele pytań. Jeśli będziemy wiedzieli, jak je zadać, staniemy się pod każdym względem bogatsi.

Dobra, więcej nie nudzę. Podsumowując, z tej książki dowiesz się między innymi:

– jak szukać i kupować tanie bilety;

– jak omijać pułapki zastawiane przez przewoźników, którzy za wszelką cenę chcą namówić cię do wykupienia dodatkowych usług;

– jak się pakować, przygotowując się do krótszej i dłuższej podróży, żeby nie przekroczyć limitu bagażu i nie przepłacać na lotnisku;

– w jaki sposób znaleźć nocleg w korzystnej cenie;

– jak zwiedzać za darmo, a jeśli to czasem niemożliwe, przynajmniej jak nie przepłacać;

– jak jeść, modlić się i kochać, nawiązując do słynnego filmu z Julią Roberts (kochać podróże i kochać taki styl życia).

Nie zwlekaj zatem i pakuj się. W końcu, jak mawiał święty Augustyn, świat jest książką, a ci, którzy nie podróżują, czytają tylko jedną jej stronę. Ach, nie wiesz jeszcze, jaki bagaż wybrać. Ani jak go zapakować, by zawierał wszystko, co potrzeba, a jednocześnie zajął jak najmniejszą przestrzeń. Czytaj zatem dalej, a po lekturze zaczniesz działać.

I pamiętaj: nie sztuka wydawać pieniądze, jak się je posiada. Jeśli nie brakuje ci kasy, to znaczy, że masz za mało wyobraźni. A poza tym podróż to jedyny zakup, który czyni cię bogatszym. To moje słowa lotne i ulotne na początek twojej podróży. Bo Porada da radę. I ty też możesz.

Wysokich lotów.

Jakub Porada

JAK BYĆ ZALATANYM

CZYLI JAK TANIO PODRÓŻOWAĆ?

Częste podróże diametralnie zmienią twoje postrzeganie świata. Nie wywrócą jednak życia do góry nogami. Moje propozycje zawarte w tej książce to wypady w granicach dwóch, trzech godzin lotu. Jakbyśmy jechali pociągiem na wycieczkę z Warszawy do Krakowa. Przelot będzie dłuższy, jeśli nie uda ci się znaleźć dobrej ceny na samolot, jednak i wtedy wyrobisz się w weekend i nie będziesz musiał prosić szefa o urlop albo martwić się o to, z kim zostawić kota. Wiem, co mówię, bo urlop zachowuję sobie na czas wakacji, a mój kot akurat spokojnie zostaje na dwa dni, mając zapas jedzenia i picia oraz czystą kuwetę.

Takie wycieczki nie zrujnują nam budżetu, a przede wszystkim nie okroją urlopu. Umówmy się, że trwają najkrócej jeden dzień, a maksymalnie trzy. Zatem w najdłuższym przypadku można polecieć w piątkowy wieczór po pracy i wrócić w poniedziałkowy ranek przed pracą. Albo powtórzyć ten sam wariant w środku tygodnia, jeśli ktoś pracuje w innym systemie. Nawet lepiej, bo wtedy łatwiej zdobyć bilet na połączenie – urzędnicy są w pracy, a studenci na studiach.

Niektóre wyjazdy zawierają cenę noclegu, w innych nocowanie jest gratis. Wszystko zależy od sumy kosztów. I planowania.

To trochę jak z koleją. Jeśli mam zamiar jechać pociągiem, staram się nigdy nie wybierać InterCity – ma najwyższe ceny i najczęściej się spóźnia. Wolę jechać Przewozami Regionalnymi, czyli dawnymi pośpiesznymi, które ceny mają najniższe i prawie zawsze są punktualne. Minusem jest to, że jadą kilkadziesiąt minut dłużej niż ekspresy, za to oferują darmowy Internet, czego nigdy w dwójce InterCity nie uświadczyłem.

To jest przykład planowania. Nawet w trakcie banalnej z pozoru podróży z Warszawy do Katowic staram się sprawdzać i porównywać ceny, używając aplikacji Bilkom, którą wgrałem do telefonu. Korzystam też ze stron poszczególnych przewoźników: **www.przewozyregionalne.pl** i **www.intercity.pl**, ale raczej po to, żeby zobaczyć, czy nie ma jakiejś promocji. O tym, jak ważna jest wiedza o niej, niech zaświadczy proste ćwiczenie.

Wybierz w Internecie połączenie z Warszawy do Berlina i porównaj cenę z tym samym połączeniem, na ten sam pociąg, ale ze strony Deutsche Bahn: **www.bahn.com/i/view/POL/pl/index.shtml**. Niemiecka strona, po wybraniu polskiej wersji językowej, powinna ci zaoferować trasę o około 100 zł tańszą. Im się opłaca wieźć pasażerów za mniejsze pieniądze, polskim kolejom – nie bardzo.

Zastanów się, czy chcesz płacić więcej, czy mniej? I zdecyduj.

Powyższy przykład stanowi esencję rozumienia, jak działa podróżniczy biznes. Jeśli nie zależy ci na pieniądzach, wybierzesz najdroższy ekspres – kto bogatemu zabroni? Nie ma to jak płacić podwójnie, i podróżować jeszcze dłużej… Jeżeli jednak

mądrze zaplanujesz trasę, wsiądziesz do pociągu Twoich Linii Kolejowych (TLK) i zbijesz koszty, co najmniej o połowę. Być może ruszysz jedną z tras autobusowych, kupując bilet w promocji za złotówkę? Albo dosiądziesz się do innego kierowcy, dorzucając mu się do benzyny? Są takie strony, coraz bardziej popularne, choćby **www.blablacar.pl**.

Wszystko można kupić po najwyższych kosztach. Ale jak mawiał Ryszard Ochódzki z *Misia*: „Nie bądźmy Pewexami". W oszczędnym podróżowaniu dla każdego chodzi o to, żeby zdobyć bilet!

No właśnie: zdobyć. Czyli jak działać sensownie i szybko, aby mieć satysfakcję z udanych zakupów? To jest mur, o który rozbija sobie głowę najwięcej chętnych. Słomiany zapał równie szybko ustępuje miejsca rezygnacji. Znów padają zniechęcające stwierdzenia:

– nie mogę nic znaleźć;

– nie wiem, jak kupić bilet w Internecie, a bez tego przecież nie rozpocznie się żadna podróż;

– nie ma tanich biletów, wszystko to ściema i wina Tuska.

Może jego, a może nie. Kompletnie mnie to nie obchodzi. Ja po prostu wiem, że na początku wszystko wydaje się bardzo skomplikowane. Jednak po pierwszym przejściu procesu rejestracyjnego okazuje się, że nie święci garnki lepią. Jeśli ja mogłem przebrnąć zawiłości, może to zrobić każdy. Hania też dała radę i śmiga po stronach przewoźników z zamkniętymi oczami. Potrafi znaleźć promocję nawet z rocznym wyprzedzeniem. Robi cuda samymi palcami dłoni. Warto brać z niej przykład. I ze mnie oczywiście, bo ja też mam zwinne ręce.

A zatem bez obaw – pomożecie? No to zaczynajmy.

Na początek, gdzie szukać informacji o tanich połączeniach? Poniżej przestawiam listę stron, z których najczęściej korzystam:

– **www.mlecznepodroze.pl**
– **www.fly4free.pl**
– **www.loter.pl**.

Tam właśnie znajduję najważniejsze informacje o promocjach na bilety. Jak w każdych mediach, strony rywalizują między sobą i podkradają sobie wzajemnie newsy. Nie trzeba zatem sprawdzać wszystkich po kolei. Możesz odetchnąć – sam sobie wybierzesz portal, który wyda ci się najbardziej przyjazny.

Warto jednak zaglądać na fora internetowe podpięte do konkretnych podróży. Tam kryje się prawdziwe bogactwo informacji, pozwalające zaoszczędzić fortunę. Jak przetrwać w miejskiej i wiejskiej dżungli, czyli jak przeżyć dzień w piekielnie drogiej Norwegii? Jak wygląda nocleg na lotnisku, zwłaszcza że niektóre są przecież zamykane na noc? Gdzie znaleźć darmowy Internet, a gdzie rogalik za grosze?

Moc pożytecznych informacji pozwala uzupełnić trasę o najtańszy dojazd do miasta lub nocleg. To będzie twoja biblia, której, tak jak oryginał, nie musisz czytać od deski do deski. Wystarczy, że przyjrzysz się lokalizacji i sprawdzisz, jakim transportem dojechać do centrum, gdzie się stołować na mieście i chłonąć wszelkie ciekawostki, które mogą się przydać w trakcie podróży.

Zanim to jednak nastąpi, musi być początek.

BJN, czyli Bilet Jest Najważniejszy.

Bez niego nie ma sensu planować dalej. A on leży i czeka, na dodatek w dobrej cenie. A właściwie czekał, bo cena przelotu nigdy nie jest stała i zmienia się w zależności od dnia i godziny. Kupowanie przypomina trochę giełdę, na której panuje nieustanny ruch. Hossa i bessa mieszają się z kolejnymi ogłoszeniami o zakupie i sprzedaży. Dlatego przeczytanie newsa o obniżce cen biletów do Londynu dwie godziny po jego opublikowaniu jest jak musztarda po obiedzie. Zdarzało się, że kupowaliśmy z Hanią bilety w tym samym czasie na dwóch laptopach i jej się udawało, a mnie system odrzucał, po czym, po ponownym zalogowaniu się, okazało się, że cena skoczyła o 100 procent. W ten sposób za przejazd do Liverpoolu i z powrotem zamiast 44 złotych zapłaciłem ponad 80. To i tak genialna cena, ale jednak żal serce ściska, bo za te 40 złotych miałbym chiński bar *all inclusive*. Szukanie tanich biletów uzależnia. Mógłbym

mieć miliard dolarów na koncie, a i tak chętnie łapałbym okazję. To jak z zakupami. Lepiej się czujemy, kiedy widzimy dawną cenę przekreśloną na nową, obniżoną o kilkadziesiąt procent.

Oczywiście zawsze może się znaleźć oferta miesiąca, jak w Alitalii w październiku 2012 roku, kiedy to linia wrzuciła masę połączeń z rabatem wynoszącym aż 1000 złotych. W rezultacie jeśli ktoś brał termin na trasy europejskie, znacznie tańsze przecież od zagranicznych, mógł zarezerwować bilety za zero złotych.

Minusem był fakt, że promocja obowiązywała tylko na stronie japońskiej, co w normalnej przeglądarce stanowiłoby barierę nie do pokonania. Nikt nie byłby w stanie przebrnąć przez gąszcz „krzaczków". Dlatego niezwłoczne było skorzystanie z Firefox albo Google Chrome. Tylko te przeglądarki radziły sobie z symultanicznym tłumaczeniem. Cóż jednak z tego, skoro kilka minut po pojawieniu się wiadomości strona odmówiła posłuszeństwa. Kto zdążył na sam początek, wygrał, kto się spóźnił, spędził bezsenną noc przy komputerze. Bywa i tak. To samo działo się w trakcie wielkiej promocji Przewozów Regionalnych, które pod koniec 2013 roku wrzuciły całą pulę biletów kolejowych od złotówki. Mimo że wiedziałem o akcji, nie dałem rady zalogować się przez pierwsze trzy dni, tak wielu było chętnych. Ponieważ jednak nie miałem wielkiego parcia, spokojnie poczekałem, aż serwer zacznie odpowiadać, i w końcu kupiłem bilet do Poznania za 9 złotych.

Trzeba działać szybko i zdecydowanie. Ale i wytrwale.

Na początku wchodziłem na lotnicze strony kilkanaście razy dziennie. Potem jednak stało się to nie do zniesienia, nie umiałem się skupić, wszystkie myśli biegły do portali. Co chwila sprawdzałem, czy nie pojawiła się nowa promocja, a i tak zgodnie z prawem Murphy'ego posty umieszczano wtedy, gdy akurat zajrzeć nie mogłem. Musiałem zmienić metodę, bo sam zacząłem się niebezpiecznie zmieniać w podróżniczego maniaka internetowych zakupów.

Stwierdziłem, że najlepszą metodą będą newslettery.

Wystarczy stworzyć profil i wiadomości same trafią do skrzynki. Zysk jest podwójny – jako że kilka lat temu zsynchronizowałem sobie maila z komórką, wiem o każdej promocji, decyduję też, czy jestem nią zainteresowany. Jeśli nie, wystarczy taką wiadomość wykasować, na pewno niczego wam nie zaśmieci.

Poza tym, z tego samego powodu, mogę niezwłocznie podjąć działania. A szybkość jest priorytetowa. Samolotu nie zrobiono z gumy, a amatorów lotu za kilka złotych nie brakuje. Podobnie jest z autobusem i pociągami. Oczywiście, bywa to frustrujące, jeśli czytam o kolejnej puli biletów za złotówkę, a prowadzę samochód albo stoję w ogonku do kasy. Przekonałem się jednak, że nawet dużo później, kiedy dotrę do domu albo do pracy, wciąż znajduję ciekawe oferty. Czasem są trochę droższe, bo za złotówkę klienci biorą w ciemno, ale już za kilkanaście złotych stają się ostrożniejsi. Mimo to, dalej mi się opłaca. Podobnie jak wertowanie Internetu.

Te trzy strony, które powinieneś już sobie zalinkować w komputerze, to początek, z pewnością jednak dorzucisz do nich kolejne. Ja zaglądam również na:

– **www.pasazer.com**
– **www.lotnictwo.net**
– **www.fru.pl**

Mimo że powyższe strony są poświęcone przede wszystkim zagadnieniom z dziedziny awiacji, zawierają także ciekawe opisy. To gratka dla większych pasjonatów, choć również łowcy okazji znajdą tam coś dla siebie. Na ostatniej z nich, w zakładce „Promocje” mam gotowce, czyli zaznaczone trasy z podaniem terminu i ceny. Nie kupuję tu, ale zapisać na kartce nie zaszkodzi. Mogą się przydać, czasem nawet po miesiącach. No i podobnie jak w poprzednim rzucie, także w przypadku tej triady warto czytać fora.

– W jaki sposób zapłacić kartą?
– Jak sprawić, żeby cena dalej była niska?

Każde pytanie, które przychodzi wam do głowy, zostało już przez kogoś zadane. Chwila poszukiwań i na pewno znajdzie się

odpowiedź. Jeśli nie, warto umieścić pytanie, jako swoje. Użytkownicy pozornie są chętni do pomocy i pozornie dzielą się wiedzą z narodem. Kiedy jednak przyjdzie do konkretów, szybko się irytują i zaczynają się obawiać, że udzielanie zdobytych informacji każdemu wcale nie jest takie dobre. W końcu tanich biletów jest określona liczba i jeśli wszyscy zaczną z nich korzystać, niepotrzebnie robi się konkurencję. Na szczęście przeważa jednak próżność ludzkiej natury i chęć bycia nauczycielem. „Patrzcie, jak latam, zazdrośćcie mi". Na tej próżności można, a nawet trzeba skorzystać.

Idźmy dalej. Kiedy już wgryziesz się w świat lotniczych promocji i opisów przygód tych, którzy na lataniu zjedli zęby, rozszerz swoje horyzonty. Ciekawie potrafią zaskoczyć również:

– **www.gorest.pl**

– **www.supertanielatanie.pl**..

– strony z biletami czarterowymi dużych biur podróży, jak TUI czy ITAKA.

Poza sezonem wakacyjnym znajduję tam często oferty przelotów po nieprzyzwoicie atrakcyjnych cenach. Szczególnie kusi mnie Maroko za niecałe 300 złotych w obie strony – tyle trzeba zapłacić za InterCity ze stolicy do Poznania i z powrotem. Sprawdzaliśmy z Hanką hotele w centrum Marrakeszu i okazało się, że kosztują około 80 zł od osoby, czyli mniej niż w Poznaniu. Im częstsze szukanie i sprawdzanie, tym większe prawdopodobieństwo, że łup będzie okazały.

Zacznij od dziś, wyrabiając sobie nawyk poszukiwacza. Dodatkowo odwiedzaj fanpage na Facebooku, z których korzystam jak z potężnego narzędzia do komunikacji. Jest tam zarówno strona „Tanie loty", aktualizowana kilkanaście razy dziennie, jak i walle poświęcone poszczególnym lotniskom. Wyróżnia się Silesia, promująca transport pomiędzy lotniskami w Krakowie i Katowicach a Czechami. To nieprzebrane źródło informacji, nie lekceważ go.

Wreszcie grupery i groupony – wszystkie strony poświęcone okazyjnym zakupom. Często w wolnej chwili przeglądam „lasty" i „musty" w poszukiwaniu fajnego noclegu, zwłaszcza

ze śniadaniem wliczonym w cenę, bo ciężko mi się obudzić bez porannej kawy. Wiele razy korzystałem z takich ofert. Oprócz biletów *last minute* śledzę również promocje noclegowe, zarówno za granicą, jak i w kraju. Nienawidzę przepłacania.

Na razie wystarczy.

Przedstawiłem początek listy, która nie ma końca. Ciągle pojawiają się nowe strony, bo tanie latanie zatacza coraz szersze kręgi. Dlatego spis trzeba spersonalizować – najlepszym sposobem jest rozejrzenie się na własną rękę. Jeśli wpiszesz w wyszukiwarce hasło „tanie loty" albo „tanie latanie", znajdziesz furę odnośników. Na szczęście nie trzeba przeglądać wszystkich.

Uznajmy, że faza pierwsza została opanowana. Kolej na następny level.

Informacje o kierunkach i noclegach już mamy. Teraz trzeba się zająć programami do wyszukiwania tanich biletów – nie załatwią całej sprawy, ale pomogą w pracy. Najpopularniejszy to **www.skyscanner.pl**. Działa w sposób przejrzysty, wystarczy podać datę wylotu i powrotu. Ja często wybieram jako początek trasy „Polska", a koniec – „wszędzie".

W tym programie podoba mi się to, że można zobaczyć ceny biletów na przestrzeni miesiąca, a nawet roku. Łatwiej wtedy wybrać najtańszy termin. Irytuje jednak fakt, że uwzględnia on zaledwie kilka linii, a co gorsza, często cena w rzeczywistości różni się od tej wyświetlonej na ekranie. Niejeden raz skuszony klikałem pośpiesznie stronę przewoźnika, żeby z rozczarowaniem stwierdzić, że dane dawno są nieaktualne. Dlatego na początku korzystałem z niego codziennie, teraz sporadycznie. Gdy przylot do danego miasta, na przykład Londynu, jest za drogi, wybieram opcję „kraj", w tym wypadku jest to Wielka Brytania, i patrzę, czy nie lepiej podjechać do Bristolu albo nawet Manchesteru.

Drugi program to Azuon. Nie jest darmowy, ale wersja demo wystarczy, żeby znaleźć większość połączeń. Przydaje się szczególnie do wyszukiwania lotów z przesiadką. Na szczęście nie

jest już konieczne wpisywanie co chwila żądanych przez system dodatkowych kodów, zwanych captcha.

Jest jeszcze trzeci system, najprostszy i aż banalny, a jednak zarówno ja, jak i Hanka korzystamy z niego z powodzeniem do kupowania biletów dla całej ekipy.

Przeszukać system bezpośrednio u źródła!!!

Żadnych pośredników, żadnych prowizji płaconych komuś niepotrzebnie. Wszystko, co oferują, można zrobić samemu, przechodząc przez proces rejestracyjny jednej czy drugiej firmy. Na końcu książki znajdziesz dokładny przewodnik, w jaki sposób tego dokonać i na jakie pułapki zwrócić uwagę.

I to się opłaca najbardziej.

Za to pośrednicy, jak **www.fru.pl**, **www.lataj.pl** czy **www.esky.pl**, bardzo się przydają w znalezieniu lokalizacji. Czyli można najpierw wyszukać na wybranych stronach żądany kierunek albo przejrzeć zasoby w interesującym terminie, po czym wejść do systemu taniej linii już z konkretnymi namiarami, spisanymi na kartce, i kupić je bez prowizji.

Ryanair, Wizzair, Easyjet. Jeśli wiem, w jakim terminie chcę polecieć, biorę za punkt wyjścia Warszawę (ty wybierz sobie swoje miejsce zamieszkania) i sprawdzam alfabetycznie: Warszawa – Barcelona, Warszawa – Bruksela, Warszawa – itd. Jeśli znajdę dobrą cenę, wtedy upewniam się, czy powrót jest równie atrakcyjny cenowo i terminowo – w przeciwnym wypadku otwieram drugie okno, z drugą linią. Wtedy składak pozwala mi domknąć podróż. Oczywiście jeżeli nie znam wolnego terminu, również przeszukuję system, a gdy cena bije po oczach, biorę w ciemno, potem będę się martwił, czy uda mi się dopasować wolny dzień. A jeśli mimo najszczerszych chęci nic się nie trafi, wrócę tam jutro. Albo pojutrze. Codziennie jest nowy dzień i nowa cena.

Na koniec jeszcze nocleg.

Tu również jest masa stron. Ja korzystam z **www.booking.com** i **www.trivago.pl** – banalnie prostych w obsłudze i stanowiących bogatą bazę danych. Oferta obejmuje zarówno drogie hotele,

jak i tanie pensjonaty za kilkadziesiąt złotych dziennie. Można płacić kartą albo na miejscu.

Dla miłośników całkowicie darmowego spania istnieje **www.couchsurfing.com**. Ludzie ludziom zgotowali ten los: użyczają bezpłatnie noclegów. Osobiście wolę tanie hotele, bo pasjami bywam samotnikiem i czasem potrzebuję prywatności, ale dobrze mieć taką możliwość.

Tak uzbrojony możesz powoli ruszać na poszukiwania. Proponuję na początek wybrać coś najtańszego, a wniosek generalny brzmi następująco: nie przejmować się. Kup to, co zdołasz kupić, a jeśli jakiś bilet stracisz, nie załamuj rąk. Na pewno uda się następnym razem. W końcu jest tyle miejsc, w których nie postała twoja noga, że kolejność nie ma specjalnego znaczenia.

Mimo to zachęcam do skorzystania z autorskich podpowiedzi, na przykład 12 podróży na 12 miesięcy, zawierających dokładny zapis tego, w jaki sposób odnajdywaliśmy się w nieznanym miejscu, do którego rzuciła nas kolejna promocja. Z adresami, namiarami i konkretami. Jeśli pójdziesz w nasze ślady, wkrótce zaczniesz wydeptywać własne. Potraktuj zatem opisane miejsca jako start do nowego życia – życia w chmurach, nawet jeśli jesteś aktualnie na ziemi.

Idź tą drogą. Bądź zalatanym.

JAK BYĆ ZALATANYM

NA PRZYKŁAD DOKĄD?

Podobno nieoczekiwane propozycje podróży są jak lekcje tańca udzielane nam przez Boga. Przynajmniej tak twierdzi Kurt Vonnegut. Nie zliczę, ile rzeczy można przeczytać w trakcie lotu, ale nawet najdłuższa wyprawa nigdy nie będzie stracona, jeśli odpowiednio wykorzysta się czas.

Osobiście staram się nadrabiać zaległości w lekturze, także Vonneguta, a tablet jest moim przyjacielem. Tanie loty sprawiają, że jestem na bieżąco ze zwiedzaniem, a dzięki PDF-om – na bieżąco z literaturą. A ponieważ tanie linie masowo wcho-

dzą na krajówki, przeloty staną się jeszcze tańsze i częstsze, bo to żyła złota. Wtedy przeczytam chyba całą bibliotekę, czego i tobie życzę. Żebyś z każdego samolotu wychodził bogatszy, niż wchodziłeś.

Najtańsze bilety kupiłem za złotówkę! Niemożliwe? O tym opowiadam w jednym z pierwszych rozdziałów, który poświęciłem podróży do Szwecji. Sztokholm Skavsta był w takiej cenie w okresie zimowo-wiosennym. Tam nagraliśmy jeden z pierwszych odcinków. W jedną stronę polecieliśmy liniami Wizzair, w drugą Ryanair. Łączna cena, do Szwecji i z powrotem, wyniosła zatem 2 złote. I to był koszt ostateczny.

Od wielu miesięcy nie widziałem takiej oferty, ale kto wie, jakie promocje przyniesie przyszłość. Wierzę, że coraz większa konkurencja zachęci przewoźników do ponownych akcji.

Podobnie tanio wyniosła mnie podróż do Brukseli. Bilet na lotnisko Charleroi również kosztował złotówkę. Na siódmego listopada. Kiedy zobaczyłem ten lot, szybko rzuciłem się do obstawiania powrotu. Znowu składak z dwóch różnych linii, tak po prostu wychodzi najtaniej. Znalazłem przelot następnego dnia. Za dwudziestokrotność dolotu.

Za 20 złotych! Wręcz niewyobrażalne.

Zatem razem 21 złotych. I bez kosztów noclegu. Ściślej mówiąc, w sam raz na nocowanie na lotnisku, bo przylot był dopiero około 22.00, i całodniowe zwiedzanie Charleroi. Trochę mało czasu na Brukselę, ale warto przecierać nowe szlaki. Nie było też za wygodnie z uwagi na spanie na ławce, ale po pierwsze, chciałem sprawdzić, czy opis na grupie dyskusyjnej odpowiadał prawdzie, a po drugie, gdybym nie miał siły na takie ekstremum, na bookingu znalazłem bardzo przyzwoity nocleg za nieco ponad 100 złotych w Hotel L'Entrague w oddalonym o sześć kilometrów Gosselieres, do którego na upartego miałem zamiar dojść na piechotę.

W wielu krajach komunikacja czy ubrania kosztują mniej niż w Polsce. Niektóre państwa w ogóle są tańsze niż Polska. Do takich miejsc należą Węgry, i to nie tylko Budapeszt, lecz także Debreczyn czy miejscowości nad Balatonem. Oczywiście można

przepłacić, ale tak jak w Polsce, również tam są hotele różnych kategorii oraz miłe knajpki z wyborną kuchnią i drogie restauracje, nie zawsze warte swej sławy i cennika.

Na Węgrzech działają przyzwoite hotele, w których doba kosztuje poniżej 100 złotych, nawet w centrum Budapesztu. Nie zawsze jest ze śniadaniem, ale przy cenie 10 euro za nocleg, naprzeciwko katedry św. Stefana, zaoszczędzoną kasę można wydać na stołowanie się na mieście. Na Węgry warto lecieć o każdej porze roku, zwłaszcza że podróż trwa tylko godzinę i kilka minut. Pełno tam Hiszpanów, Włochów i ogólnie uśmiechniętych ludzi. I można pić publicznie piwo na ulicy. Nie jest to nagminne, ale dziwi mnie, dlaczego w jednym kraju nie wolno, a w innym wolno kupić alkohol na dworcu. Wszystko jest kwestią umowy. U mnie Węgry zdecydowanie wygrały z Krakowem.

Zgapiłem natomiast Irlandię za 38 złotych. Rozbestwiony sądziłem, że to za drogo – myślałem, że skoro to giełda, będzie jeszcze taniej. Postanowiłem poczekać, odświeżając co kilka minut stronę. Tak długo się wahałem, aż cena podskoczyła. Nie jakoś dramatycznie, ale jednak na tyle wysoko, że stwierdziłem, iż przestała mnie interesować. Nie Irlandia oczywiście, tylko koszt przelotu, z uwagi na fakt, że były inne miejsca do wyboru. Od tamtej pory poluję bardziej drapieżnie i wiem, że zastanawianie się nie jest dobre dla kupującego.

Oczywiście z powodu tanich biletów interesują mnie nie tylko samoloty – także busy dają możliwości poznawania pięknych miejsc za grosze. Od kilku lat trwa rewolucja na polskich drogach, zatem przejazd po dużym kraju, jakim jest Polska, stał się mniej uciążliwy. Poza tym zagraniczni przewoźnicy dostrzegli marazm PKS-u i postanowili zagarnąć rynek dla siebie, z korzyścią i dla klienta, i dla wspomnianego przewoźnika, który przypomniał sobie, że istnieje słowo „promocja”. Trochę późno się obudził, próbując po kilkudziesięciu latach wmówić pasażerom, że jest przyjazną firmą. Ale niech walczy, z pożytkiem dla siebie i innych.

Po spektakularnym pojawieniu się Polskiego Busa następni przewoźnicy ustawiają się w kolejce, a rodzime firmy nie pozo-

stają im dłużne, próbując, jak **neobus.pl** czy **muszkieter.pl**, przyciągnąć klienta za pomocą cenowych prezentów. Jest **albatros.pl** operujący na południu kraju oraz czeski Tiger Express, dowożący z Ostrawy i Pragi do Katowic czy Krakowa. W tym ostatnim mieście ma siedzibę węgierska linia **orangeways.com**, która szaleje po Słowacji i Rumunii, choć natknąłem się w Sieci na sporo krytycznych opinii na jej temat. No i wreszcie estoński Simple Express, dzięki któremu nie tylko poznajemy republiki nadbałtyckie, lecz także możemy dojechać do Berlina, i to szybciej niż Polskim Busem, bo ten ma przystanek w Łodzi, a Simple staje tylko na toaletę w Poznaniu i tuż przed granicą, a średni czas przyjazdu wynosi od ośmiu do dziewięciu godzin, w zależności od tego, czy wysiada się na lotnisku Schönefeld (SFX), czy na Centralnym Dworcu Autobusowym (ZOB).

A ceny?

Wiele tras jest za 5 złotych, czasem za 10, zależy od godziny i terminu. To najbardziej komfortowa jazda. Lepszą ofertę ma tylko Simple Express, ale Polski Bus przygotował więcej połączeń. Rzadko kiedy jest komplet, więc można spać nawet na dwóch siedzeniach. Ja akurat jechałem do Wrocławia za 15 złotych, a do Białegostoku za 5 złotych.

Autobusy i samoloty stanowią doskonałe połączenie. Jak schabowy z mizerią. Jeśli bilet w dobrej cenie na Sycylię jest z Bydgoszczy albo z Berlina, to dzięki autobusom można bezproblemowo podjechać do miasta, z którego nastąpi odlot. To istotny element podróżniczej mozaiki, choć przydałoby się coś na drugą nogę, bo jak wiadomo, *boh trojcu lubit*.

Niestety, Polskie Koleje są jedyną znaną mi firmą, która nie chwali się promocjami, a nawet skrzętnie je ukrywa. Pisząc te słowa, w dalszym ciągu nie mogę sprawdzić w Internecie ceny jakiegokolwiek pociągu, który jedzie za granicę. Szkoda, bo we Włoszech kupuję w Sieci bilet na dowolny kierunek, robiąc składaka nawet z trzech przejazdów, i mam spokojną głowę, że nie muszę latać z wywieszonym językiem po peronie i martwić się, że nie zdążę kupić biletu na przejazd innej spółki, a potem będę musiał uiścić opłatę manipulacyjną u konduktora.

W Polsce na trasie z Piaseczna do Kielc robiłem to aż trzykrotnie, a obsługa za każdym razem rozkładała ręce, że co innego w Kolejach Mazowieckich, a co innego w Świętokrzyskich.

Mam nadzieję, że „uwolnienie torów", czyli możliwość wjazdu zagranicznych przewoźników, zaowocuje jednoczesnym uwolnieniem cen, jak w przypadku samolotów. Póki co, nie stać mnie na dopłacanie kolei. Wolę w cenie ekspresu do Zakopanego ekspresowo polecieć do Rzymu.

Czekam również na powrót lotów za symboliczną złotówkę. Chociaż z drugiej strony, jeśli pojawiają się tak tanie bilety, wiele osób bierze je, nie mając potem zamiaru wykorzystać. Przy wyższej cenie każdy zastanowi się przed zakupem. Jest zatem większe prawdopodobieństwo, że zostanie coś dla ciebie.

Najtańsze bilety były brane bez umiaru, na zasadzie: kupię 20 dla siebie i kolegów, najwyżej nie polecimy. Przy 30 czy 20 złotych jest większa szansa, że poleżą dłużej w systemie. Tanie bilety są dobre dla pasażera, zbyt tanie – niekoniecznie. Tanie są bardziej demokratyczne, darmowe prowadzą do napięć.

Wniosek: lepiej czasem zapłacić i mieć więcej czasu na kupno, niż słyszeć o groszowej promocji, ale obejść się smakiem. A podróż ma smak niezapomniany. W ogóle świat jest OK, to ludzie psują mu opinię. Ta jest akurat nie moja, tylko niejakiej Magdy M. Nie przepadam za serialami, ale mogę się pod nią podpisać obiema rękami.

Żeby nie być gołosłownym, poniżej przedstawiam spis wybranych kierunków ze ściągawkami i notatkami, jakie robię sobie w trakcie planowania podróży.

- Warszawa–Oslo Sandefjord: 4 zł, powrót następnego dnia do Katowic – 5,30 zł, czyli razem 9,30 zł. Kwestia kluczowa – noc w zimnym norweskim mieście.
- Warszawa–Budapeszt: 78 zł w obie strony, nocleg w mieście już od kilkudziesięciu złotych za dobę. Szklaneczka tokaju kosztuje 100 forintów, czyli około 1,50 zł. Za 10 zł – impra na maksa.
- Autobusem do Wilna lub Kowna: codziennie z Warszawy przed 20.00 jedzie Simple Express – w promocji nawet za 12 zł.

Noc jazdy, cały dzień zwiedzania, o 23.00 kurs powrotny (środa rano Warszawa). W tym wypadku nie płacimy za nocleg. A w autobusie jest Internet.

- Polskim Busem do Berlina: 1 zł, w dwie strony 2 zł. Do Białegostoku: 5 zł i mimo że spałem w najgorszym hotelu świata, połączonym z miejską noclegownią dla bezdomnych, też było fajnie, choć nie brakło emocji związanych z czystością pokoju i przyprawiających o dreszcze.
- Pociągiem do Ostrawy i z powrotem: za bilet powrotny 40 procent zniżki, więc cena wynosi 180 zł. W mieście jest największe w Europie skupisko pubów na metr kwadratowy (ul. Stodolni) i największe europejskie muzeum CYTR. Nie widziałem nigdy innego, więc wierzę przewodnikowi.
- Modlin–Skavsta – można lecieć codziennie. I wcale nie do Sztokholmu, tylko do małego Nyköping. Wypożyczenie roweru na cały dzień: około 30 zł, nocleg w hotelu, bo w miarę tani. Okoliczne zamki do zwiedzania za darmo. Najtańsze jedzenie – u Chińczyka.
- Londyn Luton. Odwiedziny na Abbey Road, znanej z okładki płyty Beatlesów. Można stanąć na zebrze i zadzwonić do znajomych, żeby weszli na http://www.abbeyroad.com/Crossing/, a potem pomachać do kamery, by zobaczyli to na żywo. Później jazda na południe nad ocean Stagecoachem, bo szybko i tanio. Poza tym Southampton, Bornemouth i dawna stolica Anglii – Winchester. To wszystko jest warte zobaczenia. Stara Anglia ma się dobrze.

To tylko wybrane przykłady. Jest ich multum i pewnie życia nie starczy, żeby je wszystkie przetestować. Ale można je znacznie wzbogacić, znajdując za każdym razem nowe miejsca i poznając nowych ludzi. Tak więc warto próbować i szukać nowych kierunków. A to wszystko zawdzięczam niskim cenom biletów. Każda z tych atrakcji może także należeć do ciebie. W baśni trzeba było powiedzieć: „Sezamie, otwórz się”. Tu wystarczy po prostu go otworzyć. Bez magii i sztuczek. Zatem czas na wielkie otwarcie.

PERŁY I WIEPRZE

SUBIEKTYWNE MITY O TANIM LATANIU

Mit 1:
Nie ma tanich biletów, są tylko tanie opowieści o nich

Oczywiście jest to nieprawda. Inaczej nigdy nie powstałaby ta książka. Czy to, że nie udało ci się złowić dużej ryby, oznacza, iż w jeziorze pływają tylko płotki? Plotki biorą się z niezrozumienia prawideł, jakimi rządzą się promocje lotnicze. I spokoju ducha. O wiele łatwiej jest powiedzieć „to niemożliwe”, niż

przyznać przed sobą, że to nie my kupiliśmy na najbliższy weekend bilet za grosze, by pozwiedzać za darmo British Museum w Londynie, a potem jeść do woli za 7 funtów w chińskiej knajpce na Soho. Tanie bilety istnieją!

Mit 2:
Pasażerowie tanich linii mają mniejsze prawa niż pasażerowie linii regularnych

To najczęściej powtarzane kłamstwo. Nieprawdą jest, że jeśli kupisz bilet za ciężką kasę, masz większą gwarancję lotu, a tanie linie w razie zmian w rozkładzie zostawią cię na lodzie. Zachowają się tak samo jak tradycyjni przewoźnicy: albo oddają kasę, albo pozwalają na zmianę terminu.

Mało tego. Są łowcy, którzy po kupieniu taniego biletu tylko czekają na mail, że zaszła zmiana w rozkładzie i lot się nie odbędzie. Wiedzą, że mogą w ramach rekompensaty wskazać nie tylko dowolnie wybraną datę, lecz także DOWOLNY KIERUNEK.

Wtedy okazuje się, że kupiony za złotówkę bilet do Szwecji można zamienić na obleganą Barcelonę za 500 złotych. Linie się tym nie chwalą, bo i po co, ale jeśli zdarzy ci się odwołany lot, spróbuj, czy ten patent wciąż działa.

Mit 3:
Kontrola na lotnisku

Czasem przebiega szybko, czasami ślamazarnie. Dlatego warto być na lotnisku trochę wcześniej. Posiadacz taniego biletu stoi tyle samo, co właściciel biletu za kupę kasy. Nie ma to żadnego znaczenia.

Nigdy nie wiadomo, jak będzie przebiegać kontrola. Niekiedy strażnicy są sprawni i szybcy, innym razem ciency jak skóra na kaszance. Zdarzyło mi się na lotnisku w Luton trafić na rewizję osobistą, bo plecak piszczał na bramce. Mimo że w Polsce nic takiego się nie działo, w Anglii zaczął piszczeć, przez co celnik bezceremonialnie wypakowywał jego zawartość, pozwalając sobie na rasistowskie uwagi o Polakach wieśniakach. Z kolei

w Modlinie ochroniarzy jak mrówek, widać ich na każdym kroku. Za to sam terminal okazuje się zbawieniem dla Polski północnej. Przyjeżdża tam coraz więcej busów z Olsztyna, Suwałk i Augustowa. Ba, widziałem nawet busika z Sokółki.

Mit 4:
Po co lecieć do miasta, w którym się już było?

Często to słyszę. Znajomi z pracy znają moje turystyczne upodobania. Nierzadko przy powitaniu pytają: „Gdzie lecisz tym razem?”. Kiedy odpowiadam, że na przykład znowu do Budapesztu, robią wielkie oczy.

– Przecież byłeś w Budapeszcie – rzucają z powątpiewaniem.

– A wy byliście w Krakowie? – odpowiadam z reguły.

– No byliśmy.

– I co, nigdy więcej się nie wybierzecie?

Nie ma lepszego argumentu. Ten zamyka usta. Jak bowiem inaczej tłumaczyć, że zostało tyle rzeczy do zobaczenia, a poza tym jak przyjemnie pójść do znanej już knajpki, w której wiadomo, że właściciel podaje najlepszy gulasz w mieście. Jeśli mam zamiar poznać porządnie jedno muzeum, muszę na to poświęcić niemal cały dzień. A zatem każda wycieczka to tylko fragment miasta: trochę kultury, trochę rozrywki. A im częściej będę tam podróżował, tym większe mam rozeznanie w atrakcjach, których nie znają nawet tubylcy.

To trochę jak z mieszkaniem i pracowaniem w Warszawie. Większość ludzi to przyjezdni i większość nie zna miasta, w którym mieszka. Też cierpię na ten kompleks, więc przynajmniej za granicą próbuję to zmienić.

Mit 5:
Nie można się spakować w bagaż podręczny

Można. Wystarczy uświadomić sobie, jakie rzeczy są naprawdę potrzebne. Ja zawsze mam kosmetyki, klapki i netbooka. O resztę się nie martwię, ale oczywiście zabiera się bieliznę i jakieś

ciuchy na zmianę. Wymiary, które są dopuszczane przez tanie linie lotnicze, oznaczają, że wszystko zmieści się nam w plecaku. Niektórzy podróżują z walizką na kółkach – ja odradzam. Dzięki plecakowi ręce zawsze pozostają wolne, a podróż na obcej ziemi wiąże się z częstymi przesiadkami. Poza tym taki bagaż jest lżejszy.

Mit 6:
Podróż tanią linią to koszmar

Kilka lat temu musiałem polecieć do Londynu. Nie miałem pojęcia o tanich lotach, więc poszedłem do punktu sprzedaży i kupiłem bilet. Samolot British Airways, lotnisko Heathrow, a jakże, cena 1400 złotych tam i z powrotem.

Teraz latam do Londynu poniżej stu złotych w obie strony. A warunki? Nie ma miejsca pomiędzy fotelami, ale brakuje go również w liniach regularnych. Jest za to dużo przestrzeni obok, bo wiele tras nie ma pełnego obłożenia, szczególnie poza sezonem. Nigdy nie zapomnę lotu Lufthansą z Frankfurtu do New Delhi – osiem godzin luksusowym boeingiem. Co z tego, że wielkim, skoro siedziałem w poczwórnym rzędzie, stłoczony pomiędzy staruszkami w turbanach. Nie mam nic przeciwko turbanom, ale jeden ciągle zsuwał się na moją głowę, co przeszkadzało mi w spaniu. Ani posiłek, ani możliwość zobaczenia serca Indii nie uleczyły skurczu nóg – pomogła mi dopiero whisky. Podsumowując: zdarzyło mi się lecieć komfortowym samolotem i okrutnie się zmęczyć, a także korzystać z usług taniego przewoźnika, ale mieć możliwość rozłożenia się na trzech miejscach. Nie ma reguły.

Mit 7:
Do biletu tanich lotów trzeba doliczyć słony transport

Faktycznie, często lotniska znajdują się w znacznym oddaleniu od miasta. Jednak nawet z centralnych portów lotniczych też trzeba brać transport, podobnie jak płacić za przejazd metrem.

Poza tym umówmy się, że 4 czy 5 euro – jak w Mediolanie czy Rzymie – to naprawdę nie jest dużo, taniej niż dotarcie do lotniska w Modlinie. Oczywiście że Stansted i Luton są już droższe, ale nawet z kosztami transportu opłaca mi się dojazd do Londynu. Zresztą dojazd to kolejny mit.

W drogiej Szwecji kurs z lotniska Sztokholm Skavsta do centrum miasta kosztuje około 60 złotych – jak na sto kilometrów to niewiele. Droższy jest Paryż Beauvis za 15 euro w jedną stronę, ale już Budapeszt oferuje przejazd za 1550 forintów na 24-godzinnej travelce, czyli około 22 złotych. Wspomniany Modlin Bus z Warszawy na lotnisko kosztował niedawno ponad 30 złotych. Nie mam pytań.

Jest jeszcze jedna zaleta: nikt nie każe nam jechać do konkretnego miejsca. Będąc w Bergamo, za każdym razem wybieram inny kierunek. Raz zostaję w miasteczku, raz jadę do Mediolanu, ale wsiadam również do pociągu zmierzającego nad jezioro Garda lub mknę do Werony albo Wenecji. To jest siła, której warto ulec.

Mit 8:
Kupuj dziś, bo jutro bilet podrożeje

To jest półmit, choć rzeczywiście – im bliższy termin, tym wyższa cena. Sam pisałem wcześniej, że uciekła mi Irlandia, bo za długo się wahałem. Jeśli jednak planujemy lot w bardzo odległej perspektywie, może być dokładnie na odwrót. Bilet jest drogi, a potem będzie na niego promocja. Można ostrożnie założyć, że najwyższa cena jest na lot jutrzejszy i ten za pół roku. Pomiędzy tymi datami wiele może się zdarzyć. Pewności nie ma, ale na tym właśnie polega urok polowania.

Mit 9:
Jeśli kupisz bilet, a nie polecisz, poniesiesz karę

Trudno mi do dziś w to uwierzyć, ale przysięgam, że zetknąłem się z takimi pytaniami. Bilety do Szwecji kosztowały nieco po-

wyżej złotówki za odcinek. Ktoś podzielił się tą wiadomością na forum, a inni zamiast korzystać, powątpiewali, czy to aby na pewno atrakcyjna promocja. Odpowiem tak: jeśli kupisz bilet do kina, a nie pójdziesz na film, myślisz, że będą cię ścigać i przyjdą, żeby cię zaprowadzić na seans? Nie sądzę. Więc nie przesadzaj.

Mit 10:
Nigdy nie wiesz, czy polecisz tanią linią

To niemal mit założycielski, jakby – cytując Toma Clancy'ego – suma wszystkich strachów. Wszelkie inne biorą się od niego. Obawa przed tym, że można zarezerwować sobie termin, a potem nie móc polecieć, jest uzasadniona. Ale tak samo jak w przypadku linii regularnych. Zdarzyło mi się, że z powodu ciężkich warunków zimowych odwołano mój lot do Londynu. Pamiętam jednak, że w tym dniu NIC nie przyleciało z brytyjskiej stolicy. Ani LOT, ani British Airways, ani nawet Lufthansa. Żadna linia nie powstała po to, żeby robić komuś łaskę. Wszyscy chcą zarobić i dlatego muszą latać. Do tego potrzebują zgody, opinii, testów, wszystkiego, co jest konieczne, by prowadzić taki biznes.

A reszta to walka między konkurencją i umiejętnie podsyłane mediom plotki: że samoloty latają na oparach, że piloci są nieprzeszkoleni, a najlepiej, żeby byli pijani, a załoga jest arogancka. Rozumiem, że wszystko ma służyć wzbudzeniu u pasażera lęku, ale odrobina zdrowego rozsądku nie zaszkodzi. Najbardziej nieuprzejmą stewardesę spotkałem w Austrian Airlines, i bynajmniej nie były to tanie linie. A co do punktualności, posłużę się przykładem kolejowym: spóźniają się zarówno pociągi osobowe, jak i koszmarnie drogie w Polsce ekspresy. Z samolotami jest tak samo.

Powyższy dekalog to tylko próba uporządkowania niejasności i nieporozumień, które narosły wokół podróży za śmiesznie małe pieniądze. Najfajniejsze jest jednak to, że regularne linie co-

raz częściej organizują akcje, w których ramach można kupić przeloty z bagażem rejestrowanym w cenie porównywalnej do podróży niesławnym InterCity po Polsce. LOT, Lufthansa, Alitalia zażarcie walczą o klienta, więc zakładanie z góry, że u nich nie ma niczego taniego, jest błędne. Ja znalazłem bardzo ciekawe połączenia LOT-u do Stambułu i Tallina, z kolei Alitalia miała w pewnym okresie niższą cenę do Rzymu niż Ryanair czy Wizzair. Regułą jest brak reguły i dlatego wracamy do kwestii kluczowej, czyli do poszukiwania i newsletterów. Uzbrojeni w wiedzę teoretyczną, zakasujemy rękawy i wreszcie możemy ruszać.

GDZIEKOLWIEK
12
PODRÓŻY
JAKUBA
PORADY

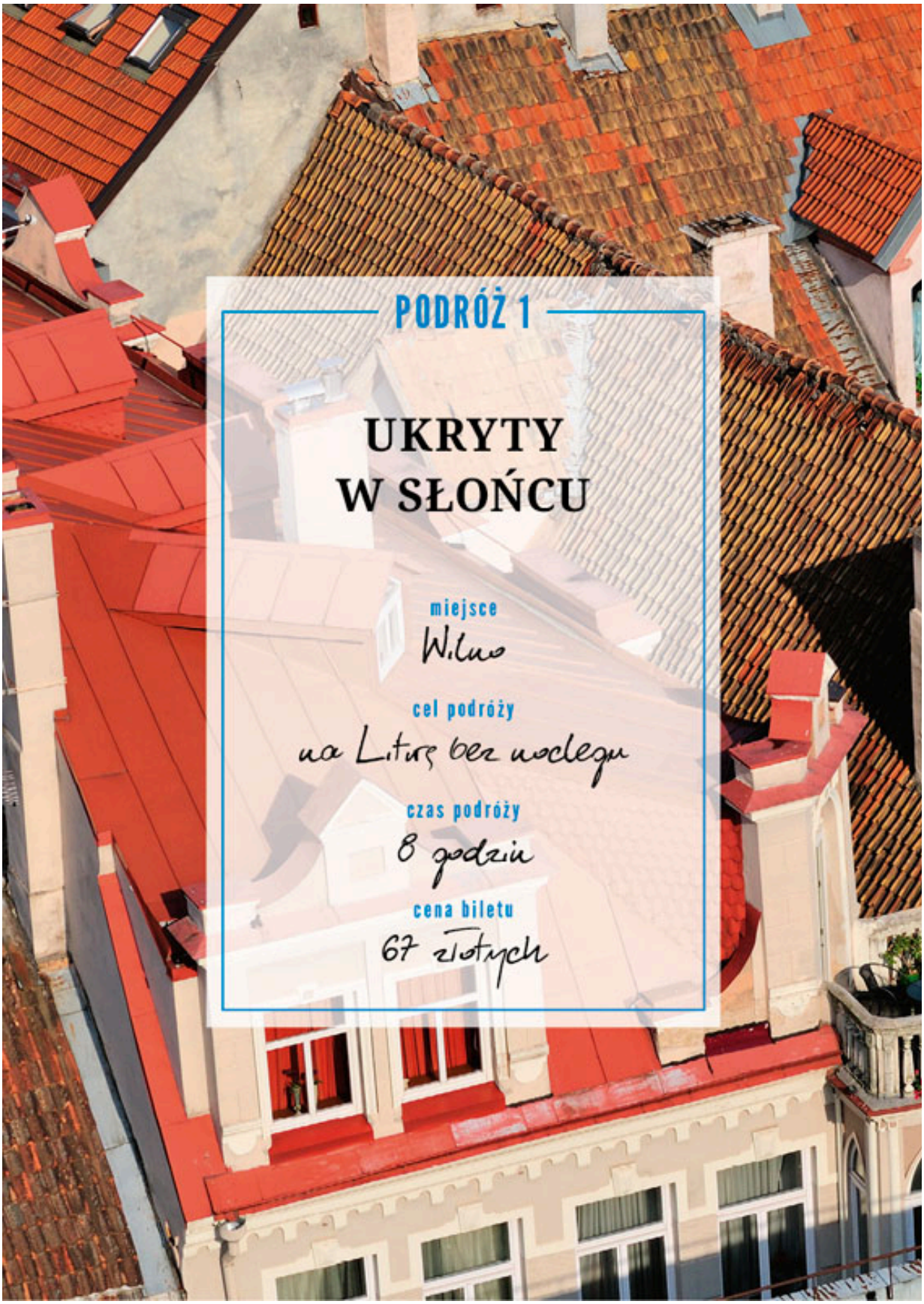

PODRÓŻ 1

UKRYTY W SŁOŃCU

miejsce

Wilno

cel podróży

na Litwę bez noclegu

czas podróży

8 godzin

cena biletu

67 złotych

Jest promocja do Wilna, można jechać za 67 złotych. Odjazd późnym wieczorem z Dworca Zachodniego.

– Autobusem?

– Nie inaczej.

Siedzę z Hanią Jewsiewicką w kawiarni na parterze budynku przy Hożej. Redakcja *Dzień Dobry TVN* jest na siódmym piętrze, ale wygodniej nam pracować na dole. Hania jest reporterką, poznaliśmy się kilka tygodni wcześniej i od razu między nami zaiskrzyło. Lubimy podróżować i jesteśmy gotowi wiele za to oddać.

Od kiedy pamiętam, miałem skłonność do włóczenia się z plecakiem. Im byłem starszy, tym bardziej pasja zamieniała się w uzależnienie. Może z tego powodu, że w dorosłym życiu nie ma tyle okazji, by wyrwać się jak za czasów studenckich, a może dlatego, że ma się świadomość przemijania, czegoś, co było i nie wróci.

Otóż właśnie może wracać, dzięki wspomnianej pasji. Opowiadałem o niej w jednym z porannych wydań programu. Tłumaczyłem, że nie ma znaczenia, czy jedzie się daleko, czy blisko, ważne, aby ruszać jak najczęściej: samolotem, pociągiem, autobusem. Chodzi o to, żeby poczuć się wolnym, przemieszczać się z miejsca na miejsce, odnaleźć siebie i takie tam trelemorele. A mówiąc serio, by wyjść na spotkanie przygody, nauczyć się życia. I poczuć, że się żyje. Niezależnie od tego, czy pracuje się w fabryce, czy na uniwersytecie.

No i żeby było tanio.

Razem ze mną we wspomnianym programie występował strongman Mariusz Pudzianowski. Okazało się, że w dzieciństwie był grzecznym chłopcem i poza siłownią w ogóle się nie ruszał z domu, za to ja wyszedłem na wcielonego diabła. Takiego, co – jak mawiała niejaka Renata Beger – miał „kurwiki w oczach". Tylko plecak, parę złotych w kieszeni i hajda nad morze. Potem zaczęło mnie także ciągnąć w góry. Miałem tak od zawsze, dopiero korporacyjne życie sprawiło, że zepchnąłem pasję pod dywan. Jednak całe życie uważałem, i nadal tak sądzę, że poznawanie nowych miejsc daje szczęście, a nauka bycia

szczęśliwym powstaje przez praktykowanie radosnego myślenia. Praktykowałem więc, choć nie miałem ani paszportu, ani pieniędzy.

Okazało się, że to niepotrzebne.

Choć od tamtej pory minęły ponad trzy dekady, nadal ciągnie wilka do lasu. Mimo że nie jestem już nastolatkiem, jeśli tylko mogę, wsiadam do taniego samolotu czy autobusu i pędzę, gdzie mnie oczy poniosą. Wszystkie drogi prowadzą… przed siebie, jak pisałem w powieści *Chłopaki w sofixach*. A możliwości taniego podróżowania jest masa – wystarczy tylko pogrzebać w Sieci i można robić sobie wakacje co tydzień.

Wszystko to powiedziałem przed kamerą, a kilka dni później dzwoni Hania.

– Dlaczego – mówi – nie pokazać tego w kamerze? Przecież to świetny pomysł dla każdego, kto chce poznawać świat za grosze. Nikt nie lubi przepłacać.

– Czyli co mamy pokazać, coś jakby przewodnik z nauki taniego podróżowania?

– Tak jest, zróbmy to.

Hania nie ma jeszcze gotowej koncepcji, ale pomysł bardzo jej się podoba. A w jej przypadku droga od mówienia do działania nie jest długa. Oznajmia, że trzeba zmontować skład do zadań specjalnych. No i potrzebuje kogoś, kto będzie pełen zapału do zadania, w którym pasja zrównoważy podróż za jeden uśmiech z niedogodnościami podróży. I właśnie widzi go przed sobą.

Spada mi z nieba.

Myślę, że wreszcie pokażę czarno na białym, że da się podróżować za grosze. Nie tylko po najbliższej okolicy. Można zwiedzić całą Europę. Ja już się o tym przekonałem. Pora, by o tanich podróżach powiedzieć innym. Kiedyś byłem niedowiarkiem, teraz stanę się apostołem dobrej turystycznej nowiny. Tak jak oczy otworzyły mi się ze zdumienia, kiedy kupiłem pierwsze bilety za bezcen, tak teraz chcę otwierać oczy innym. Hania również ma taki zamiar. I co ważne, wie, jak to zrobić technicznie.

To znaczy, sądzi, że wie. Nikt jeszcze nie robił programu pod takim kątem. Musimy sami kupić bilety, sami zorganizować sobie transport i nocleg. Wszystko od początku do końca jest na głowie, dopiero trzeba to postawić na nogi. Dokładnie tak, jak robią miliony obieżyświatów na całym świecie. I to jest właśnie najpiękniejsze. A pomysł znakomity. Ja w niego wchodzę i cieszę się, że spotkałem podobnego do mnie zapaleńca.

I mam do niego zaufanie.

– No to zróbmy to.

Stanowimy idealne połączenie. Teraz trzeba tylko działać.

Po przekonaniu przełożonych, że można zrobić taki cykl i jest to świetna propozycja nie tylko na czasy kryzysu, siadamy nad kalendarzem. Szukamy tanich połączeń na najbliższe tygodnie. Tak mamy zaplanowane emisje materiałów, których jeszcze nie ma.

– Dlaczego autobus a nie samolot?

– Dlatego że na dwa tygodnie przed emisją nie znajdziemy żadnego taniego połączenia. – Tłumaczę Hani, czego można się spodziewać po liniach lotniczych, i objaśniam zasady rządzące tanimi lotami.

Od razu wypatruję je w systemie. Trafia się Szwecja za tak śmieszną sumę, że płacę bez wahania za siebie, Hanię i operatora, ale termin lotu jest dopiero w następnym miesiącu. Zatem pierwsze odcinki zrobimy, podróżując autobusem. I bardzo dobrze, to świetny czas na dotarcie się i sprawdzenie, jak pomysł wychodzi w praniu. A głównym piorącym i tak musi być operator.

Jedzie z nami Wojtek Filipczak. Nie miałem okazji z nim pracować, ale Hania mówi, że to zawodowiec, zaprawiony w bojach. Taki, który wie, jak połączyć umiejętność robienia dobrych zdjęć z szybkością i sprawnością warsztatową. Wojtek ma te cechy, a chwilowo jest wolny, przed kolejnym sezonem *Kuchennych rewolucji* z Magdą Gessler.

No to jest nas troje. Drużyna w komplecie, prawie jak u Tolkiena. Błędni rycerze, teraz czas na rumaki.

Simple Express. Estoński biznes na polskiej ziemi. Z jednej strony obstawia Berlin, z drugiej – republiki nadbałtyckie. Autobusy docierają nie tylko do Wilna. Kierują się również na Łotwę, do Estonii i Obwodu Kaliningradzkiego. Najbardziej wysuniętym na wschód przystankiem jest Sankt Petersburg. Warszawa leży pośrodku drogi.

– Martwi mnie tylko, że to osiem godzin jazdy. A my będziemy zajechani jak sandały Mojżesza. – Hania obawia się, że już na starcie narzucamy sobie mordercze warunki pracy. Nie jest łatwo tryskać energią po nieprzespanej nocy.

– I jeszcze sześćdziesiąt siedem złotych. To nie jest wcale tanio.

– Za to można zaoszczędzić na hotelu.

Szukam pozytywów. I znajduję je bez trudu.

– Ale pomyśl sobie, że za te pieniądze nie dojedziesz nawet do Katowic. A my odwiedzimy zagranicę. Poza tym nie znajdziemy nic taniej na ostatnią chwilę.

– Dlaczego miałabym jechać do Katowic?

– A dlaczego nie? Wszystko jedno, musimy jakoś to zmóc.

Hania oczywiście nie ma oporów przed długą jazdą, bardziej martwi się o operatora, który musi cały czas dźwigać kamerę, a jest ona nie tylko cenna, lecz także piekielnie ciężka. Wojtek faktycznie jest trochę przerażony perspektywą spania w autobusie. Dociera to do niego dopiero wtedy, kiedy widzi, że nie jedzie na Okęcie, tylko na Dworzec Zachodni. Po chwili jednak macha ręką.

– To jeszcze nie koniec świata. Nie takie trasy się robiło.

A zatem postanowione.

Wilno. To nasz pierwszy wspólny wyjazd.

Prawdziwie europejska stolica, położona nad rzekami o pięknych nazwach: Wilia i Wilejka. Tylko 500 tysięcy mieszkańców, czyli mniej więcej tyle co Gdańsk, ale podobnie jak Gdańsk, to duży ośrodek kulturalny i naukowy. Szczególnie ważny dla nas, w końcu jest tu największe skupisko Polonii na ziemi litewskiej. I po wejściu obu krajów do Unii znacznie bliższy, przynajmniej odległościowo.

– Pięćset tysięcy mieszkańców i pięćset kilometrów.

Wojtek jeszcze oblicza w myślach dystans. Liczy palcami, jakby przekładał każde sto kilometrów na godziny i minuty.

– No i co wyliczyłeś?

– Da się zrobić. Kanapki wziąłem. I kabanosy.

Wszystkie przewodniki podkreślają wielonarodowość i wielokulturowość Wilna. Z drugiej strony ciągle słyszę, jak to nas na Litwie nie lubią i z jaką jawną niechęcią będę się musiał zetknąć. Teoretycznie wiem wszystko. Teraz pozostało tylko tam dojechać.

Autobus rusza o 23.20. Przyjazd jest zaplanowany na 8.45. To więcej niż osiem godzin, ale na Litwie zegarki przesuwa się o godzinę do przodu. Mimo wszystko, długo. Jako dziecko PKS-u wyobrażam sobie, że podróż musi przebiegać w bardzo nieprzyjemnych warunkach. Oczyma wyobraźni widzę zdezelowane pojazdy, w których zapach jajek na twardo miesza się z wrzaskiem kur i gęsi przewożonych pod piernatem przez stare baby. Sam tak nigdy nie jeździłem, nie mam aż tylu lat, ale wyobraźnia pracuje. To trochę tak jak Anglików karmiono przed laty obrazkiem Polski jako *potatoland* – królestwa ziemniaków, serwując przedwojenne zdjęcie wąsatego chłopa na polu. Stereotypy są najtrudniejsze do wyplenienia.

Okazało się, że pojazd jest czysty, schludny, z Internetem, a na powitanie dostaje się nawet butelkę wody. W trakcie podróży można także skorzystać z minibarku: kawa czy herbata kosztuje około 5 złotych, cola – około 7 złotych. Zimne napoje i przekąski sprzedaje się oczywiście z marżą, ale dobrze, że jest taka możliwość. Kilka tygodni wcześniej jechałem PKS-em do Szklarskiej Poręby i myślałem, że oszaleję z ciasnoty. W dodatku pojazd miał uszkodzony tłumik. Jeden z pasażerów twierdził, że jak kierowca odpala auto na postojach, to sąsiednim samochodom włącza się autoalarm. Myślę, że żartował, ale choć przeżyłem wiele podróży polskim transportem, ta była jedną z najcięższych.

Tablet – najlepszy kompan podróży.

Tutaj, jak na autobus, jest bardzo wygodnie, a obsługa nad wyraz przyjazna. Nie mogę mieć żadnych zastrzeżeń, podobnie jak inni pasażerowie. Jeśli tak ma się przejawiać niezgoda polsko-litewska, to ciekaw jestem, jak wygląda przyjaźń.

Estończycy nie mają się czego wstydzić. Rozkręcili porządny biznes i mam nadzieję, że będą rośli w siłę. Szkoda, że wszystkie miejsca są zajęte. Na długiej trasie robi się jednak ciasno. Może czasem warto wykupić dwa fotele obok siebie. Jeśli trafi się promocja za kilka złotych, kto wie, czy tak nie zrobię. Wam też poddaję pomysł pod rozwagę.

Bilety po kupieniu w Internecie należy wydrukować. Kierowcy mają listę pasażerów, którzy zakupili bilet na dany kurs, ale przezorności nigdy za wiele. Niektórzy przychodzą na dworzec tylko z numerem rezerwacji albo skanem w komórce, ale ja wolę pełny wydruk. Na pewno potrzebny jest dokument tożsamości – dowód albo paszport – i o tym nie wolno zapomnieć.

I to wszystkie warunki do spełnienia. Proste jak kręgosłup noworodka.

Ruszamy o czasie i wkrótce wyjeżdżamy za miasto. Jest Internet, można się czymś zająć, chociaż najlepszy byłby sen. Nie mogę jednak złapać ani jednego, ani drugiego. Za oknem nic nie widać, jest w miarę cicho, właściwie nie ma nic do roboty.

Emocje jak na rybach.

Wojtek je kanapkę, już chyba czwartą. Twierdzi, że ma jeszcze kilka. Częstuje, ale nie mam ochoty. Swoich zapasów nie ruszam, bo po prostu nie czuję głodu. Za to wiem, że powinienem się przespać. Niestety, ze snem coraz gorzej. Pewnie przez świadomość, że zaraz po przyjeździe trzeba będzie zabrać się ostro do pracy. A ponieważ jeszcze nie pracowaliśmy razem, więc myśli tłoczą mi się w głowie. Nie czuję się komfortowo i ruszam nerwowo jak tasiemiec w jelitach. Piję darmową mineralną, która ma lekko słony smak.

– Śpisz?

– Nie, leżę. Jak krowi ogon na gnoju.

Zerkam na ekipę, Wojtek najadł się już chyba na tydzień do przodu, mości się w fotelu jak wściekły pies, ale też się męczy. Za to Hanka śpi jak zabita. Nałożyła opaskę na oczy, a pod głowę wsunęła poduszkę. Różową. Muszę sobie taką sprawić. Nieważne, w jakim kolorze. Na razie zwijam się w kłębek i próbuję liczyć barany. Wszystko, co tylko pozwoli ukoić myśli. Za chwilę czytam. *Ballada o Januszku* Sławomira Łubińskiego. Pamiętam serial z lat osiemdziesiątych, z Lidią Fiedosjejewą-Szukszyną w roli matki wyrodnego syna. Książka jest przejmująca i napisana barwnym językiem. Niestety, nie ułatwia zasypiania, raczej odgania je precz. W rezultacie kiwam się na boki i przemierzam w półśnie kolejne kilometry.

Autobus zawsze ma jeden minus – podróż nim trwa długo. Jeśli ktoś nie radzi sobie z tym dobrze, będzie miał problem. Ja mam. Jedyna szansa na rozprostowanie kości pojawia się na przystankach, ale te są tylko dwa. Kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy kierowca musi zatankować, co oznacza piętnastominutową przerwę dla pasażerów. Jeżeli ktoś ma ochotę na za-

kupy, wystarczy, że podskoczy na stację benzynową. Mimo wszystko na tak długą podróż warto mieć kanapki z domu. I coś do picia.

Drugi przystanek jest już po litewskiej stronie, w Kownie. Dworzec znajduje się w centrum miasta, a postój również trwa około kwadransa. Akurat, kiedy udaje mi się zasnąć.

– Ciekawe, że im krócej śpię, tym dłużej się budzę.

Chcę skorzystać z toalety, ale jest zamknięta. Na szczęście toaleta w busie działa bez zarzutu. Mogę nawet umyć zęby i ogólnie się odświeżyć. Nie czuję się wypoczęty, ale nie mam też wrażenia, że nie dam rady. Nie po to tyle jechałem, żeby teraz narzekać. Znów próbuję się umościć na fotelu i w końcu nad ranem udaje mi się zasnąć.

Wreszcie przyjazd do Wilna. We wczesnych godzinach rannych, zgodnie z planem o 8.45. Sodu 22 – tak się nazywa ulica z betonowym parkingiem, dworcem litewskiego odpowiednika polskiego PKS-u. Stąd można odjechać do kolejnych miast. Albo przesiąść się w dalszą podróż w kierunku republik nadbałtyckich. Podziwiam tych, którzy mają siłę i czas ruszać dalej na północ. Mnie w zupełności wystarczy jazdy busem, jak na jeden raz. Czuję się wymięty i wyglądam jak przeterminowana landrynka.

Dworzec autobusowy w Wilnie.
Z bojowym nastawieniem do zwiedzania.

Dworzec autobusowy jest podobny do Warszawy Zachodniej – brudnawy, szary i brzydki. Nie ma się czym chwalić. Po przejściu przez szarą płytę, na której zatrzymują się kolejne autobusy, wchodzi się do hali, sprawiającej wrażenie remontowanej byle jak i bez pomysłu. Kioski z gazetami mieszają się z apteką i salonem gier automatycznych. Miód, mydło i powidło. Dopiero

teraz rozumiem, co czuje obcokrajowiec, który przyjeżdża do Warszawy Zachodniej i myśli sobie: „O matko, jaki busz”. Busz po polsku, nawiązując do Kapuścińskiego.

Z drugiej strony betonowego straszydła rozciąga się plac zapełniony śpieszącymi się ludźmi. Wyglądają jak w Polsce. Większość jest ubrana z małą dbałością o szczegóły. Na części twarzy maluje się smutek. Robi się bardziej powiatowo niż europejsko. Ale to może być zaleta, bo ja bardzo lubię przaśne klimaty. Poza tym pamiętam, że w Warszawie inaczej jest na Starym Mieście, a inaczej w okolicach Dworca Wschodniego. Wileński dworzec jest, jaki jest, i nie stanowi o całości.

Można tu wymienić pieniądze, ale ja, nie chcąc ryzykować, kupiłem lity jeszcze w Polsce. Następnym razem będę wiedział, że to nie ma znaczenia. W kantorach przyjmują złotówki. Nauczyłem się jednak, że jeśli to możliwe, warto mieć na rozbieg trochę lokalnej waluty. Na wszelki wypadek.

– Zjedzmy coś.

– Kawy się napijemy.

– No to zjedzmy.

Tuż obok dworca autobusowego jest kolejowy. *Vilniaus geležinkelio stotis* – nie umiem zapamiętać, więc zapisuję. Stąd po wyjściu można się skierować do centrum miasta. Wcześniej jednak wstępujemy na śniadanie do dworcowego baru. Tyle że na dworcu kolejowym. Są umieszczone obok siebie. W środku czynna knajpa. Patrzę w menu. Ceny przyzwoite, wydaje mi się, że są niemal identyczne z polskimi. Nie spodziewałem się taniości, ale cieszy mnie, że nie jest drożej.

– *Cukrus* to cukier, *alus* – piwo, *suris* – ser, a *pienas* mleko.

– Czyli ja jestem tu Jakubas Poradas.

– Przede wszystkim jesteś silny jak muł. I prawie tak samo bystry. – Wojtek ma podkrążone z niewyspania oczy, ale nie mija mu ochota do żartów. Dobry znak.

– A ty jesteś żółty jak mocz z cewnika.

Nie ma to jak suchary z rana. Nic tak nie rozbudza jak kiepskie dowcipy i powiedzenia.

Nie lubię tak wcześnie jadać. Zazdroszczę, że Hania i Wojtek nie mają z tym problemów. Może ja jestem bardziej wyspany, ale za to oni na pewno bardziej głodni. Zasuwają jak chomiki. Zresztą chomik, przepraszam, chłodnik litewski wygląda bardzo smakowicie, a kosztuje kilka złotych. Wypatruję miejscowych serów z twarogu, formowanych w charakterystyczne serca. Słyszałem, że są znakomite zarówno z kminkiem, jak i na słodko z dżemem albo miodem. Poprzestaję jednak na kawie i jakiejś słodkiej babeczce. To mi na razie wystarczy.

Nieprzespana noc znów daje się we znaki. Wczesna godzina, nie ma jeszcze 9.00, a ja już czuję się zakręcony jak kapsel. Najchętniej położyłbym się na ławeczce w parku, ale trzeba się trzymać planu. Dlatego mocno słodzę poranne napoje. Dawka cukru z rana daje niewyobrażalną wręcz energię.

– Jedziemy do centrum.

– A to daleko?

– Nie mam pojęcia. Kupimy bilet na autobus.

Proszę w kiosku o kilka biletów. Kosztują około 2 złotych za sztukę, taniej niż w Polsce. Przydadzą się na zapas. Z rozpędu przechodzę na angielski, ale potem widzę, że prościej będzie mówić po polsku. Wszyscy rozumieją nasz język, choć nie każdy się do tego przyznaje. Dopytuję, którym autobusem można podjechać do centrum.

– Jaki numer?

– Dwadzieścia trzy?

Młody człowiek nie jest pewien, ale potwierdzam wiadomość u innych pasażerów. Czekamy kilka minut.

W autobusie daję ciała kompletnie. Wydaje mi się, że płytkę przesuwa się po powierzchni. Męcząc się nad skanem, nie zauważam, że obok jest otwór i normalny klasyczny kasownik. Dopiero śmiechy pasażerów przypominają mi, że nie jestem w Japonii, żeby kombinować z elektroniką, której nie ma.

– Człowieku, to się wkłada klasycznie.

Wojtek nie może utrzymać kamery ze śmiechu. Cwaniak. Najpierw nakręcił, co mu pasowało, dopiero potem postanowił mi pomóc.

Wkładasz do dziurki i już. Ten się śmieje ostatni, co najwolniej kojarzy. Też się śmieję. Człowiek uczy się przez całe życie.

– Ale mam śmiech, jak świnia kaszel.

Prospekt Giedymina. Reprezentacyjnie i drogo.

Wysiadamy na długiej arterii. Prospekt Giedymina, Gedimino prospektas, to jedna z większych i bardziej reprezentacyjnych ulic Wilna, częściowo przekształcona w deptak, ciągnąca się od placu Katedralnego do Wilii i łącząca Starówkę ze Zwierzyńcem. Przed wojną jej patronem był Mickiewicz, ale wtedy też Zabrze nazywano Hindenburgiem. Granice podzielono definitywnie – *to se ne vrati*, czy nam się to podoba, czy nie. Czytam w przewodniku, że w dzień ulica jest przejezdna, za to wieczorem i w nocy udostępnia się ją pieszym. Znajdują się tu liczne sklepy, kawiarnie i restauracje. Wszystko dla klienta. Fajne miejsce.

– Jedliśmy już, ale wejdźmy na chwilę.

Hania chce sprawdzić pocztę i wiedzie nas w znajomym kierunku. Nie mam specjalnego obrzydzenia do McDonalda, ale jeśli mogę, zawsze wybiorę lokalną kuchnię. Nie chodzi nawet o kanapkę. Raczej o Internet. Pod tym względem na Maca można liczyć. Ten w Wilnie jest między innymi na skrzyżowaniu ulicy Giedymina z Jogailos. 3,45 lita za cheesburgera, 4,95 lita za chicken mcnuggets – znów podobnie jak w Polsce, więc mimo płatności litami czuję, jakbym zostawiał złotówki.

Starówka powinna być w pobliżu. Kompletnie jednak nie wiem, w którą stronę trzeba iść. Ten autobus zaburzył mi kierunek marszu. Próbuję zapytać ludzi. I znów, o dziwo, bez problemu mogę się porozumiewać nie tylko po angielsku, lecz także po polsku, którym to władają zwłaszcza starsi. Mógłbym też się dogadać po rosyjsku, ale go zapomniałem od czasów liceum. Cóż, organ nieużywany zanika.

Teraz dopiero okazuje się, że zamiast korzystać z autobusu, prościej byłoby drałować na piechotę. Inaczej zrobi się kółko. Przez to wchodzimy na Stare Miasto jakby od dołu. Ale mamy cały dzień.

– Zobaczcie, promocja. Jakie tanie śniadanie.

Lokal nazywa się Submarine. Znajduje się na ulicy Kalvariju 296. To właściwie pizzeria, ale z szerokim menu. Jest nawet owsianka.

Pokazuję palcem na plakat. Kawa tylko 0,99 lita, czyli nieco ponad złotówkę. Piwo kosztuje 2,99 lita – trochę ponad 3 złote, ale nie będę pił w pracy. Grzechem byłoby jednak nie skorzystać z jedzenia. Co prawda promocja obowiązuje tylko od 9.00 do 11.00, a pora śniadaniowa właśnie się skończyła, ale właścicielka daje się uprosić. Za chwilę dostaję grzanki z serem podane z pomidorami na sałatce (6,99 lita – około 8 złotych). Ciągle mam problemy z przeliczaniem waluty. Jeden lit to nieco ponad złotówka, więc przy litewskiej cenie trzeba trochę dodawać na oko.

– Oni mają naprawdę dobrą kuchnię.

Hanka nic nie mówi, bo jest zajęta jedzeniem. Jak ona zachowuje szczupłą figurę? – to dla mnie zagadka. W każdym razie nie będę patrzył. Grzanka pyszna. Nie dziwię się, gdy słyszę, że to miejsce jest tłumnie odwiedzane przez Polaków. Na **tripadvisor.pl** znajduję również pochwalne recenzje z innych krajów. Dopiero w tym momencie, po śniadaniu, nabieram apetytu na zwiedzanie.

– Najedzeni? Teraz do punktu informacji turystycznej.

Idziemy dalej ulicą Pilies. Starówka zachwyca. Po tym urokliwym mieście z wąskimi i krętymi uliczkami można błądzić godzinami. Tak myśli coraz więcej wycieczek. Przewalają się z jednego końca miasta na drugi. I chyba z każdego krańca świata.

– Czy to Chińczyk?

– Japończyk chyba.

Mężczyzna w orientalnym stroju wykonuje ruchy tai-chi przed kościołem. Towarzyszą mu starsze panie, ale każdy może się przyłączyć.

– To chyba nie Japończyk.

– Ty się nie zastanawiaj, tylko idź lepiej tańczyć.

– Ja ze sztuk walki znam tylko sudoku.

– No idźże, nie wykręcaj się sianem.

Hanka popycha mnie w stronę grupy, więc zataczam się jak dzik w kartoflach. Robię, co mogę, żeby nadążyć za ćwiczącymi. Same ruchy nie wydają mi się specjalnie skomplikowane, ale mam na sobie ciężki plecak, którego nie chce mi się pozbywać.

Albo po prostu jestem cienki jak sik pająka. Tak czy inaczej, gimnastyka relaksuje. A zespołem dowodzi Polak, przesympatyczny zresztą. To przez wąsy i orientalne kimono z daleka wyglądał na Azjatę. Po gimnastyce ucinamy sobie pogawędkę. Głównie on mówi, bo ja dyszę ze zmęczenia, ale czuję, że złapałem drugi oddech.

Coraz bardziej oddycham atmosferą Wilna. Gdyby nie plan, najchętniej wyłożyłbym się na jakimś wygodnym fotelu w knajpie i sączył leniwie kwas. Nie mogę jednak nie zobaczyć miejsca bliskiego sercu każdego rodaka. Jest bardzo gorąco, wręcz upalnie. Czuję się trochę jak bohater *Ukrytego w słońcu* Iredyńskiego – czytałem jeszcze w liceum. Powieść o facecie wspominającym kobiety swojego życia. Ja przywołuję we wspomnieniach raczej miejsca, które chciałbym jeszcze odwiedzić. Niemniej lubię słońce i zawsze będę do niego ciągnął. A w Wilnie go nie brakuje.

Ostra Brama jest zlokalizowana przy kościele św. Teresy i mieści się tu najważniejsze sanktuarium Litwy, z cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, według legendy namalowanej na podobieństwo Barbary Radziwiłłówny. Instynktownie zmierzam w tamtą stronę.

– To nie jest program religijny.

– Wiem. Chciałem tylko rzucić okiem.

Hanka zgadza się i też zagląda. Na szczęście nie ma o tej porze tłumów. Poprzednim razem stałem godzinę w kolejce. Teraz mam chwilę na obejrzenie miejsca, o którym krążyły legendy. Uświęconego modlitwą pielgrzymów za czasów niewoli i niepodległości. Wiem, że Hani to nie interesuje, tym bardziej większość widzów będzie miała to w nosie, ale chcę jeszcze pooddychać atmosferą tego miejsca. Taki ze mnie małomiasteczkowy patriota.

– Idziemy do dzielnicy artystów – Hania przerywa ślamazarny tok wyobraźni i sprowadza wycieczkę na właściwe tory. Wojtek też odrywa oko od obiektywu i wraca do rzeczywistości.

Ostra Brama. Święte miejsce.

A mnie przypomina się jeszcze jeden tytuł: *Za rzekę, w cień drzew* Hemingwaya. Zasadniczo rzecz o przemijaniu. A skojarzenie trafne, bo mam wrażenie, że cofam się w czasie.

Uzupis. Zarzecze. Opisane na każdym turystycznym blogu. Kiedyś w tej części Wilna mieszkali kupcy i rzemieślnicy, teraz osiedlają się tam komedianci i inni postrzeleńcy. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku proklamowali nawet autonomiczną republikę i co roku świętują Dzień Niepodległości. Te happenerskie działania przynoszą efekt. Turyści są napaleni na dzielnicę jak korniki na szafę. Ja też koniecznie chcę zobaczyć, jak wygląda to miejsce.

Uzupis – dzielnica artystów.
Powrót do przeszłości.

Zarzecze jest oddzielone od miasta mostem nad rzeczką Wilenką. Na moście wiszą kłódki, jedna przy drugiej, pokryte gry-

zmołami napisanymi flamastrem. Imiona, daty, krótkie wyznania.

– Że niby zakochani z całego świata zostawiają je jako symbol miłości?

– Ładny zwyczaj. Podobnie jak śniadanie na trawie – sprytnie zmieniam temat, nawiązując do posiłku, na który nabrałem nagłej ochoty.

W sklepie za rzeką wybieram produkty. Przede wszystkim pieczywo. Jest czarny żytni chleb, robiony ponoć na zakwasie. Nie zaszkodzi też paczkowany kindziuk. Na deser może nadadzą się serki w polewie czekoladowej. Wyglądają jak większe cukierki. Koncentruję się jednak na mięsie.

– Zobaczcie, tak powinna wyglądać prawdziwie smaczna kanapka.

Przy okazji robimy przegląd zapasów z domu. Okazuje się, że jest jeszcze pasztet i mielonka. Wojtek wziął nawet konserwę saperską. Jak za studenckich czasów. Wszystko pieczołowicie gromadzę na chusteczce, po czym otwieram pudełko po pudełku. Zawsze wożę z sobą mały ręcznik, służy także jako koc. Scyzoryk ma Wojtek.

– Patrzcie, co jeszcze znalazłem na deser.

Wędzone ozorki, uszy i ryjki wieprzowe cieszą się tu dużą popularnością. Trzeba spróbować i przemóc w sobie ewentualny wstręt, żeby przekonać się, że to jest naprawdę smaczne.

Po posiłku wyrzucam resztki do kosza. Nigdy nie śmiecę. Trochę niemęskie, ale mam to gdzieś. Bardziej martwię się tym, że po sutym posiłku znowu ogarnęło mnie zmęczenie.

– Tu jest fajny i niedrogi bar. Polecony.

Sprawdzamy. Zgadza się. Można zamówić coś na gorąco. Problem tylko w tym, że po śniadaniu na trawie nie mam miejsca w żołądku na cepelina.

– Zjesz kluchę?

– Nie mogę.

– Zjesz, nie gadaj.

Wojtek wie, że jestem najedzony, ale wykorzystuje fakt, że musimy mieć to ujęcie w kamerze.

– Porzygam się – mówię, nie owijając w bawełnę.
– Będą ładne zdjęcia z tego.

Cepelin na wielki głód. Jak to upchać?
Pyzy z mięsem po litewsku.

Trzy razy kwas na raz.

No tak, najważniejszy jest efekt kamerowy. Wojtek pewnie ma rację. Nie chcę jednak zostać tym prowadzącym, który zwymiotował w trakcie prowadzenia programu.

– No dobra, wrócimy na Starówkę. Do tego czasu powinniśmy zgłodnieć.

Siedzimy już dobry kwadrans w kafejce. Do tej pory dzielnica niczym szczególnym się nie wyróżnia. Zapisuję, że chcę zobaczyć, jak wieczorem wygląda życie w „republice artystów". Ale to już następnym razem. Najważniejsze, że w drodze powrotnej na Stare Miasto głód wraca. Tak mnie męczy niesienie torby na kamerę. To dobrze, możemy kręcić. Dam radę. Po drodze odwiedzamy zaułek literacki, biegnący od ulicy Zamkowej. Wśród nazwisk wyrytych na murze są także polskie akcenty: Czesław Miłosz, Adam Mickiewicz. Temu ostatniemu poświęcono muzeum przy ul. Bernardinu. Na ścianie widnieje informacja, że w tym miejscu mieszkał młody Mickiewicz w 1823 roku, czyli chwilę po napisaniu *Ballad i romansów*, które rok wcześniej oficjalnie zapoczątkowały epokę romantyzmu w Polsce. Można tam znaleźć kolekcję wczesnych edycji utworów poety, jego korespondencję i rzeczy osobiste, a także liczne przekłady. Coś jak Oblęgorek z pamiątkami po Sienkiewiczu albo tornister młodego Żeromskiego wystawiony w muzeum w Kielcach. Wstęp: 5 litów.

Powoli zbliża się pora powrotnego autobusu do Warszawy, a ja wciąż nie spróbowałem litewskich cepelinów. Na Starówce długo szukamy knajpy, w której można spokojnie rozprostować kości. Znowu jesteśmy na Pilies, czyli Zamkowej, jak mówią po polsku starsi mieszkańcy. A przy samym deptaku usadowił się śliczny lokal Dvaras. Ludzie nie wchodzą między stoliki, bo te ustawione są na lekkim podwyższeniu. Właścicielka nie czyni żadnych obiekcji w kwestii nagrywania.

– Słuchajcie, mają tu nie tylko cepeliny. Jest także kwas.

– Robiony na miejscu.

Kierowniczka uśmiecha się z dumą.

– Same naturalne składniki.

Nie jesteśmy specjalistami od smaku. Kiedy jednak na stole pojawia się szklanica zimnego pachnącego napoju, Hanka nie wytrzymuje. Bierze łyk i natychmiast zamawia kolejną porcję dla siebie.

– Słuchajcie, to jest po prostu znakomite.

Mam rację, ten smak podoba się każdemu. Oryginalny kwas z domieszką pływających rodzynek. Coś niesamowitego. A do tego jeszcze tani. Razem z daniem głównym wychodzi około 20 złotych na osobę. Wszystko w tym lokalu jest serwowane po cenach bardzo konkurencyjnych dla Warszawy. Nic dziwnego, że stoliki są oblepione turystami, jak słoik miodu przez muchy. Czasem trzeba czekać na wolne miejsce. A wśród języków słychać nie tylko polski. Sporo osób mówi po niemiecku, francusku, a nawet po szwedzku. I wbrew temu, co zobaczyłem na dworcu, to jest Europa. Nie zawsze pierwsze wrażenie się liczy.

Robi się już ciemno i pora wracać na dworzec. Po drodze wstępujemy do marketu Maxima. Przeglądam półki w poszukiwaniu *skiłandis*. Nie próbowałem, ale czytałem, że ten litewski kindziuk nie ma sobie równych. Zwłaszcza taki bez konserwantów, tylko z samego mięsa, które po pokrojeniu i naczosnkowaniu wpycha się do suchego wieprzowego żołądka. Nie bardzo rozumiem opis, ale chyba coś takiego leży na półce. Wezmę i spróbuję w domu.

Wieczór w Wilnie, widok na uniwersytet.

Znakomity jest również *sakotis*, sękacz. Jednak podobnie jak u nas, na Litwie też warto czytać etykiety. Niby naturalne składniki, a chemia wszędzie się czai. Nie wiem, czy dobrze wybieram, ale nie będę się z tego powodu zamartwiał.

Biorę jeszcze przysmak, który przypadł mi do gustu podczas posiłku na trawie – suszone kawałki ryb i owoców morza pachną bardzo nieelegancko, ale smak mają wciągający. Jedna paczka solona, druga z czerwoną papryką. Jako dodatek smażony chleb, tłusta i kaloryczna zakąska do piwa. Uwielbiam ten smak, będę nim chuchał w autobusie.

Powrót znów w komplecie, nie ma ani jednego wolnego miejsca. Tym razem jednak natychmiast zasypiam. Czuję się brudny i zmęczony. Mam tak tłuste włosy, że można smażyć na nich frytki. Muszę kupić sobie na przyszłość dmuchaną poduszkę, jak Hania. Nie będzie mi tak opadać głowa. Moja towarzyszka śpi jak poprzednio.

Przyjazd na Dworzec Zachodni. O dziwo, mimo że jestem zaspany, czuję się lepiej niż poprzedniej nocy. Okazuje się, że też zasnąłem. Trzeba się tylko przestawić na tryb pionowy i uwolnić głowę. Kto szybciej opanuję tę sztukę, ten szybciej może jeź-

dzić po całej Europie. Ja podczas jednego wypadu nauczyłem się więcej niż w trakcie kilku wycieczek *all inclusive*.

Po pierwsze, bierz dmuchaną poduszkę, która w przypadku konieczności spania w pionie na fotelu pozwala naprawdę przyjemnie wypocząć. Nie kupuj najtańszej, tylko najbardziej miękką. Po drugie, uzupełnij zestaw o zatyczki do uszu. Dostaniesz je w każdej aptece albo na Allegro za kilkanaście złotych, a będą służyć wiernie jak niewolnice. Po trzecie, miej pod ręką szczoteczkę i minipastę do zębów. W autobusach są toalety, więc przed snem można się spokojnie umyć. No i po czwarte, zabierz ze sobą mały ręcznik, najlepiej szybkoschnący, żebyś po tym umyciu mógł się jeszcze jakoś wytrzeć. Reszta to zwiedzanie i poznawanie.

Wilno przypadło mi do gustu. Z jednej strony to wciąż Europa. Zwolennicy tej teorii twierdzą, że jej geograficzny środek znajduje się sześć kilometrów na północ od miasta, w pobliżu wsi Purnuskiai. Zobaczę go następnym razem, na razie wiem, że litewska stolica ma jeszcze sporo niespodzianek. I kusi wschodnią gościnnością oraz kresowym klimatem.

To pierwsza podróż, więc jestem sterany jak koń po westernie. Wiele się nauczyłem, ale wiem, że prawdziwa wiedza dopiero przede mną. A autobus też jest do przejścia. Trzeba tylko mieć sposób na zabicie czasu – książka, jedzenie i sen powinny załatwić sprawę. Kolejność dowolna.

Podobno Litwini lubią Polaków jak psy dziada w ciasnej ulicy. Nie zauważyłem ani nie odczułem tego ani razu. Nie wykluczam, że tak jest, mówię tylko o indywidualnych jednorazowych odczuciach. Nasza ekipa zetknęła się z serdecznością i uśmiechem. Wszyscy byli chętni do pomocy. Wyjątek od reguły? Wspominałem, że większość uprzedzeń jest oparta na mitach. Ja właśnie jeden z nich obaliłem. Podobnie jak to, że czas podróży jest pojęciem względnym. W przypadku Wilna daleko oznacza czasem blisko.

Podsumowanie:

Wilno jest pięknym miastem, ważnym dla każdego Polaka, który żyje na co dzień historią i patriotyzmem. Zainteresuje także tych, którzy miłość do ojczyzny mają w nosie i chcą się tylko dobrze bawić. Oferta wileńskich atrakcji jest bogata i różnorodna: od Ostrej Bramy do nocnych klubów z dyskoteką. A Simple Express to wygodna i niedroga linia. Podróżowanie na tej trasie daje szansę poznania republik nadbałtyckich. W zasięgu jest nie tylko Litwa, lecz także Łotwa i Estonia oraz Obwód Kaliningradzki. Dla osób, które boją się latać, to znakomity wybór. Minusem jest czas podróży. Potrzebne są co najmniej dwa wolne dni. Albo jeden, ale z koniecznością spędzenia dwóch nocy w autobusie. Ja to potrafię i jestem gotów zaryzykować.

Co kręci:

Porządek marszruty w Wilnie. Wszystko odbywa się powoli, zgodnie z przepisami, ale skutecznie. Rozkład jazdy to świętość. Nie doświadczyłem spóźnień autobusów, a przejścia dla pieszych pokonywałem, jak wszyscy, na zielonym świetle.

Ceny w mieście w wielu wypadkach są niższe niż u nas. Za kilka litów można zjeść śniadanie i wypić kawę. Trzeba jednak sprawdzać menu, bo zdarzają się lokale, w których zapłacimy więcej niż w Warszawie czy Poznaniu.

Walutę łatwo przeliczyć na złotówki. Język także jest zaletą. Można się porozumiewać po rosyjsku, po angielsku, ale najprościej po polsku. Nie spotkałem osoby, która nie znałaby tego języka. Jednym słowem: zero problemu z dogadaniem się.

Znakomite jedzenie. Do barów z fast foodem można chodzić w poszukiwaniu darmowego Internetu, ale żeby poczuć smak Kresów, trzeba najeść się po kres możliwości przysmaków regionalnych. Cepeliny pożeramy, gdy tylko pojawią się na horyzoncie.

Ludzie są mili i uprzejmi. Przed wyjazdem słyszałem, jak to Litwini nie lubią Polaków. I potrafią im to okazać. Nie doświadczyłem tego w żadnym miejscu. Wręcz przeciwnie, spotykałem się z sympatią i zrozumieniem. Nie chcę generalizować

i nie popadam w uwielbienie. Może to doświadczenie jednostkowe, ale właśnie jednostki tworzą rzeczywistość.

Co wkurza:

Zdecydowanie czas podróży. To, co przy wyprawie samolotowej wydaje się lekkim spacerkiem, tu jest ciężką orką. Trzeba się nauczyć podróżować autobusami. Jeśli ktoś cierpi na bezsenność, koniecznie musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ja w jedną stronę miałem z tym problem, więc lojalnie uprzedzam. Denerwuje też komplet pasażerów; nigdy nie wiadomo, ilu ich będzie, ale trzeba się raczej liczyć z tym, że wszystkie miejsca będą wypełnione na maksa. Nie ma wtedy mowy o wygodniejszym rozłożeniu się na dwóch fotelach.

Cennik:

Walutą obowiązującą na Litwie jest lit litewski (LTL). Obecny kurs tego środka płatniczego utrzymuje się na poziomie 1 LT = 1,20 zł. Z powodu wahań można przyjąć, że jest to mniej więcej stosunek jeden do jednego. Zakupy można robić wszędzie – czy to w pobliżu dworca autobusowego, czy na prospekcie Giedymina. Szczególnie sklepów spożywczych jest bez liku. I kantorów – jeśli nie kupiłeś waluty w Polsce, bez problemu można ją wymienić tutaj. Albo zapłacić kartą.

Przykładowe ceny*:

- Chleb: 1,80 LTL.
- Czekolada: 1,50 LTL.
- Woda mineralna: 1 LTL.
- Coca-cola, 0,5 litra: 2 LTL.
- Batony typu snickers, mars itp.: od 1,49 LTL.
- Żurek w restauracji: 5 LTL.
- Porcja cepelinów: od 13 LTL.
- Piwo w sklepie: 2 LTL.
- Piwo w restauracji: około 6 LTL.
- Chipsy, duża paczka: około 2,50 LTL.

* Ceny, które podaję, są oczywiście orientacyjne i mogą się różnić w poszczególnych miejscach. U nas też chleb w Żabce kosztuje inaczej niż w Biedronce.

PODRÓŻ 2

GRANIE NA ZAJADANIE

miejsce

Białystok

cel podróży

duże miasto - mała kasa

czas podróży

około 3 godzin

cena biletu w obie strony

15 złotych

Nieludzko wczesna pora. A do przejechania ponad 200 kilometrów. Białystok. Dlaczego Białystok? Bo cena czyni cuda. Wystarczy jeden wolny dzień – znakomity czas, żeby wybrać się na wycieczkę. A na miejscu na pewno znajdzie się niejedna atrakcja.

Mimo to, jak wiadomo, kto rano wstaje, ten się guzik wyśpi. Dlatego hasło odjazdu przez świtem brzmi niepokojąco. Nie ma rady, śniadanie samo się nie zrobi. Trzeba przygotować je dzień wcześniej i rano wrzucić do plecaka. Nie chce mi się o tej porze dnia jeść, mogę tylko pić kawę. Mimo to na wszelki wypadek zabieram dwie kanapki. Przekonałem się, że podróżując w nieznane, zawsze lepiej mieć przy sobie jakiś prowiant.

– Autobus jest o 5.40. A my musimy być jeszcze z godzinę wcześniej, żeby ponagrywać sobie zapowiedzi.

Hanka jak zawsze skrupulatnie ustala wszystkie szczegóły. Musi tak robić, na jej głowie jest zamówienie operatora i pamiętanie o wszystkich pozwoleniach, choćby na używanie kamery w miejscach publicznych. Jest nie tylko reporterką, lecz także producentką, i za to ją cenię. Zrobiłaby karierę w wojsku, nawet w siłach specjalnych.

A zatem muszę się obudzić około 3.00. Jak w czasach, gdy wstawałem na *Poranek TVN24*. Przez tyle lat zdążyłem się zahartować, ale nigdy nie przychodziło mi to łatwo.

– A może by pojechać późniejszym kursem?

– Wtedy nie zdążymy w miarę wcześnie wrócić. A poza tym ten późniejszy kosztuje więcej.

Dobrze chociaż, że nie trzeba być dwie godziny wcześniej, jak na lotniskach. Wystarczy kilkadziesiąt minut, żeby nagrać jednego stand uppera i ograć trochę dworzec i autobus.

No tak, cena czyni cuda. Dlatego tym razem decydujemy się na krajówkę i ponownie na autobus. Wystarczy poszperać na stronie przewoźnika i kupić bilet za 5 złotych. Tym razem to Polski Bus, kolejna zagraniczna firma, która zdecydowała się wejść na nasz rynek. Simple Bus jest z Estonii, a Polski Bus pochodzi ze Szkocji. Brain Souter, właściciel popularnej na wyspach brytyjskich linii Stagecoach, dostrzegł szansę w polskim

rynku, który został doprowadzony przez PKS do kompletnego zastoju, i zaoferował wygodne środki transportu oraz system sprzedaży podobny do lowcostowych linii. Im wcześniejsze zakupy, tym niższa cena. Do tego WiFi i katering na dalszych trasach.

Jak najdalej, jak najtaniej.

Kiedy pierwszy raz mówię w telewizji, że bilet do Białegostoku kosztuje 5 czy 7 złotych, internauci piszą z niedowierzaniem: „Bujać to my, ale nie nas”. Dopiero gdy inni podróżnicy potwierdzają moje słowa, wątpliwość zamienia się w entuzjazm. Podobno to parodia radości, ale ja się szczerze cieszę, kiedy kupuję tanio.

Dworzec Południowy to sporych rozmiarów plac przy stacji metra Wilanowska. Brzydki jak grzech śmiertelny, ale przy Dworcu Zachodnim każdy tego typu obiekt obleci. Ważne, żeby punktualnie pojechać. Warszawa jest często przelotowym przystankiem, przez co w przypadku korków na trasie do stolicy można się nieźle naczekać. Na te utrudnienia nie ma mocnych. Jednak o tak wczesnej porze miasto jeszcze nie obudziło się do życia. Czerwony autobus przyjeżdża kilka minut przed odjazdem.

Podobnie jak w Simple Expressie, najlepszym sposobem na tani bilet jest jego kupno w Sieci. Można płacić gotówką w kasie na dworcu, ale tylko w Internecie jesteśmy w stanie

spokojnie przyjrzeć się siatce połączeń i wybrać najkorzystniejsze.

Najważniejszy jest dowód tożsamości i numer rezerwacji. Niektórzy pasażerowie ten ostatni mają zapisany na kartkach papieru. To bardzo wygodne, samemu zdarzało mi się kupić znajomemu w innym mieście bilet przez Internet i potem tylko podyktować odpowiednie cyfry.

– Będzie komplet?

– Wątpię.

– Nie uśmiecha mi się podróż w tłoku jak do Wilna.

– Spokojnie, damy radę.

Hanka znowu ma rację. W przeciwieństwie do pełnego autobusu do Wilna, na ten kurs czeka kilkanaście osób. Zaledwie jedna trzecia, co oznacza, że rozwalimy się jak paniska.

– Każdy będzie mógł się ulokować na podwójnych miejscach i odespać zarwaną noc.

– Ja na pewno tak zrobię.

Tym razem jedzie z nami Tomek Szymoniuk, najweselszy operator, jakiego znam. Zawsze uśmiechnięty, zawsze zadowolony, no i także najszybszy. Bierze kamerę do ręki i za sekundę kręci jak szalony. Ma niespożytą energię. Kiedy ja pragnę chwilę się zdrzemnąć, on zabiera się do dyskusji. Polityka, historia, geografia – wszystko go interesuje. Tu i teraz musi mi to opowiedzieć. Mimo to, udaje mi się za chwilę odizolować. Przeglądam *Prywatne smaki PRL-u* Andrzeja Fiedoruka. Autor sporo miejsca poświęcił kuchni białostockiej. Lubię czytać o jedzeniu. Został mi nawyk z dzieciństwa, kiedy w latach osiemdziesiątych, przeglądając książkę kucharską, wyobrażałem sobie potrawy, których nie miałem okazji spróbować.

Dlatego zagłębiam się w opisy kiszki ziemniaczanej, babek i śledzi. Wszystkiego, co często jest wypierane przez kebaby i pizze. Nie mam nic przeciwko fast foodom, ale lubię równowagę w kulinarnej przyrodzie. Mam nadzieję, że w Białymstoku ostały się miejsca, w których można doświadczyć smaku Podlasia.

Za kolejną chwilę odpływam. Tym razem mam już poduszkę. Poszukałem w Internecie i sklepach ze sportowym asortymentem. Nie mieli różowych (na szczęście), więc wziąłem niebieską. Nie mam za to problemów z zaśnięciem. Koszmarne czuwanie w drodze do Wilna minęło niczym zły sen. Teraz zasypiam jak dziecko. Dzięki temu znakomicie regeneruję siły.

Kiedy się budzę, jesteśmy już na rogatkach.

Przed wyjazdem zrobiłem sobie notatki o mieście. Wyczytałem, że dzieje Białegostoku zaczynają się już w roku 1320, kiedy to litewski książę Giedymin polował w puszczy na tura, a potem znużony uwalił się nad strumieniem. Gdy się z niego napił, ponoć rzekł: „Czysty, biały stok. Można by nad nim nawet wieś założyć". Stąd „stok" to dawne określenie strumienia, który „stacza się" w dół zbocza. Płynie dziś jako rzeka Biała.

Takie informacje znajduję na oficjalnej stronie miasta. Plus ciekawostki, że Białystok to zielone płuca regionu. W mieście jest od groma parków, a dookoła nie brakuje lasów. Nic, tylko oddychać pełną piersią. Szperając dalej w źródłach, wypisujemy z Hanką miejsca, które warto odwiedzić. Najlepiej, żeby były za darmo albo przynajmniej za symboliczną opłatę.

– A co ma wspólnego Białystok z Rzymem?

– …

– Też leży na siedmiu wzgórzach.

– A jaki ma rynek?

Teraz ja nie znam odpowiedzi.

– Trójkątny. Nietypowe trochę.

Przerzucamy się ciekawostkami i powoli w głowie rysuje mi się obraz miasta, które powali mnie urodą na kolana.

Przyjeżdżamy na ulicę Bohaterów Monte Cassino. I tu pierwsze zaskoczenie. Myślałem, że Dworzec Zachodni w Warszawie dzierży palmę najbrzydszego w Polsce. Okazuje się, że ma rywala. Dworzec autobusowy w Białymstoku wygląda naprawdę okropnie. Szary, bury i ponury. Zamiast zachęcać do podróżowania, może je skutecznie obrzydzić. Także i z tego powodu sporo ludzi nabrało przez lata niechęci do podróży autokarowej, kojarząc ją ze ściskiem, brudem i poczuciem niesmaku.

Za to dworzec kolejowy jest najpiękniejszy w kraju. Kilka lat temu wygrał w konkursie, pokonując dworzec w Lublinie i Częstochowie. Faktycznie, budynek to architektoniczna perełka, ale perony moim zdaniem pozostawiają wiele do życzenia. Ruszamy w przeciwnym kierunku.

– Czy daleko stąd do centrum?

– A niedaleko. Prosto tą drogą.

Nie ma żadnej komplikacji. Po prostu trzeba iść 15 minut przed siebie, zgodnie ze wskazanym kierunkiem: świętego Rocha, Lipową i prosto na rynek Kościuszki.

I tu zaszła zmiana, jakby napisała Maria Dąbrowska. Bo oto widzę naprawdę piękne miejsce. Razem z miejskim parkiem i Pałacem Branickich tworzy ono niesamowity kompleks kulturalno-wypoczynkowy. Tu można zwiedzać, tu można się bawić. Choć oczywiście nie w tej chwili. Teraz możemy się najwyżej modlić w bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny – najstarszym zachowanym zabytku w mieście. Tak, rynek w Białymstoku nie ma sobie równych.

Centrum Białegostoku. Małe jest piękne.

Jest dopiero 9.00. Centrum miasta wyludnione. Szkoda, bo lepiej filmować zatłoczone ulice. Jeśli jednak nie będzie padać,

za kilka godzin powinno się zapełnić. Póki co, mamy czas na śniadanie.

Białystok serwuje kuchnię multi-kulti. W wielu knajpach można znaleźć potrawy łączące wpływy polskie z białoruskimi, a nawet tatarskimi. Wszędzie tam występuje ziemniak.

– Może babkę ziemniaczaną?

– Na śniadanie? Chyba oszaleliśmy.

– Przecież to będzie pandemonium jakieś.

Tomek ma takie ulubione powiedzenie. Jak mówi „pandemonium", to wiadomo, że jest hardcor.

– No dobra, idźmy klasycznie.

Bar Astoria przy Sienkiewicza 4, na rynku, nie przypomina baru mlecznego z dawnych lat. Niedrogi obiad można zjeść w luksusowych warunkach. Jest czysto, schludnie i nowocześnie. Lokal, stanowiący połączenie klasycznego baru mlecznego z nowoczesnym designem, mieści się w centrum o tej samej nazwie, w którym oprócz restauracji i centrum konferencyjnego znajdziemy również cukiernię z widokowym tarasem, a w podziemiach nawet pub. W ciągu dnia ustawiają się tu kolejki. Emeryci dzielą miejsca ze studentami i biznesmenami. O 9.00 nie ma jednak nikogo.

Za jajecznicę z pieczywem i kawą płacę mniej niż 10 złotych. Dokładnie 9,79. Byłoby taniej, gdybym zamówił tylko jajka na maśle. Ale biorę na kiełbasie, dlatego jest drożej.

– Aleś zaszalał.

– Raz się żyje.

– Przekonałeś mnie. To i ja wezmę taki zestaw.

Tomek odstawia kamerę i pędzi do kasy.

– A kiedy to pójdzie w telewizji? – Pani w kasie jest wyraźnie przejęta. Początkowo miała obawy, ale Hanka zadzwoniła do szefowej lokalu i uzyskała zgodę na kręcenie. Zawsze pytamy o pozwolenie w miejscach publicznych. Czasem ludzie zgadzają się bez problemu, czasami proszą, żeby zadzwonić do szefa. Wedle życzenia.

– A za dwa tygodnie mniej więcej.

– A może ja nie chcę być kamerowana. – Pani uśmiecha się zalotnie.

– Złociutka, ja ciebie tak sfilmuję, że wyjdziesz jak gwiazda filmowa.

Tomek przekomarza się z barmankami. Krygują się, udają, że się nie zgadzają, ale nie mają obiekcji przed filmowaniem.

Śniadanie kończymy w miłej atmosferze. Prawie. Okazuje się, że w kamerze przepaliła się lampka. Można od biedy dać sobie radę bez niej, ale w pobliżu jest białostocka redakcja TVN24. Mówią, że pożyczą bez problemu.

Odwiedzamy na chwilę biurowiec przy Legionowej. Każda okazja jest dobra, żeby spotkać starych znajomych. I nic nie dzieje się bez przyczyny. Dyżur w redakcji ma dziś Piotrek Czaban, który po godzinach jest basistą w zespole Plan B. Gadamy chwilę o muzyce i znienacka Piotrek proponuje, że po 15.00 może zmontować kapelę do małego jam session.

– Przyłącz się do nas. Przecież jesteś klawiszowcem.

– Ale ja nie mam instrumentu.

– A na czym jeszcze grasz?

– Kiedyś na harmonijce. Trochę. Ale nie ma. Chyba, że kupię w sklepie.

– Tak zrobimy.

Hanka podchwytuje pomysł.

– Skoro już jesteśmy w tak muzycznym gronie, to musicie zagrać.

Bronię się, bo dawno nie grałem zawodowo, a chłopcy robią to na co dzień. W końcu myślę sobie, że raz kozie śmierć. Koło rynku jest sklep muzyczny. Pytam o harmonijki, mają model Lee Oscar. Sprzedawca zachwala, że jest lepszy od Hohnera i nawet światowej sławy bluesmani nie wstydzą się go używać.

– Może Stevie Wonder, to mogę i ja.

Napalam się jak kornik na szafę. Kupuję harmonijkę w tonacji G-dur i postanawiam w wolnej chwili ją przedmuchać. Tymczasem wracamy do planu dnia.

Zwiedzanie Białegostoku zaczynam od punktu informacji turystycznej. Choćby dlatego, że mapy i przewodniki po mieście

są tam dostępne za darmo. Polecają Pałac Branickich, otoczony najlepiej w Polsce zachowanymi barokowymi ogrodami. Obiekt ten jest nazywany Wersalem Północy. Można wejść zupełnie za darmo. W środku mieści się Uniwersytet Medyczny. Zwiedzającym udostępniono Aulę Wielką, kaplicę, hol główny i klatkę schodową. W dni robocze pałac można oglądać już nawet o 5.30, ale wątpię, czy ktoś zjawił się o tej porze. W każdym razie do 17.00 nie ma żadnego problemu.

W punkcie informacyjnym przed bramą główną, kilkadziesiąt metrów od gmachu, można nie tylko pobrać za darmo broszury o Białymstoku, lecz także zobaczyć multimedialną prezentację poświęconą historii miasta.

Pałac Branickich. Polski Wersal za darmo.

Bojary. Zachwalane, ale przereklamowane.

– Idźcie na Bojary. – Pracownica widzi, że szukamy czegoś ekstra.

– A co to jest?

– To taka unikatowa dzielnica. Zanikające osiedle domków jednorodzinnych w centrum miasta. Z jednej strony macie nowoczesne osiedla, z drugiej stare, drewniane domy mieszkalne.

Czytałem o tym na stronie miasta. To pozostałości drewnianego Białegostoku. Tradycja, ale i nowoczesność: dzielnica miała nawet kwartalnik „Echo Bojar", nie wiem jednak, czy w dalszym ciągu wychodzi.

– Czytam w ulotce, że to piękno zaklęte w drewnie. No i szukam tego piękna. Czy na Staszica, czy na Sienkiewicza. Taki budowlany postmodernizm.

Turystom na ogół się podoba, mieszkańcy mają podzielone opinie. Z jednej strony czynione są próby, żeby stworzyć z tego miejsca coś w rodzaju skansenu połączonego z parkiem krajobrazowym, z drugiej zaś pewnie niejeden deweloper ma chrapkę, żeby w takiej bliskości centrum zbudować biurowiec albo apartamenty. Tym bardziej warto, będąc w Białymstoku, zrobić sobie spacer po dzielnicy, bo wydaje się, że człowiek przenosi się w czasie. Póki jeszcze Bojary istnieją. Nawet jeśli nie urywają czterech liter, zasługują na rzut oka.

Robimy rundkę po najważniejszych ulicach. Wydawało mi się, że to mniejszy obszar. Ale i tak po dwóch kwadransach mamy ogląd sytuacji. Zobaczone. Czas na kolejny punkt programu.

– Przepraszam, gdzie jest ogród zoologiczny?

– A tu, przez park i już. – Pierwsza napotkana osoba bezbłędnie pokazuje kierunek. Park Konstytucji 3 Maja.

– Ogród to za dużo powiedziane.

– Że niby jak?

– No bo ogród to ogród, a to wszystko takie mini.

Po przejściu kilkuset metrów rozumiem, co pani miała na myśli. Faktycznie, nie jest to gigantyczna przestrzeń. Zaraz za wejściem rozciąga się kilka wybiegów, głównie parzystokopytnych: kuce szetlandzkie, muflony, sarny i owce domowe. W klatkach siedzą ptaki. Czytam w opisie, że to bażanty łowne, złote i srebrne. Kurę domową i kaczkę rozpoznaję bez opisów. Uroku całości dodaje niedźwiedź. To chyba najbardziej egzotyczny z okazów.

No tak, to nie jest zoo na poznańskiej Malcie, do którego dojeżdża się szynową kolejką, a po obiekcie porusza się meleksami. Ani nawet Chorzów, połączony z parkiem wypoczynku, wesołym miasteczkiem i kolejką linową. Ale jest ZA DARMO. I mimo mikroskopijnych rozmiarów, robi na mnie wrażenie. Jest czysto, schludnie i swojsko. Nawet lama, która, jak wiadomo, potrafi napluć znienacka w oczy, tym razem jest jakaś przyjaźnie nastawiona, jakby uśmiechnięta.

ZOO do zoobaczenia.

Najbardziej egzotyczny z okazów.

– Aleś się rozmarzył.

– No dobra, lubię zwierzęta. Poza tym tu jest naprawdę fajnie. I w zoo, i w parku. Spokojnie i cicho.

Ale, ale. Niech nikogo nie zwiedzie pozorna cisza. Dalej jesteśmy w śródmieściu. Zaledwie kilka minut od ścisłego centrum. Odczuwamy już jednak zmęczenie. Zwłaszcza Tomek, który, po-

dobnie jak Wojtek w Wilnie, musi cały czas dźwigać na ramieniu ciężką kamerę. Bierzemy taksówkę. Za całe 6 złotych.

– Sześć złotych? – Nie mogę uwierzyć, że słyszę taką sumę.

– Tyle się należy.

– Ale ja nie dlatego, że mam pretensje, tylko że tak tanio. – W Warszawie za dojazd z centrum zapłaciłem nieraz sto i więcej złotych. Niby wiadomo, że w nocy i w drugiej strefie, ale jednak kontrast jest ogromny. Aż się chce dać napiwek.

– Dziękuję uprzejmie. A tu znajdziecie coś do jedzenia.

Nawet nie zauważyliśmy, że zrobiło się już popołudnie.

Mam ochotę na jakiś konkretny obiad, lecz zgodnie z obietnicą umawiamy się, że najpierw na niego sami zarobimy.

– Coś bym zjadł, ale w portfelu kicha, nie tylko ziemniaczana.

Nagrywamy szybkiego stand uppera i zajmuję miejsce na scenie.

Wracamy na rynek. Okazało się, że Piotrek Czaban dotrzymał słowa. W ogródku przed knajpą jest już rozłożony sprzęt. Mimo wczesnego popołudnia, kilka osób czeka przy stolikach.

Dobrze, że jednak zaopatrzyłem się w harmonijkę. Zżera mnie przeogromna trema, ale już się nie wycofam.

– Panowie, jaki rodzaj gracie?

– Każdy rodzaj. Może być rock, może być blues, nie ma problemu. Techno nie może być.

– Nie, techno to i ja nie dam rady. Ale z tym bluesem to niezły pomysł. Ja w to wchodzę.

Potrzebuję tylko tonacji. Zamawiam G-dur zgodnie ze strojem harmonijki i po kilku taktach dołączam do zespołu. Trema wciąż mnie nie opuszcza, ale nie zrezygnuję przy wszystkich. Roztrzęsiony jak gnój po polu, wchodzę na estradę i zaczynam koncert.

– Całkiem możliwie.

Chłopaki przytakują z zadowoleniem, w rytm muzyki. Nie dałem ciała, to najważniejsze. Widzę za to, że obawy były nieuzasadnione. Nie jestem mistrzem harmonijki, ale daję radę.

– Może być?

– Dajemy czadu.

Granie na zarabianie.

Jeszcze nie nabrałem ogłady, ale czuję, że oswajam się z każdym dźwiękiem. Nawet próbuję improwizować.

Kolejni widzowie schodzą się na dźwięki gitary. Piotrek jest znakomitym muzykiem. W jego rękach bas nabiera lekkości i finezji. Potrafi zagrać nawet najtrudniejsze pasaże, a w połączeniu z gitarą i perkusją tworzy się kompletna ściana dźwięku. Całe szczęście, bo nawet bez mojego grania daje to niesamowity klimat.

– Robota jak się patrzy, jedni robią, inni patrzą.

Kiedy kończymy zdecydowanym akordem, rozlegają się brawa. Kłaniam się nisko, po czym mówię do mikrofonu:

– Koncert jest darmowy, ale chciałbym zaznaczyć, że mamy ukryty cel. Jesteśmy z TVN-u i zbieramy na obiad.

Czasem najgorszy suchar ma wzięcie. Ludzie się śmieją, a po chwili do pudła po gitarze sypią się miedziaki. Jedna ze słuchaczek wrzuca nawet 50 złotych. To już konkret.

– No, nie było źle. – Wracam do stolika, w tym czasie chłopaki zaczynają kolejny kawałek.

Ogród Branickich.

– Trochę fałszowałeś, ale obleci. – Hanka, jak przystało na urodzonego żołnierza, utrzymuje zespół w bojowej postawie. Nie można za bardzo chwalić, żeby nikomu się nie przewróciło w głowie. Też tak robię.

– Naprawdę fałszowałem? Widocznie słuch mi się popsuł – śmieję się, zbierając graty. Zaraz tam, fałszowałem, swoje wiem. Myślę, że nie było tak źle. Po występie zaglądamy do skrzynki. Uzbierało się 90 złotych.

– No to obiad będzie, jak się patrzy.

– Do zajedzenia.

Tomek ma rację, to było prawdziwe granie na zajadanie.

Czas na zasłużony obiad. Bar Podlasiak to miejsce kultowe w Białymstoku. Rynek, Kościuszki 15. Nawet gdyby ktoś nie znał adresu, każdy wskaże drogę. Podobnie jak Astoria, lokal jest barem mlecznym, również przypominającym klasykę. Wystrój trąci myszką i przypomina mi dzieciństwo. Jest jednak czysto, a ceny, w porównaniu z innymi restauracjami, są bardzo konkurencyjne. Rosół można zjeść już od 1,61 zł. Najdroższe są flaczki, za które trzeba zapłacić 4,78 zł. Kotlety kosztują od 5,33 do 6,82 zł.

– To może cepeliny?

– Cepeliny są litewskie. Tu na Podlasiu podaje się kartacze.

Chciałem uchodzić za znawcę, a okazuję się błyskotliwy jak karetka na sygnale.

– No dobra.

– Cepeliny robi się z tartych ziemniaków, a kartacze z gotowanych.

– Niech będą. – Nie mam ochoty się sprzeczać. Zwłaszcza że wszystko wygląda smakowicie.

Jest jeszcze bar Słoneczny, który najbardziej przypomina jadłodajnię z czasów PRL-u. Stanowi też przykład na to, że nie wszystkie tego typu lokale były w tamtych czasach godne pożałowania. Ma znakomitą kuchnię, miłą obsługę i co najważniejsze, niskie ceny. Podlasiak wydaje mi się jednak najlepszym miejscem dla ludzi dobrej roboty.

Dziewięćdziesiąt złotych zarobione na graniu wystarcza w zupełności na obiad dla czterech osób. Każdy z muzyków bierze zupę i drugie danie, popijane kompotem. Jak za dawnych czasów, kiedy kraju nie opanowały fast foody. I jak dawniej, tanio. W kieszeni zostało jeszcze około 30 złotych. Niestety, powoli trzeba się zbierać. Nikt i nic nie poczeka, a już na pewno nie Polski Bus.

– No, panowie, czas się pożegnać. Miło się grało.

– Może będzie kolejna okazja.

Chłopcy jeszcze nie skończyli jeść, ale oni nie muszą odjeżdżać. Wymieniamy uściski dłoni i zwijamy się z rynku.

Mamy jeszcze jakieś półtorej godziny do autobusu, ale wolę przed dojściem na przystanek sprawdzić pocztę. Niedaleko dworca jest McDonald, w którym jak zwykle szukam Sieci. Może ktoś potrafi żyć bez Internetu, mnie jest on potrzebny do pracy. Znajduję połączenie i na chwilę się wyłączam. Niby w autobusie też jest Internet, ale jadąc do Białegostoku, przekonałem się, że na tej trasie łatwo o czarne dziury.

Autobus przyjeżdża kilka minut przed odjazdem. Nie ma spóźnienia, nie ma też kompletu. To oznacza, że znów mam

dla siebie podwójne miejsce. Hanka i Tomasz również siedzą jak królowie. Resztę drogi czytam i trochę odsypiam.

Do Warszawy przyjeżdżamy zgodnie z planem. Podróż szybko mija. Niby kilka godzin, ale jakoś w ogóle się nie męczę. I wiem, że bez specjalnego planowania mogę się wybrać do Białegostoku ponownie. Miasto poznałem, ale chętnie tam wrócę. Może z noclegiem, wtedy będę mógł sprawdzić ofertę pubów. No i okolice. Zaliczyć Tykocin, zobaczyć Narwiański Park Narodowy, w sezonie letnim wybrać się na tratwę nad Biebrzę. Jest tu co robić, a ten region zasługuje na bliższe poznanie.

Podsumowanie:

Białystok jest miejscem, w którym oddycha się pełną piersią. Należy do sieci zdrowych miast Światowej Organizacji Zdrowia. Na jego terenie znajdują się dwa rezerwaty przyrody: Las Zwierzyniecki i Antoniuk. W samym mieście rzuca się w oczy kontrast między wyremontowanym rynkiem i pozostałymi dzielnicami. Jednak na samym rynku dużo się dzieje. Przebywanie w tym miejscu sprawia, że można się poczuć jak w dużej metropolii. I mnie to wystarcza, by po raz kolejny wrócić na Podlasie.

Co kręci:

Gościnność. Niby ten sam kraj, a jednak ludzie odnoszą się do siebie serdeczniej niż w stolicy. Chętnie wskażą drogę, należycie obsłużą w sklepie czy restauracji. Będąc w tych stronach, zawsze jestem naładowany pozytywną energią. To dzięki mieszkańcom.

Piękne dziewczyny. Wydawało mi się, że to mit. Jednak właśnie w Białymstoku znalazłem ideał słowiańskiej urody. Nic dziwnego, że to rodzinne miasto Izy Scorupco. I mądre – Białystok ma 19 wyższych uczelni i około 45 tysięcy studentów. Na rynku czuje się czasem tę atmosferę mocniej niż w Warszawie. No i jest tanio. Oczywiście nie ma takiego miejsca, w którym nie dałoby się wydać pieniędzy, i w Białymstoku również

znajdują się drogie restauracje. Jednak w większości barów i knajpek ceny są bardzo przyzwoite.

Co wkurza:

Poza rynkiem i niewielkim starym miastem Białystok traci na atrakcyjności. Widać, że wielu kamienicom przydałaby się renowacja. Dworzec autobusowy to miejsce jak z minionej epoki. Czas się tu zatrzymał gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych.

Cennik:

Ceny w Białymstoku nie należą do wysokich. Oczywiście tak jak wszędzie można się szarpnąć finansowo w drogiej restauracji, jednak w większości miejsc najemy się do syta za naprawdę nieduże pieniądze. Szczegółowych informacji warto poszukać na **www.gastronauci.pl**.

Przykładowe ceny:

- Śniadanie w barze Astoria: około 10 złotych (zestaw: jajecznica na kiełbasie, pieczywo, masło i herbata lub kawa).
- Obiad w Podlasiaku: około 15 złotych za zestaw, czyli mięso, ziemniaki i surówka. Na cztery osoby miałem przygotowane 90 zł, a jeszcze została spora reszta. Uwaga: duże porcje, ale można zamawiać pół.
- Wejście do Pałacu Branickich: za darmo.
- Wstęp do zoo: za darmo.
- Taksówka: 6–10 złotych za kurs. W związku z tym w ogóle nie ma potrzeby korzystania z autobusów.
- Nocleg: od 30 złotych, najtańszy, jaki znalazłem, w hoteliku Ilona, koło dworca PKP. Warunki bardzo spartańskie, ale cena czyni cuda.
- Bazylika Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny: za darmo.
- Park Planty: za darmo.
- Dzielnica Bojary: za darmo.

PODRÓŻ 3

TAM, GDZIE ROSNĄ POZIOMKI

miejsce

Nyköping

cel podróży

kawa i ciastko nad Bałtykiem

czas podróży

2 godziny

cena biletu w obie strony

2 złote

Przepraszam, gdzie znajduje się przystanek do Nyköping? Kierowca chyba nie dosłyszał. Powtarzam.

– Linköping? Ten bus przyjechał z Linköping.

– Nyköping. Skąd odjeżdża bus do Nyköping?

Trudno wymówić poprawnie tę nazwę. Staram się powiedzieć ją jako „nyszoping”, ale i to nie jest właściwe. Dopiero za którymś razem słyszę, jak jeden z kierowców mówi w miarę wolno: „NYJSZOPING”. Teraz zapamiętam.

Bilety do Szwecji mają bardzo dobrą cenę przez cały rok i wcale nie trzeba ich rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Wystarczą nawet trzy tygodnie. Kiedyś obowiązywała zasada, że im wcześniej, tym kosztowały mniej. Teraz nie jest to takie oczywiste. Jeśli przewoźnik widzi, że zostały mu niewykupione bilety, woli je wrzucić za niewielkie pieniądze, byle tylko mieć komplet. Zwłaszcza że Skandynawia nie cieszy się takim wzięciem jak Europa Południowa. Nie tylko z powodu pogody, lecz także obaw, że jest na tyle drogo, iż nawet najniższa cena biletu nie zrównoważy kosztów utrzymania na miejscu.

Sielsko, anielsko.

Czasem wychodzą z tego niezłe jaja. Zdarzało mi się kupić bilety na tydzień przed odlotem. To jedyny wyjątek, bo do innych krajów nie ma takiej szansy. Jednak Skandynawia utrzymuje dobre ceny niemal do końca. Nawet jeśli bilety nie są za grosze,

to i tak kosztują mniej niż jakakolwiek krajówka. A to, co pojawiło się w trakcie TEJ promocji, bije wszelkie rekordy.

– Do Szwecji za 2 złote?

– W obie strony.

– To przecież jest niemożliwe.

– A jednak.

Tak najczęściej odpowiadam na pytania, kiedy pierwszy raz zapłaciłem taką sumę. Nikt nie jest w stanie uwierzyć, że samolot do innego kraju, wszystko jedno jakiego, może kosztować mniej niż bilet autobusowy. Ja też nie dawałem wiary. Dopiero gdy po raz pierwszy poleciałem, przekonałem się, że to działa. Dlatego teraz cierpliwie odpowiadam, bo pamiętam, że takie pytania sam niedawno zadawałem. Włącznie z tym głównym: czy to jest ostateczna cena i nie będzie żadnych dopłat?

Zagranica za 2 złote. Niezłe jaja.

Tak, nie ma żadnych dopłat. Trzeba tylko pamiętać, że lecimy z bagażem podręcznym i na wszystkie propozycje wykupienia dodatkowej usługi odpowiadamy: „Nie”. (Wyjaśniam to dokładnie na końcu książki).

Hania również na początku nie ukrywa zdumienia. Kiedy pierwszy raz siadamy przy komputerze, jej oczy robią się jak spodki. Kilka dni później sama szuka biletów, buszując po stronach przewoźników jak rącza łania, ale wrażenie z pierwszej reakcji – bezcenne. Pokazuję dowód zakupu.

– Proszsz.

– No to jest jakiś obłęd.

– Nikt nam nie uwierzy. Powiedzą, że telewizja kłamie.

– No ale właśnie tym lepszy efekt. TVN przecież nie kłamie.

– Zwłaszcza że takie ceny są niemal na okrągło.

– Ale takiej ceny to ja jeszcze nigdy nie widziałam. A przecież Szwecja to taki drogi kraj.

– Może nie najtańszy, ale da się wyżyć. Lecimy?

– No przecież.

Entuzjazmu nie brakuje. Zwłaszcza że to nasz pierwszy lot. Zaliczyliśmy dwa kursy autokarami na rozgrzewkę, ale czas się wreszcie przelecieć. Mnie to odpowiada. Z racji charakteru pracy w TVN24 i TTV mogę stwierdzić jak James Bond: ciężko mi planować dalej niż na dwa tygodnie. A tu nie trzeba było wykroić całego dnia, tylko jego część. I taki jest cel podróży. Chcę udowodnić, że można się wybrać do miasta w innym państwie na kilka godzin. Niepotrzebne jest do tego ani planowanie urlopu, ani wielkie przygotowania. Można polecieć z kumplem na piwo albo z dziewczyną na kawę. Można wreszcie samemu udać się do uroczej miejscowości, rozkoszując się zupełnie innym życiem niż w Polsce.

Postanawiamy skoczyć na jedno popołudnie. Wylot z Modlina po obiedzie o 13.20, a powrót tego samego dnia o 21.30. W jedną stronę Ryanairem, w drugą Wizzairem. Najczęściej, żeby złożyć bilet, potrzebny jest składak. Żaden problem. Za 2 złote? Grzechem byłoby nie skorzystać.

– Polecimy na kawę. Taki będzie motyw odcinka – Hania już ma gotowy pomysł. Wcześniej robimy eksperyment. W jednym z warszawskich lokali zamawiam kawę i dwa ciastka. Cena wynosi 21 złotych.

– Zobaczymy, czy uda się znaleźć coś w podobnej cenie.

Przygotowania idą pełną parą. Wcześniej, jak to mam w zwyczaju, rzucam pytanie na fejsie. Nie obiecuję sobie wiele po rozmowach na portalach społecznościowych, większość rozmówców chce być zabawna i popisuje się słabymi dowcipami w rodzaju: „Co można zobaczyć w Szwecji? Szwedki".

Czasem trafiają się jednak cenne wskazówki. Ryzykuję. Wrzucam na profil pytanie: „Co można zobaczyć ciekawego w trakcie jednodniowej wyprawy do Szwecji?". Po chwili przychodzi pierwsza odpowiedź: „Szwedki".

No właśnie. Na fejsie najlepiej rozmawia się o pierdołach.

Kolejne wpisy są utrzymane w podobnym stylu. Część internautów pisze, że nic nie można zobaczyć, inni kopiują zawartość encyklopedii. Nie tylko nie dowiaduję się niczego, ale jeszcze zostaję zasypany pytaniami, gdzie się kupuje tanie bilety. Akurat teraz.

Nie ma w tym momencie czasu na odpowiedzi. Skoro Facebook zawiódł, muszę zgłębić fora dyskusyjne. Wystarczy wpisać nazwę lotniska i już wyskakuje kilkanaście stron z dokładnym info na temat dojazdu do centrum, zakupu biletów i miejsc, które warto odwiedzić. Kopalnia wiedzy.

Lotnisko nazywa się Sztokholm Skavsta. Niech was jednak nie zwiedzie nazwa stolicy. Do Sztokholmu jest jeszcze sto kilometrów. Na szczęście dzięki dobrej autostradzie można pokonać tę trasę w nieco ponad godzinę.

– Sztokholm brzmi bardzo atrakcyjnie.

– Ale to nie nasz cel. Za mało czasu. Polecimy innym razem. Przypominam, że wybieramy się tylko na kawę i ciastko.

Oprócz mnie i Hani leci tym razem Krzysiek Poczopko. Najmłodszy z paczki, ale zarazem najsilniejszy. A przede wszystkim robi bardzo precyzyjne zdjęcia. Zawsze sumienny i dokładny, jeśli nakręci, wiadomo, że będzie to kawał dobrej roboty.

Kiedy się dowiaduje, że jego podróż ma kosztować zaledwie 2 złote, też nie może uwierzyć. Hanię bawi jego niedowierzanie, tak jak mnie bawiła kilka dni wcześniej jej niewiara.

Wszystkim nam podoba się pomysł popołudnia za granicą. To jest tak nierealne, że byłoby atrakcyjne nawet gdyby człowiek przesiedział ten czas przy jednej kawie na dworcu. A tu jeszcze w planach mamy wyjście do portu i zwiedzanie starówki. To wszystko w miasteczku, które jest oddalone od lotniska o kilka kilometrów.

Nyköping. A jak dla mnie już „Nyjszoping”.

Zadowolony Krzysiek. Jeszcze nie wie, co go czeka.

Spacer to czysta przyjemność.

Miasto w południowo-wschodniej Szwecji, w regionie Sodermanland, i zarazem port przy ujściu rzeki Nyköpingsan do Bałtyku. Tak zaczynają się internetowe opisy. Około 32 tysięcy mieszkańców. Coś jak podwarszawskie Piaseczno. Tyle że dużo starsze.

– Jest tak stare, że wisi chyba Mojżeszowi 5 złotych.

– Znakomicie. Ja lubię małe miasteczka. Szczególnie na kilkugodzinny wypad.

Nie trafiamy zatem tym razem do metropolii, lecz do spokojnego, niewielkiego miasta, w którym życie płynie leniwie i pogodnie. Taka jest podobno Szwecja. Spokojna, bezpieczna i zarazem wciągająca.

Po wyjściu z terminalu faktycznie okazuje się, że przystanek jest usytuowany zgodnie z opisem. I za chwilę podjeżdża na niego autobus 515. Kierowca uśmiecha się przyjaźnie i pyta, ile biletów potrzeba.

Czas jazdy wynosi około 12 minut, a bilet kosztuje 24 korony, czyli mniej więcej 12 złotych. Nie można płacić gotówką. Podobno kiedyś istniała taka możliwość, ale w tej chwili zostaje karta. Dla mnie to lepiej. Wyrobiłem sobie właśnie MasterCard na Wizzaira, dzięki czemu z każdej płatności wskakują mi punkty na konto. Jak się uzbiera więcej, zamienię je na zło-

tówki, którymi zapłacę za jakiś bilet. Czyli dostanę go jakby za darmo.

To, co wyczytałem na forach internetowych, okazuje się prawdą. Kierowca przytakuje. Wreszcie się jakoś dogadujemy. Z angielskim nie ma problemu, tylko to ja źle wymawiam szwedzkie nazwy.

– Trzy bilety, proszę.

Przykładam kartę do terminalu. Żadnych kolejek, żadnego utyskiwania, że nie ma drobnych. PIN i potwierdzenie, kolejny PIN i znów następny.

Moim zdaniem to świetne rozwiązanie. Długi czas nie mogłem się przełamać, żeby w ten sposób regulować płatności za granicą. Może komuś wydaje się to dziwne, ale ktoś, kto połowę swego życia spędził w PRL-u, jest nieufny z natury i musi odczekać chwilę. Kiedy jednak w końcu zacząłem dokonywać transakcji kartą, nie zamieniłbym się na żadne inne rozwiązanie. Zamiast szukać, przeliczać, kombinować, korzystam z karty, którą wyrobiłem na tanie latanie. Przeliczniki są korzystne, nawet nie odczuwam marży.

A w Szwecji kartą można płacić za wszystko. Nie ma durnego limitu minimalnych zakupów, który znamy tak często z Polski. Czy gazeta, czy cola – karta przydaje się do wszystkiego. Nie wiem też, czy to nie przypadek, ale zauważam, że wszystkie transakcje idą szybciej. Nie zdarzyło mi się jeszcze czekać w nieskończoność, aż system przetrawi informację. Karta, PIN, kilka sekund, po karcie, paragon, następny.

Dlatego nawet jeśli na autobus czeka kilkanaście osób, kolejka przesuwa się sprawnie.

– Jedziemy.

– Patrzcie na te pola.

Krzysiek jest wyraźnie zauroczony. Faktycznie krajobraz jest wielce atrakcyjny. Szwecja zawsze kojarzyła mi się ze spokojem i surowością. Okazuje się, że miałem o niej dobre wyobrażenie.

– Gęsi, kury, kaczki.

– No, i droga na Ostrołękę – śmieję się. Za kilka chwil dojeżdżamy. Ledwo udaje nam się nakręcić samo wejście do autobu-

su i wnętrze.

Za kolejnych kilka minut jesteśmy w mieście. Można wysiąść albo przy stacji kolejowej, albo na dworcu autobusowym. Pierwsze rozwiązanie jest dobre dla osób, które chcą zanieść rzeczy do hotelu. Stację łatwo rozpoznać. Warto nawet zwiedzić budynek z czerwonej cegły – jest czysty, schludny, a ja do tego łapię w nim darmowy Internet. Stąd, podobnie jak z lotniska, można pojechać do Sztokholmu. Czasem wychodzi to taniej, bo bilety w szwedzkich kolejach funkcjonują trochę tak jak oferta tanich przewoźników. Im wcześniej się kupuje, tym mniej się płaci. Przed podróżą z Polski warto sprawdzić, czy się opłaca. Najtańszy przejazd można upolować już za 30 złotych w jedną stronę, o połowę taniej niż busem.

Railway Hostel jest tuż za budynkiem dworca. To najtańsza oferta noclegowa. Jeśli będziecie latać do Szwecji, wcześniej czy później tam wylądujecie. Obsługi nie ma już po 11.00, ale jeśli ktoś jest gościem, zawsze dostaje mail z kodem do drzwi oraz kodem do kasetki, w której znajdzie kopertę z nazwiskiem i kluczem do pokoju. Szybko, sprawnie, bezboleśnie. Będę o tym pamiętał, kiedy przyjadę prywatnie, żeby zanocować przed powrotem do kraju.

– Jedziemy na dworzec.

Nie nocujemy przecież, więc będziemy mieli bliżej do śródmieścia. Właściwie to już centrum, trzeba tylko przejść kilkaset metrów. Na piechotę zajmuje to około 10 minut, autobusem zaledwie trzy minuty. Na potrzeby kamery pytam ludzi, w którą stronę najlepiej iść. Wszyscy mówią po angielsku. Nie spotykam nikogo, kto by nie znał tego języka.

– To jest Västra Storgatan. Taki główny deptak spacerowo-handlowy. Zaczyna się przy dworcu sklepem muzycznym i angielskim pubem, a prowadzi do rynku. Ulica jest zapełniona pieszymi i rowerzystami. Tych drugich jest nawet więcej. Po jednej i drugiej stronie ciągną się sklepy i punkty gastronomiczne. Można skorzystać z WiFi. Nawet nie trzeba wchodzić do lokalu, wystarczy przysiąść na jednej z ławek. Sygnał jest na tyle silny, że dociera z wystarczającą mocą.

– Pięknie tu.

– Jedwabiście. Tak spokojnie.

Na ławeczkach siedzą starsze panie, młodzież licealna. Jest cudowny słoneczny dzień. Aż przyjemnie popatrzeć na zabytkowe wnętrza domów handlowych. W największym z nich działa kantor, Hania idzie tam wymienić pieniądze. Ja mam korony jeszcze z Polski. Można je kupić w każdym punkcie wymiany walut. Przelicznik wynosi jeden do dwóch, a więc jest bardzo prosty. Jeśli coś kosztuje 100 koron, od razu wiem, że to 50 złotych.

Wśród centrów handlowych znajduje się jedno szczególne miejsce. Tam i tylko tam można kupić alkohol.

– Systembolaget. Zielona tablica z żółtymi literami.

– Co to jest?

– To komunikat, że tylko w tym miejscu możesz kupić alkohol.

SYSTEMBOLAGET. Państwowa sieć sklepów mająca monopol na sprzedaż napojów alkoholowych o zawartości powyżej 3,5 procent. Aby zakupić alkohol w Systembolaget, trzeba mieć ukończone 20 lat, a dostępność sklepów nie jest duża. W całej Szwecji działa ich zaledwie 410. Skoro jednak weźmiemy pod uwagę fakt, że w dużym Sztokholmie ich liczba wynosi 22, a w równie sporym Göteborgu 12, to trzeba się cieszyć, że w Nyköping jest choć jeden. Ewentualnie można pić piwo bez procentów. Ale po piwie bezalkoholowym czuję się jakby oszukany.

– No, ale widziałem piwo w każdym innym sklepie.

– Tylko do 3,5 procent. Najczęściej 2,8 procent, taki sikacz. Nic innego nie uświadczysz. Chyba że w knajpie, ale tam kosztuje bajońskie sumy. – To rozwiązanie obowiązuje nie tylko w Nyköping. Cała Szwecja funkcjonuje w ten sposób. Mówię to jako ciekawostkę. Alkohol też jest dla ludzi. Czy jego reglamentacja cieszy Szwedów, czy martwi, to inna bajka. Na razie widzę, jak ludzie wynoszą ze sklepu naręcza alkoholu. Jakby każdy szykował wieczór kawalerski bądź stypę.

Nie w głowie nam odwiedzanie sklepu monopolowego. Jesteśmy w Szwecji tylko przez kilka godzin, więc do wyboru mamy

albo zwiedzanie, albo zakupy.

Główna ulica prowadzi do rynku. Przed południem mają tam rozłożone stoiska handlarze. Po 15.00 zaczynają zwijać interes. Podobnie budynek Urzędu Statystycznego powoli pustoszeje, a o 17.00 portier zamyka drzwi na klucz. Czemu to ważna informacja? Bo w budynku jest bezpłatna toaleta. Niby drobiazg, ale często właśnie taka wiedza jest potrzebna przybyszowi, który zanim zacznie dalej zwiedzać, musi skorzystać z WC.

Czas na ciąg dalszy eksperymentu.

– Potrzebna nam jakaś fajna kawiarnia, gdzie nie będą kręcić nosem na kamerę.

Helmanska Gården to najlepszy wybór. Z głównej ulicy wchodzi się do ogródka przez sklep z pamiątkami. Drugiego wejścia należy szukać w bocznej uliczce. Jest ciepły dzień, więc można robić degustację na zewnątrz. To urocze miejsce. Sklep, restauracja i cukiernia obok siebie. Trzysta lat historii.

Za sklepem pamiątkarskim znajduje się uroczy ogródek, w którym można się napić, nawet jeśli będzie chłodno. Szwedzi siedzą w środku, więc i ja się przyłączam. Potem nie zapomnę o zwrocie naczyń. Dobry nawyk z IKE-i. Wszyscy tak robią.

– Pamiętasz, co zamawialiśmy w Polsce?

– No jak nie, kawa i dwa ciastka kosztowały 21 złotych.

Taki sam zestaw biorę w Hellmanska Gården. Chwilę dyskutuję z sympatyczną kelnerką, jakie ciasto wybrać, w końcu decyduję się na jabłecznik. Jako drugie biorę karmelowe. Nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że to trafny wybór. Inni klienci zamawiają podobne łakocie.

– Dwadzieścia trzy złote!

– Nie wierzę.

Hanka pochyla się nad rachunkiem. Krzysiek przeciera obiektyw kamery.

– A jednak. Dwadzieścia trzy złote, jak w mordę strzelił.

Okazało się, że w kraju uważanym powszechnie za droższy od naszej ojczyzny można przyjemnie siedzieć w kawiarni za podobne pieniądze. Kiedyś żartowałem na ten temat, teraz

z każdą podróżą przekonuję się, że to nie są żarty: Polska jest drogim krajem.

Wypite, zjedzone, nagrane. Idziemy dalej.

Docieramy do ścieżki biegnącej wzdłuż rzeki Nyköpingsan. Tym szlakiem można dojść aż do portu, czując się jak w muzeum pod gołym niebem. Co kilkaset metrów rozmieszczone są tabliczki informujące o historii danego obiektu. W ten sposób docieramy do portu.

Port w Nyköping. Zacumowałem.

Jaki kurs obrać?

W porcie jest całkiem pusto. Może przed południem przechadza się więcej ludzi, ale w tej chwili nie widać nikogo, co akurat nam kompletnie nie przeszkadza. Widoki są tak piękne, że obecność ludzi całkowicie zaburzyłaby sielankę.

– Tu masz dopiero dzikie gęsi.

Może nie takie dzikie. Jak widzą coś do jedzenia, potrafią wskoczyć nawet na kolana. Karmię je kawałkami chleba. Żarłocznie chwytają jedzenie w dzioby, jakby nie widziały go od lat. Fajnie tutaj. Ale dziś tylko chapiemy Szwecję po kawałku, jak kaczki swoje skrzydełka, nacierając je tłuszczem chroniącym przed zimnem.

– Słuchajcie, musimy powoli zataczać w stronę rynku.

W drodze powrotnej kolejna atrakcja. Zamek. Widać go z daleka, ale nie wiadomo, która droga jest najkrótsza na dziedziniec. Poza tym może w tym mieście jest kilka zamków.

– Nie, jest jeden, to ten.

Drogę wskazuje nam siwowłosy Arab w skórzanej kurtce. Chwilę rozmawiamy, okazuje się, że jest z Iraku. Częstuję go papierosem i żegnamy się uprzejmie, jeszcze z daleka macha nam ręką, pokazując właściwy kierunek.

Królestwo Nyköping.

– Jakim cudem, skąd aż z Iraku?

Dopiero po powrocie czytam, że społeczność iracka jest w Szwecji bardzo liczna. Po drodze do Sztokholmu mija się miasto Södertälje, w którym populacja imigrantów z tego kraju liczy prawie 40 procent. Coś jak Birmingham w Anglii.

Zamek Nyköpinghus. Na dziedzińcu odbywają się festyny, ale nawet jeśli jest opustoszały, można sobie pospacerować. Muzeum zamkowe jest darmowe, trzeba tylko pamiętać, żeby nie przychodzić po 17.00.

Przewodniki podają, że w 1317 roku miał tu miejsce tzw. bankiet w Nyköping – król Birger pojmał dwóch braci w zemście za wcześniej doznane krzywdy i zamknął ich w celi, gdzie zmarli z głodu. Zamek jest do dziś w dobrym stanie i łatwo go znaleźć. Wszędzie wiszą tabliczki z napisem „Nyköpinghus” albo po prostu „Old Castle”. Można go zwiedzać bezpłatnie.

– Król Birger.

– Birgerking.

– Lepiej nie mów do kamery, bo to za bardzo podobne do nazwy fast foodu – śmieje się Hanka.

Wracamy na rynek. Właściwie równoległą ulicę. Ściemniło się i wyludniło.

– Czemu tak pusto?

– To zupełnie inne miasto.

Co można robić w Nyköping wieczorem? Na ulicy o nazwie Stargate robi się ciemno, że oko wykol. Jednak w lokalach ludzie siedzą przynajmniej do północy. Czynne są także sklepy hinduskie i arabskie, w których można kupić jedzenie, a jeśli ktoś rozpaczliwie poszukuje alkoholu, również piwo, mimo że ma maksymalnie trzy procent. Podają też turecki kebab z frytkami.

– Nie mam ochoty. Znowu kebab.

Lepszym miejscem jest „chińczyk". Bar przypomina te z Polski, ale oczywiście jest tu drożej. Za to nie trzeba podawać nazw potraw. Wystarczy obejrzeć zdjęcie i powiedzieć właściwy numer. Cena wynosi w przeliczeniu około 45 złotych. Drogo, za to kawa i herbata są serwowane gratis. Porcja spora, a smakuje wybornie.

– Naprawdę jestem pod dużym wrażeniem.

– Za takie pieniądze musi być duże.

Wracamy równoległą ulicą do Västra Storgatan. Po drodze kupuję kawę Lofbergs. Na opakowaniu jest napisane „Mellanrost Var Klassiska". Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale widzę, że półkilowa paczka kosztuje 25 koron, dwie w promocji – 40 koron. To taniej niż w Polsce, a słyszałem, że szwedzka kawa nie ma sobie równych. Biorę, nie przejmując się, czy celnicy nie będą mieli obiekcji do zawartości podróżnego bagażu. Muszę mieć jakąś pamiątkę. Choćby na dowód, że Polska ma droższą kawę niż droga przecież Szwecja.

Dworzec autobusowy jest kompletnie pusty. Z informacji na przystanku wynika, że autobus na lotnisko powinien być za kilka minut. Kwadrans później jesteśmy ponownie na terminalu. W drodze powrotnej nie ma kompletu w samolocie. To lubię. Można się zrelaksować, więc wyciągam *Uwolnić niedźwiedzie*. Debiutancka powieść Johna Irvinga przenosi mnie do Wiednia. Samego miasta nie miałem okazji poznać, ale wiem, że któregoś dnia pojawi się na mojej prywatnej mapie.

Europa wydaje mi się taka mała. I dostępna. Jeszcze kilka godzin temu byłem w pracy, a teraz siedzę w innym kraju, by wieczorem ponownie być w stolicy. Wiem już, że latanie to coś dla mnie. Najszybszy i najtańszy środek transportu. Dawno nie czułem się tak wolny.

Szwecja zachwyca. Wszystko, co widzę, emanuje spokojem. Jakbym oglądał mój ulubiony film Bergmana *Tam, gdzie rosną poziomki*. Tych ostatnich nie widziałem, co prawda, ale nic dziwnego, w końcu to nie ta pora roku. Za to reszta krajobrazu pachnie nostalgią i, bo ja wiem, pogodą ducha. Tej ostatniej życzę każdemu jak najwięcej.

Nyköping da się zwiedzić w kilka godzin. Można jednak przebywać w nim znacznie dłużej i wcale się nie nudzić. Wszystko zależy od tego, czy pragniemy szaleństw, czy spokoju. Jeśli tego drugiego, to adres jest idealny. Na mnie to miejsce działa jak sanatorium. Mam szansę na zaległe lektury, relaksujące spacery i posiedzenie nad laptopem przy kawie, której Szwedzi piją najwięcej na świecie w przeliczeniu na mieszkańca. Sympatyczne, małe miasteczko. A ja, w przeciwieństwie do Andrzeja Bursy, mam głęboko w sercu małe miasteczka. A kawa przechodzi przez *check-in* bez problemu. Od tej pory zawsze, kiedy jestem w Szwecji, a bywam często, kupuję dwie paki.

Palę się do pracy.

Pora wracać do domu.

Podsumowanie:

W Nyköping nie znajdziemy wielu miejsc do zwiedzania. Miasto stanowi jednak znakomitą odskocznię od wielkomiejskiego zgiełku i jest absolutnie bezpieczne. Mimo że centrum wyludnia się wraz z zachodem słońca, można chodzić po wszystkich zaułkach w poczuciu, że nikt nas nie napadnie i nie będzie nagabywał. Za każdym razem, kiedy w nim jestem, czuję, że regeneruję siły. Relaks zawsze wskazany.

Co kręci:

Możliwość niedrogich zakupów w kilku hipermarketach – jest znany z Polski Lidl i nieznane u nas Tempo. Żeby się do nich dostać, trzeba przejść z hotelu przez centrum miasta i kierować się w stronę rzeki.

Centra handlowe mieszczą się w budynkach mających kilkaset lat – ciekawe połączenie tradycji z nowoczesnością.

Znajomość języka. Każdy mieszkaniec włada angielskim. Nie ma żadnego problemu z zapytaniem o drogę. Ponadto w krót-

kim czasie zauważymy, jak wiele szwedzkich słów staje się zrozumiałe. Tylko z początku wydają się nie do ogarnięcia. Nie święci garnki lepią.

Co wkurza:

Ceny w knajpach. Mimo że niektóre produkty, jak kawa czy ciasto, są porównywalne z warszawskimi, jedzenie w pubach i restauracjach to większy niż u nas wydatek. Najlepiej robić zakupy w Tempo albo Lidlu, należy jednak do nich podejść kawałek, oddalając się od portu.

Denerwuje mnie także to, że słynne pieczone ziemniaki kosztują aż 70 koron. Co z tego, że smaczne, skoro to zwykły ziemniak podlany sosem z kawałkami kurczaka. Stanowczo za drogo.

Miłośników alkoholi nie ucieszy zakaz sprzedaży mocniejszych trunków poza wyznaczonymi miejscami, czyli w jednym sklepie. Nie ma oczywiście problemu z knajpami, ale to spory wydatek. Szwecja jest droga i żeby wyszło w miarę tanio, trzeba się sporo nachodzić.

Cennik:

- Woda mineralna: 5 SEK.
- Piwo: słabe do 3,5 procent około 7 SEK, „normalne” w Systembolaget: od 8 SEK.
- Piwo w pubie: 50 SEK.
- Czekolada: 20 SEK.
- Kawa: od 30 SEK.
- Pieczywo: 10 SEK.
- Papierosy: 48 SEK.
- Baterie, 10 sztuk: 40 SEK.
- Banany: 20 SEK.
- Hamburger: 20 SEK.
- Toaleta miejska: 5 SEK.

PODRÓŻ 4

JESIENNE ZIOŁO

miejsce

Eindhoven

cel podróży

na własnym rowerze

czas podróży

2 godziny

cena biletu

38 złotych

To dla mnie najtrudniejszy wyjazd. Logistycznie. Kilka dni wcześniej Hania łamie nogę. Na prostej drodze, w centrum Warszawy. Trudne do uwierzenia, ale prawdziwe. W moich rodzinnych Kielcach mawiano, że w parku Kościuszki w nocy żyletki same z drzew spadają, więc może i w drewnianym kościele spadnie na głowę cegła.

Co prawda ostatecznie złamanie okazuje się pęknięciem, czyli jest odrobina szczęścia w nieszczęściu, ale mimo to najbliższy wyjazd dziewczyna ma skreślony. Doktor zabrania. Nakazuje odpoczynek, a nie latanie po mieście z wywieszonym jęzorem. Zwłaszcza że w obecnym stanie ja stoję szybciej, niż ona biega.

Pal sześć bilety. Nie są przecież drogie, tylko 38 złotych w obie strony. Nie można jednak pozwolić na przerwanie cyklu. Dopiero zaczęliśmy i pięknie się wszystko rozkręca. Zatrzymać się w takiej chwili, to jak stanąć na środku Marszałkowskiej i liczyć, że nikt cię nie potrąci. Wielkie ryzyko, powroty są najtrudniejsze. Do końca mam nadzieję, że może jednak uda się coś załatwić.

– Nic się nie uda załatwić. Lećcie sami.

– Łatwo powiedzieć. Do tej pory robiłem swoje, teraz będę musiał myśleć za dwoje.

– Wszystko mamy przecież umówione. Jest z tobą Tomek, z którym już pracowałeś. Dacie radę.

Jak tak, to tak, trzeba lecieć, ale w żołądku mi burczy. Nie mam głowy do papierów, jestem zapominalski i czasem potrzebuję bicza nad sobą. Nie dosłownie, żeby nie było niedopowiedzeń. Trzeba być dobrze poukładanym, by mieć wszystkie możliwe dokumenty, zgody i pozwolenia na robienie zdjęć, których na ogół robić się nie da. Tym razem wszystko spoczywa na mojej głowie.

I operatora, wspomnianego Tomka Szymoniuka. O ile ja jestem gapa, o tyle jego obecność daje cień nadziei, że o niczym nie zapomnimy i wszystko uda się zrealizować zgodnie z założeniami. Gdybym miał jechać z niedoświadczonym młodzikiem, prawdopodobnie nie podjąłbym się zadania. A tak mam przynajmniej pewność, że pracuję ze świetnym fachowcem. „Trzeba

lecieć? No to polecimy, nie ma sprawy” – powtarzam sobie jak mantrę, utwierdzając się w przekonaniu, że dobrze robię.

Ta podróż jest nowa z jeszcze jednego powodu. Pierwszy raz w tym cyklu będziemy nocować za granicą. I to nie jedną, ale dwie noce. Bilety tak się ułożyły, że aby skorzystać z najniższej ceny, trzeba przebywać w Holandii dwa dni. Szykujemy się zatem na wylot w poniedziałek i powrót dopiero w środę. Co prawda w epizodzie wileńskim też spędziliśmy dwie noce poza domem, ale to było czuwanie w autobusie, to się nie liczy. Może i dobrze, dzięki temu będziemy mieli więcej czasu na spokojną dokumentację.

Jak zwykle do wyjazdu trzeba się przygotować. Przez kilka dni zawzięcie czytam ciekawostki dotyczące miasta. Jeśli coś wydaje mi się szczególnie zajmujące, dodaję linka do „Ulubionych”, a najciekawsze fragmenty przepisuję do katalogu w Wordzie. Sprawdzam odległości na Google Maps, żeby wiedzieć, w jakiej kolejności ułożyć punkty zwiedzania.

To bardzo ważny element każdej podróży: weryfikowanie lokalizacji z mapą w ręku. W ten sposób poznaje się miasto jeszcze przed przyjazdem. I można zaoszczędzić trzy najcenniejsze rzeczy: czas, pieniądze i nerwy.

Szykuje się męska wyprawa.

Podkreślam na kolorowo szczególnie istotne fragmenty. Każda podróż to jak przygotowanie się do egzaminu. W TVN24 na-

zywamy to briefowaniem się. W ciągu kilkunastu lat pracy w kanale, briefuję się niemal codziennie. Dziś zwłaszcza kulinarnie.

– Zróbcie coś o jedzeniu, żeby zagrać jakoś kuchennie.

Sprawdzam zatem regionalne dania. Z czego słynie kuchnia niderlandzka? Starym zwyczajem wrzucam pytanie na fejsa, spodziewając się jednak, że niewiele nowego się dowiem.

– Z frytek.

Jasne. A najlepsze ziemniaki na frytki to *bintjes*.

Trudno kręcić kamerą robienie frytek. Może jako dodatek nadają się na ekran telewizora, ale przydałoby się coś więcej. Z kolei potrawa regionalna może być dość droga, a nas nie stać na włóczenie się po restauracjach. No nic, jeśli nie znajdę przepisu na danie regionalne, które dam radę przygotować własnoręcznie, po prostu zrobię coś swojego. Jakieś mięso z warzywami albo mięso bez warzyw. To zawsze jest na czasie i nie zaszkodzi mnie ani Tomkowi, za to ręczę. Zaznaczam przepisy i drukuję sobie niemal książkę kucharską.

W tym czasie Hania zajmuje się noclegiem. I to w pocie czoła, bo okazało się, że mieszkanie, które mieliśmy wstępnie zarezerwowane, przepadło. Ktoś inny wynajął i miał do tego prawo. Kolejny dowód na to, że rezerwacje trzeba robić bez zbędnych ceregieli. Teraz musimy szukać lokalu dla dwóch mężczyzn. Na gwałt. Mimo że z nogą gipsie, za to z głową na karku, Hania wije się jak piskorz, żeby znaleźć niedrogie i sensowne miejsce. I udaje jej się ta sztuka.

Do tej pory korzystamy głównie z **www.booking.com**. Jednak w przypadku Eindhoven ceny w tym terminie są na tyle wysokie, że podważają ideę cyklu o tanim podróżowaniu. Ale istnieją inne strony i tam możemy sobie pohulać. Pod adresem **www.airbnb.pl** mieszkania są oferowane przez osoby prywatne, często za mniejsze pieniądze można dostać lepszą ofertę. Polecam, jeśli będziecie w potrzebie, a nie przeszkadza wam, że mieszka się w lokalu należącym do osoby prywatnej.

Jedno z nich przypomina mi pierwszą kawalerkę, jaką wynajmowałem przed laty w Warszawie. Tamto na Sadybie koszto-

wało w 2001 roku 1050 złotych miesięcznie. Cena wryła mi się w pamięć, bo właścicielka była chytra jak internetowa baba z Radomia i nie chciała opuścić tych 50 złotych. Tutaj płaci się 300 złotych za dobę. Czyli na trzy osoby wyszłaby stówka. Można się szarpnąć.

– Zwykłe mieszkanie. Nieróżniące się właściwie od polskiego – mówię to, bo Hania nie jest pewna, czy standard nie będzie za niski.

– Na pewno?

– Na pewno – uspokajam ją – przecież to tylko dwie noce. Co się może wydarzyć.

– Hm, dobra, bierzemy.

Decyduję się, bo wiem, że nie ma czasu na wybrzydzanie. Mam jednak wrażenie, że w Polsce większość lokali stoi na wyższym poziomie. To dla mnie nowość, bo przez pierwszą połowę życia byłem przekonany, że jesteśmy dziadami Europy. Teraz okazuje się, że nie ma się czego wstydzić. W głowach ludzi z PRL-u, takich jak ja, zostaje gdzieś poczucie, że są ubogimi krewnymi Zachodu. Więc robią wszystko, żeby się pokazać z jak najlepszej strony. Skąd to się bierze? Może rozpaczliwie chcemy udowodnić, że jesteśmy światowcami pełną gębą. Może nie tak rozpaczliwie jak Rosjanie, ale jednak zakompleksieni prowincjusze.

A może po prostu w tym mieście są tylko takie oferty? Może się przeżarli w latach hippisowskiej kontestacji? Nie ma pogoni za kasą, więc i mieszkania nie gonią za modą? Nieważne, mnie i Tomkowi lokal pasuje. Zwłaszcza że Tomek go nie widział, więc myśli, że to będzie Sheraton.

W poniedziałek jedziemy w trójkę na lotnisko. Przez chwilę mam nadzieję, że jednak polecimy w komplecie, ale Hania tłumaczy, że nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Za to dopilnuje, czy panie z linii lotniczej wiedzą o tym, że mamy zgodę na wniesienie kamery na pokład jako bagażu podręcznego. Wiedzą.

– Będziemy w kontakcie.

– Trzymajcie się.

Lecimy. Bez kłopotów i opóźnień. Holendrzy znani są z punktualności i dokładnego planowania dnia. I choć samolot nie jest Latającym Holendrem, tylko zwykłym Airbusem A320, udaje nam się zawinąć do portu z kilkuminutowym zapasem. Zdążyłem nawet napocząć książkę zapomnianego dziennikarza Zygmunta Broniarka. Ja też o nim nie pamiętałem, ale przypomniałem sobie, gdy zobaczyłem fascynujący tytuł: *Jak nauczyłem się ośmiu języków*. A w środku wyjaśnienie, w jaki sposób opanować tę trudną sztukę. Kompletnie na przekór współczesnym metodom nauczania. Przydatna rzecz, dobra na oswajanie się z Europą. Fajnie jest dowiadywać się w obcym języku, z czego słynie dany kraj.

A z czego jest znana Holandia? Z depresji, na szczęście ujarzmionej przez hydrotechników. Holendrzy zawsze walczyli z wodą, ale nic dziwnego, jak się ma połowę kraju poniżej poziomu morza. Nawet siedem metrów. Dlatego zbudowali minitamy zwane polderami. Są też wiatraki i tulipany – nie na darmo Holandię nazywa się ogrodem Europy. Nie dziwię się – przy takim nawodnieniu urosną tu nawet gruszki na wierzbie. Kolejna ciekawostka: jest dwa razy więcej rowerów niż samochodów i 15 tysięcy kilometrów ścieżek rowerowych. W tym kraju najwyraźniej rządzą pedały.

Holendrzy wszystko muszą planować i zapisywać w kalendarzu. W myśl zasady: pełen program to pełne życie. Cenią punktualność, niemile widziane jest nawet małe spóźnienie. No i rodzą się z łyżwami. Ach, byłbym zapomniał: średnia krajowa w Holandii to 2500 euro, czyli ponad 10 tysięcy złotych, a minimalna pensja – 1300 euro, czyli ponad 5000 złotych. Zamykam przewodnik z hukiem, bo mnie trochę wkurzyła ta statystyka. Przypominam sobie, ile dostaje na rękę polski emeryt.

– Ja chcę już wysiadać.

– Zaraz będziemy na miejscu.

Holandia nie leży daleko. Z Warszawy to tylko 1100 km, można przejechać tę trasę w 11 godzin. Ale po co, skoro samolotem to zaledwie godzina z hakiem. Za to przepisy są zupełnie inne. W tym kraju legalne jest posiadanie miękkich narkotyków,

a w 2001 roku prawnie uznano możliwość zawierania homoseksualnych związków małżeńskich. Ani mnie to chłodzi, ani ziębi, ale widać różnicę.

Eindhoven nie jest duże. Położone w południowej części kraju, w Brabancji Północnej, liczy tylko 213 tysięcy mieszkańców. Takie holenderskie Kielce, tyle że z dobrze operującym lotniskiem, czego Kielce nigdy się nie dorobiły, bo żaden radny, który ma działkę w Masłowie, nie pozwoli nawet wbić tam łopaty. Wielki ośrodek przemysłu elektrotechnicznego. No i siedziba klubu piłkarskiego PSV Eindhoven.

Ponieważ mam świeżo w pamięci wyjazd z poprzedniego tygodnia, więc siłą rzeczy skojarzenia ze Szwecją są naturalnym procesem, a myśli tłoczą się jak klienci na otwarciu Biedronki. I tam, i tu mam wrażenie porządku i spokoju. W obu krajach panuje multi-kulti, jest wielu emigrantów z krajów arabskich. Nie wszystkim się to podoba, ale ja nie odczuwam napięć. Jedyne napięcie to żeby nagrać coś na lotnisku, bo prawie zawsze ktoś z obsługi musi się przypierniczać.

– Kierowniku, już robimy.

Tomek chwyta kamerę i pędzi do wyjścia.

Zaczynamy tradycyjnie od ogrywek terminalu. Jedna setka, druga, pójście do autobusu. Zrobione. Najważniejsze teraz to znaleźć lokal. A potem bazarek.

Dziennikarz w terenie nie robi normalnie zakupów, nie w takim programie. Wszystko musi być podporządkowane obrazkom. Czy to się nada, czy nie nada do kamery? W jaki sposób nagrać tę historię, żeby była ciekawie „sprzedana”? Czy to nie będzie nudne, czy aby dobra zabawa oznacza także dobre zdjęcia? No i nie wolno zapomnieć o mikrofonie. Rozmówcy na microporcie czasem słabo „zbierają”. Dlatego potrzebny jest bazarek, żeby zakupy odbywały się na wolnym powietrzu, gdzie łatwiej będzie używać kamery. I ciekawiej.

Wcześniej jednak jedziemy obejrzeć mieszkanie, które ma służyć nie tylko jako baza noclegowa, lecz także plan zdjęciowy. Zakupy zmienią się w nim w danie, więc Tomek chce się upewnić, czy wszystko pasuje mu do ujęcia. A ja chcę umyć rę-

ce. Wyciągam kartkę z adresem i sprawdzam na GPS-ie, w którą stronę będzie najszybciej. Moja wysłużona nokia oczywiście odmawia posłuszeństwa. Piszę „oczywiście”, bo o ile w kraju mapy działają jak należy, za granicą – od przypadku do przypadku. W końcu posiłkuję się mapą z dworca (zawsze pamiętam o zabraniu darmowych ulotek) i widzę, że jest tylko jedna droga i jeden przystanek.

Najprościej dojechać na miejsce autobusem 401. Przystanek jest po prawej stronie terminalu. Wszyscy tam idą, więc nietrudno go znaleźć. Bilet do centrum Eindhoven kosztuje 3 euro. Kupujemy go w kiosku w hali. Możemy od razu zaopatrzyć się w powrotne, żeby potem nie latać jak pies z jęzorem, gdyby okazało się, że powrót na samolot jest o nieludzko wczesnej porze. Ale jeśli się zapomni, nie ma problemu. Można kupić w środku. W każdym autobusie jest zamontowany biletomat. Przyjmuje jednak tylko drobne. I trzeba o tym pamiętać, bo na gapę się nie jeździ. Choć kierowcy są uprzejmi, cały czas obserwują wnętrze pojazdu dzięki dobremu monitoringowi. Nie warto narażać się na wstyd, szczególnie za 3 euro.

Dworzec.

Warto natomiast uczyć się języków, zwłaszcza jeśli brzmią przyjemnie dla ucha. Postanawiam wypróbować zwrot, który, nie chciałem wierzyć, może oznaczać to, co oznacza.

– *Huje dach* – zagaduję do pierwszej napotkanej osoby w sklepie.

O dziwo, nie obraża się. Odpowiada z uśmiechem:

– *Huje dach*.

Czyli to jednak znaczy „dzień dobry". A mój akcent nie był najgorszy. Z kolei pani w informacji turystycznej, która mieści się dokładnie na ostatnim przystanku busa, poszerza moją znajomość odmian, dodając, że mówi się jeszcze *Huje morchen* i *Huje afond* – czyli „dzień dobry" i „dobry wieczór". Próbuję za chwilę na ulicy. Też działa, choć do wieczora zostało jeszcze kilka godzin. Może po prostu tubylcy traktują mnie jak nieszkodliwego idiotę, który nauczył się jak małpa słówka w ich języku i nie należy psuć mu małej radości. Dobrze mówią przysłowia, że choć mała rzecz, a cieszy.

Mieszkanie znajduje się na ulicy Roosje Vosstraat. Kiedy próbuję zapytać kierowcę, na którym przystanku najlepiej wysiąść, robi bezradną minę.

– Może być siedem, a może być dziesięć.

Tego ja z kolei nie rozumiem. Albo siedem albo dziesięć? Czy on jest jakiś niekumaty, czy robi ze mnie wała? Wstępuje we mnie szczególna polska nieufność, niemal jak u bohatera noweli Mrożka *Moniza Clavier*, którą pamiętam z liceum. Szkoda, że nie uczyli tam o systemie holenderskich rozkładów komunikacji miejskiej. Okazuje się, że w Holandii autobusy kursują w wielu wypadkach na żądanie. Trudno zatem przewidzieć, ile dokładnie będzie trwała jazda.

W każdym razie kierowca gulgocze coś, co brzmi jak „hlasland", ale to dalej mi nic nie mówi. Jestem jednak spokojny, bo w najgorszym wypadku wysiądziemy na stacji końcowej, czyli na dworcu. A stamtąd nie jest daleko. Najwyżej dwa kilometry. Tyle przejdę nawet po pijaku, co dopiero na trzeźwo i z kanapkami w plecaku. Cierpliwie zatem czekam, spoglądając

to na mapę, to na mijane ulice. Liczę, że odnajdę jakiś znajomy akcent. Nic.

Mimo wszystko cierpliwość się opłaca. W którymś momencie kierowca woła donośnym głosem:

– Dżentelmeni z kamerą proszeni są teraz o wyjście. To wasz przystanek.

Uprzejmie z jego strony. Narobił nam trochę sensacji, bo cały autobus patrzy się na nas jak na przybyszów z innej planety. Ciemnoskóre nastolatki trącają się łokciami i, chichocząc, wyciągają telefony komórkowe. Mają swoje kino, niech im będzie. Ale to nie jest wroga ciekawość. Po prostu jesteśmy jakimś urozmaiceniem trasy. A uśmiechy są jak najbardziej przyjazne. Potem przekonuję się, że większość ludzi, którym zawracam głowę, jest właśnie taka. Uprzejma, wręcz miła.

Gdzie jest ta ulica, gdzie jest ten dom?

„Hlasland” okazuje się ulicą Grasland. Niby podobnie, ale w wymowie rdzennego Holendra kompletny kosmos. Warto posłuchać w Internecie języka niderlandzkiego, na YouTube są nawet darmowe lekcje. Wszystkich niuansów oczywiście się nie wychwyci, ale może przynajmniej człowiek osłucha się z linią melodyczną, żeby ciągle nie wyjeżdżać z tym *Huje*.

– Z „hujem”?

Tomek też chce się popisać znajomością języka. Zmuszam go do spojrzenia na adres, bo co dwie głowy to nie jedna.

Z mapy wynika, że ulica Roosje jest kilka przecznic dalej. Nie radzę sobie najlepiej z orientacją w terenie. Często używam mapy i choć w stolicy mieszkam kilkanaście lat, nawet na Ursynowie zdarza mi się korzystać z GPS-a. Na szczęście jestem jednocześnie bardzo dobrym piechurem. Przejście kilku czy kilkunastu kilometrów wydaje mi się nieodległym dystansem. To może być męczące dla innych, szczególnie dla obciążonego Tomka, ale ten na razie nawet nie sapie. Zresztą tym razem to naprawdę blisko. Gdyby nie fakt, że rzeczywiście gubię drogę.

– To musi być gdzieś tutaj.

– Nawet nie ma kogo zapytać.

Domki z czerwonej cegły. Prawie nikogo na ulicach. Czasem przejedzie rowerzysta. Za jednym gonię kilkaset metrów, bo ma słuchawki. Opłaciło się, bo w końcu trafiamy pod właściwy adres. Umówiłem się z gospodarzem, że zostawi mi klucz pod wycieraczką, ale wkrótce przychodzi osobiście.

– *Huje dach* – to już znany element powitania, więc idziemy z Tomkiem jak w dym.

Gospodarz uśmiecha się i odpowiada, że mam dobry akcent. Pewnie, że dobry. Ćwiczę od kilkudziesięciu minut. Dziękuję za uprzejmość i proszę go, żeby zapoznał nas z „apartamentem”, co ten skwapliwie czyni. Szeroki gest dłonią byłby czytelny nawet dla ślepego.

Wchodzimy do środka.

Wnętrze lokalu nie porywa. Takie większe studio z widną kuchnią, za którą rozpościera się mikroskopijny ogródek. Kuchnia niespecjalnie wypasiona, za to znakomicie wyposażona. Naczynia, sztućce, przyprawy – wszystko jest. No i duża kolekcja płyt winylowych na deser.

A koszt mieszkania, przypomnę, wynosi około 100 zł na osobę. Jelle, bo tak ma na imię gospodarz, przygotował dla gości nawet przewodniki i mapy po mieście. Pokazuje, w którą stronę trzeba się udać do centrum, a w którą na lotnisko. Odpowiada

jak przewodnik na wszystkie pytania związane z Eindhoven. Nie mam ich zresztą tak wiele. W końcu porządny *research* przed wyjazdem sprawia, że jestem jako tako zorientowany. A miasto nie jest duże, więc wszędzie dotrzemy na piechotę. Dziękuję za pomoc i przez chwilę gadamy jeszcze o pogodzie. Potem Jelle pyta, czy niczego nie potrzebujemy, i wychodzi. Wcześniej dał nam kluczyki i poprosił, żeby przy wyjeździe zostawić je w mieszkaniu.

Eindhoven by night.

Poszedł, a my zostajemy sami. Z robotą do wykonania.
– Mnie brakuje kawy.
– A wiesz, że ja też bym się napił.
– No to lejemy.

Nastawiam wodę i buszuję po półkach jak nutria. Jelle powiedział, żeby się nie krępować. Holandia, podobnie jak Szwecja, ma jeden z najwyższych wskaźników spożycia kawy na głowę mieszkańca. I podobnie jak w Szwecji, również tu jestem pewien, że może brakować wielu rzeczy, ale kawę znajdę bez przeszkód.

– Kuźwa, nie ma.

– No to jest jakieś pandemonium.

Przeszukuję kolejne szuflady, bez skutku. Im bardziej grzebię, tym bardziej nie ma kawy, jak w Kubusiu Puchatku. Chyba ze wszystkich kawoszy trafiliśmy akurat na tego jednego, który jej nie lubi.

Znajduję za to, nie wiedzieć czemu, holenderską czekoladę, gęstą jak mgła na Opolszczyźnie. Nie jest to napój marzeń dwóch dorosłych facetów, którzy mają ochotę na małą czarną, ale brakuje im czasu, żeby jej szukać.

– Dobra, bierzemy, co jest. – Tomek fachowym ruchem odsypuje na oko proszek do szklanek. Wyszło mu mniej więcej jedna trzecia na porcję. To będzie chyba ostatnia płynna czekolada w życiu, na pewno w tym mieście, ale pijemy bez grymaszenia. Zakupy zrobię dopiero wieczorem.

Pierwsze wyjście do miasta robimy całkiem w ciemno. Dosłownie. Zmierzch zapadł niepostrzeżenie i nie ma już mowy o pięknej ekspozycji. Nic to, może ustrzelimy ciekawe ujęcie z zaskoczenia. Dlatego idziemy dziarsko przed siebie.

W ciągu kilku minut docieramy podziemnym przejściem na rynek. Pada lekki deszcz, więc nie ma szans na ładne widoki. Mimo to już uważam, że Eindhoven jest niebrzydkie. Nie mówię, że piękne, bo żeby zaparło dech w piersi, potrzeba czegoś więcej niż tylko równo postawionych domków. Ale symetria robi wrażenie, a śliczna kostka brukowa zachęca do wędrówki. Oni mają wszystko poukładane.

Centralnym miejscem jest plac z Philipsem w tle. Każdy wskaże drogę. To tu bracia Anton i Gerard założyli w 1891 roku firmę, która stała się światowym potentatem. Mieszkańcy traktują rysujące się w oddali budynki firmy jako nieodłączony ele-

ment krajobrazu. Ponadto uznali, że najlepiej uczcić patrona, stawiając mu w centrum pomnik. Dla przeciwwagi, zbudowali obok małe wesołe miasteczko z karuzelą. A dookoła usadowiły się knajpy, restauracje i kawiarnie. Przytulne i ciepłe. Nawet późną jesienią można wypić kawę w ogródku. Wiaty są zadaszone, a w środku ciepło zapewniają nagrzewnice lub węgielki. Proste i pomysłowe rozwiązanie, w ogóle nie czuję, że jest listopad.

Wielkie żarcie.

À propos rozgrzewki, ponieważ do tej pory nie miałem okazji zjeść niczego na ciepło, szukam lokalu, w którym nie tylko będzie można najeść się za rozsądne pieniądze, lecz także nakręcić zdjęcia. W rynku znajdujemy duży grill-bar – jasny, rozświetlony i co najważniejsze, z klientami w środku. Dawno nauczyłem się, że jeśli jadać na mieście w obcym kraju, to tylko tam, gdzie siedzą miejscowi. Jeżeli im smakuje, to znaczy, że będzie smakować też mnie. Kolejna złota zasada to ta, że za granicą najlepiej zamówić potrawę pokazaną na zdjęciu. Unikniesz w ten sposób rozczarowania. Wybieram żeberka z frytkami. Do tego sosy. Na fotografii wyglądają solidnie.

– Duża czy mała porcja?

Kelnerka mówi to po niderlandzku, ale słowa *grosse* i *kleine* brzmią na tyle znajomo, że nie muszę prosić o powtórkę.

– Dużą, proszę, bo mała różnica w cenie.

– Pewnie, lepiej mieć więcej niż mniej. W końcu od przybytku głowa nie boli. – Tomek zamawia to samo.

Oj, czasem boli. To, co ląduje na talerzu, przypomina górę, z którą muszę osobiście się zmierzyć. Na zdjęciu był rozmiar XL, w rzeczywistości jest XXL. Takiej porcji nie zdarzyło mi się dostać nigdzie wcześniej. Nawet w chińskiej budce, w której, jak wiadomo, serwowane są potrawy dla polskiego chłopa, który musi się najeść za wszystkie czasy. Rozpaczam jak stonka na wykopkach, ale nigdy nie wyrzucam jedzenia.

Holenderski chłop musi się zatem najeść jeszcze bardziej. Kilogram żeberek to nie przelewki, mimo że część z tego stanowią kości. Jest co jeść. Jak powiada Biblia, będziesz spożywał chleb swój w pocie czoła. Teraz wiem, co to znaczy. Tomek też, bo walczy ze swoją porcją i widzę, że również pęcznieje w oczach.

– Dasz radę? – pytam między jednym kęsem a drugim.

– Dam, dam. – Widzę, że podobnie jak ja nastawia się na szybki przemiał. Dobrze, że ograliśmy miejsce przed rozpoczęciem wyżerki. Inaczej nie mielibyśmy siły podnieść się z ławy. Nic dziwnego, że wracamy do pokoju nadęci jak balony. Wieczorem nie ma zbyt wielu ludzi. Trochę dziwne, bo choć Eindhoven jest piątym co do wielkości miastem Holandii, to jednak gdzieś te 200 tysięcy mieszkańców musi być. Widocznie pochowali się w domach, bo pogoda wciąż deszczowa i spacer w tej sytuacji stanowi wątpliwą przyjemność.

Po drodze musimy jeszcze zrobić zakupy. Albert Heijn to holenderska sieć supermarketów, istniejąca od 1887 roku! Historyczny zabytek. Biorę cebulę, do tego marchewkę, ziemniaki i sflaczałe kiełbaski w cienkiej folii. Jak się je ładnie zapiecze, nabiorą sprężystości. To holenderskie frykadele. Przypominają białą kiełbasę parzoną. Przypraw nie kupuję, pełno ich w domu, szkoda pieniędzy, a Jelle mówił: „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy”.

Czytałem, że w Holandii można znaleźć haszyszowe ciasteczka (*hashcookies* albo *spacecookies*) i kanna masło (*kannamaslo*), czyli masło z marihuaną. Nie są dostępne w każdym sklepie, ale jeśli dobrze się poszuka, powinno się w końcu na nie trafić. Ponoć są całkowicie legalne i traktowane niemal jak żywność ekologiczna. U nas zakazane, u nich dozwolone. I bądź tu mądry, kto ma rację.

W Albercie nie ma takich specjałów. Na szczęście do *hutspota* ich nie potrzebuję. Na zakupy wydaję łącznie około 50 złotych. Na razie nie chcę patrzeć na jedzenie. Nikt nie lubi się przejadać, każdy ma za to różne sposoby na rozładowanie senności po obżarstwie. Ten wybrany przez Tomka jest najlepszy.

– Ja się kładę. Rano musimy wstać na zdjęcia.

Kilka minut później już chrapie. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie zasnąć po dobranocce. Chwilę później odpływam, słysząc w oddali szum holenderskiej ulicy. Przy nieludzkim zmęczeniu dobrze czasem położyć się o nieludzko wczesnej porze.

Rano budzimy się żwawi jak skowronki. A dzień zaczynamy od przygotowań do najważniejszego ujęcia – filmowania jedzenia. Wiem już, co to będzie. Holendrzy mają proste potrawy, wywodzące się z kuchni chłopskiej. Mięso, ziemniaki, warzywa – wszystko na kupę. Dania jednogarnkowe są syte i pożywne. Jest też *hutspot*, czyli tzw. garnek bałagan – rozgotowane ziemniaki purée, marchew i cebula, które można wchłonąć z wysmażonym boczkiem, ewentualnie z wołowym szpondrem, zwanym *klapstuk*. No i *toetje*, czyli deser. Nie wiem, czy naprawdę Holendrzy mawiają, że obiad bez deseru to jak miłość bez orgazmu, ale ja poprzestanę na miłości do mięsa.

Podsmażam cebulę, potem dorzucam paprykę. Kroję ją nie w kostkę, tylko w długie, cienkie paski. Ten sposób nazywa się Julienne. Podpatrzyłem go w jakimś programie o kuchni chińskiej. Jest prosty, a sprawia, że potrawa nabiera kolorów. W końcu je się oczami. Dlatego Tomek robi wielkie oczy, kiedy szarmancko rzucam na stertę warzyw kiełbaski. Nie chcę ich spalić, niech sobie spokojnie dojdą w aromacie.

– Aż mam ochotę spróbować. Myślałem, że to tylko tak pod kamerę – mówi, filmując od początku moje zmagania.

– Szkoda byłoby zachodu. Nie trzeba być mistrzem kuchni, żeby upichcić coś fajnego. Zresztą dziś każdy gotuje. To nie jest wielkie wyzwanie.

Podaję potrawę na stół, a kiedy kończymy filmowanie, zabieramy się do konsumpcji. Po wczorajszym przeżarciu nie zostało śladu. Apetyt wraca jak niespłacony dług.

– No i jak?

– No i może być – Tomek nie jest wylewny w pochwałach, ale zjada do dna. Nawet jeśli robi to z grzeczności, jestem zadowolony, że nie muszę nic wyrzucać. W najgorszym wypadku odgrzałbym wieczorem.

Zaraz po posiłku ogrywamy mieszkanie z zewnątrz. Uliczki Eindhoven zachęcają do uwiecznienia w aparacie. Kiedy tylko zaczynamy kręcić setki, podjeżdża policja. Niby przejazdem, ale od razu przechodzą do sedna.

– Hej. Można w czymś pomóc?

– Jesteśmy dziennikarzami z Polski. Robimy dokument o Eindhoven. Jak się żyje, jak się mieszka. Ciekawostki.

Niewinna z pozoru pogawędka, ale wiem, co się za nią kryje. Dlatego zawsze w takich sytuacjach odpowiadam pełnymi zdaniami, kim jestem i co robię. Zawsze mam też ze sobą wizytówki firmy i kartę telewizyjną. W ten sposób nie daję powodów do podejrzeń. A takie pytania traktuję jako dowód na bezpieczeństwo miasta. Wolę, by pytali jak najczęściej, niż żeby zabrakło ich w potrzebie.

PSV Eindhoven lubi Tytoń.

Policjanci życzą miłego dnia i znikają za zakrętem. Możemy spokojnie dokończyć robotę. A potem – w stronę stadionu. PSV Eindhoven to znakomita drużyna. Grało tam wielu Polaków, w trakcie naszego pobytu Przemysław Tytoń, zresztą za chwilę strasznie zjechany za wpuszczenie bramki w meczu z amatorską drużyną. Holenderskie tabloidy pisały dużą czcionką: „amator Tytoń". Mimo to Holendrzy darzą go sympatią.

Idąc dalej w stronę centrum, znajduję bazarek, który działa tylko przed południem. Dlatego poprzedniego dnia go nie zauważyłem. Na każdym stoisku ryba zapiekana w cieście. Gorąca i pachnąca jak ambrozja. To *kibbeling*. Kosztuje 3 euro, sosy gra-

tis. Miejscowi biorą, więc biorę i ja. Prawie cała ryba za 12 złotych. To dobra cena jak na Polskę.

– Weź dwa, ja też mam ochotę na taką przekąskę. – Tomek kręci się między straganami. Ja w tym czasie stawiam porcje na wysokich stolikach i przynoszę widelce.

– No i jak?

W życiu nie jadłem lepszego rybiego mięsa. Prosta potrawa, przed chwilą usmażona, pachnąca, świeżutka, maczana kawałkami w sosie czosnkowym i zagryzana chlebem. Można zrezygnować z wielu rzeczy, ale będąc w Eindhoven, nie wolno odpuścić sobie *kibbelinga*. Naprawdę. Szkoda nie wydać tych 3 euro.

Z bazarku idziemy spacerkiem do znanego już centrum na kolejne kawki. W końcu mają tak wielki wybór, że aż się chce sprawdzić, jak smakuje. Podobnie jak *motivation shot*. Długo nie mogłem się rozeznać, co to za dziwny napój. Na stronie internetowej opis jest bardzo enigmatyczny. A zobaczyłem w sklepie i zapragnąłem spróbować. Niby jakieś zioła, ale zalane wrzątkiem, tak jak się zaparza herbatę. Ohydne w smaku i kompletnie pozbawione działania. Przynajmniej ja nie odczułem.

– Kopie?

– Prędzej mnie koń kopnie chyba.

Nic nie czuję, a wręcz spluwam z obrzydzeniem. Gorzki smak, żadnych wrażeń – to zupełnie nie moje klimaty. Idziemy dalej, w stronę słynnego w mieście Genneper Parku, czyli miejsca, w którym woda jest czysta, a trawa zielona. Jest tu młyn wodny, kompleks basenów, ponoć największy w Europie, i ekologiczna farma, gdzie krowy chodzą luzem. Do tego centrum sportowe i restauracja, przede wszystkim jednak natura w najczystszej formie.

– Czujesz zapach?

– Jaki?

– Jesienne zioło.

– No pięknie, skojarzenia nasuwają się same.

– Ale mnie bardziej chodzi o to, że dużo zieleni, trawa skoszona, wszystko pachnie po deszczu.

Faktycznie, na miejscu jest zieleni od groma. Zupełnie innej niż ta, z którą kojarzy się kraj. Zresztą marihuana to przede wszystkim Amsterdam. Eindhoven jest pod tym względem zieloną wyspą – tfu, znów te porównania.

– Może jednak nie mów tak do kamery.

– Racja, po co niepotrzebnie mącić ludziom w głowach.

Mimo wszystko upieram się, że czuję zapach jesiennych ziół. A park jest ładny, choć nie różni się od innych. Wracamy, bo zaczyna lekko kropić. Po drodze zaskakuje mnie jeszcze jeden element.

Pisuary.

Szalet bez babci.

Nie toalety publiczne, a właśnie publiczne pisuary. Bez zasłonek, bez kotarek, stojące w różnych częściach miasta. Czujący potrzebę po prostu staje w nich plecami do przechodniów. Nikt się nie krępuje. Chłopak potrafi przeprosić dziewczynę, ci bardziej śmiali rozmawiają z nią w trakcie wykonywania wiadomej czynności. Same dziewczyną są niestety potraktowane po macoszemu. Jeśli znajdą się w podobnej sytuacji, nie pozostanie im nic innego, jak iść do najbliższego pubu.

To formalny koniec zdjęć. Można zostawić kamerę i wybrać się do miasta prywatnie. Tomek jest znowu głodny, więc ponownie odwiedzamy grill-bar na rynku. Nie ma to jak sprawdzone knajpy. Tym razem biorę mniejszą porcję, choć i tak czuję, że tydzień takiego jedzenia dorzuciłby mi z 10 kilo.

Godzina jeszcze młoda, na upartego można by iść na miasto i pohulać. Jednak zmęczenie po maratonie daje się we znaki. I znów dwóch dorosłych facetów idzie spać w porze dobranocki. Całe szczęście, że nie w jednym łóżku.

Następnego dnia wymykamy się bladym świtem. Klucze, zgodnie z prośbą Jelle, zostawiam w mieszkaniu, raz zatrzaśnięte drzwi już się nie otworzą. Drogę na przystanek znam, mam też odliczone 3 euro na bilet na lotnisko. To ważna uwaga, w busie nie można zapłacić u kierowcy, a biletomat nie przyjmuje papierków. Trzeba mieć bilon. Na szczęście pamiętałem o tym poprzedniego dnia i jestem przygotowany. Człowiek się szybko uczy.

Dwie godziny później oglądam ostatni raz Eindhoven z lotu ptaka. Żadnych opóźnień. Za to dużo zieleni. Szczególnie na peryferiach miasta. Szkoda, że nie starczyło czasu, żeby wyjechać do Bestu. To tylko 10 kilometrów, autobusem około 20 minut. Obok McDonalda, przy autostradzie A2, stoi wielki pomnik Michaela Jacksona. Niestety, w trakcie naszego pobytu przechodzi remont, więc jest całkowicie zasłonięty. Nawet nie opłacało się podjeżdżać. Może następnym razem.

Eindhoven jest zielone. Bardzo zielone. Oprócz industrialnego oblicza, może się pochwalić parkami i skwerami. To bardzo miłe dla oka. Warto tam polecieć o każdej porze roku. Szczególnie gdy cena zamyka się w kilkunastu złotych. A nawet jak zapłacisz cztery dychy, to i tak będzie taniej od wyjazdu pociągiem w dobrze ci już znane miejsce. Fajnie się oderwać od zgiełku i siąść na ławce. Każdy wie, że gdzie jak gdzie, ale w Holandii trawa jest najlepsza. Nie zaszkodzi tam polecieć ponownie. I osobiście powiedzieć: *Huje dach*.

Podsumowanie:

Eindhoven jest przyjaznym, spokojnym miastem, co może się okazać zaletą dla osób szukających odrobiny wytchnienia. Ma bardziej rodzinny charakter niż znany z imprezowania Amsterdam czy Rotterdam. Jednocześnie większość ośrodków miejskich jest położona w odległości około stu kilometrów, co stanowi dobrą bazę do dalszej podróży. Z lotniska łatwo dotrzeć do Pragi albo Brna. Z Polski do Czech przez Holandię, z ułańską fantazją.

Nie sposób się w nim zgubić. Układ miasta jest czytelny nawet dla osoby mającej problemy ze znalezieniem właściwego kierunku. Ja po kilkudziesięciu minutach orientowałem się na wyrywki. Więc ty też możesz.

Co kręci:

Nieznajomość holenderskiego nie jest wielką przeszkodą, ponieważ wszyscy mówią po angielsku. Ten ostatni przydaje się, więc jeśli go zabraknie, pozostanie porozumiewanie się za pomocą gestów.

Komunikacja jest bardzo sprawna. Do przejechania z lotniska wystarczy tylko jedna linia 401, resztę można zobaczyć na piechotę.

Nie trzeba płacić za dojazdy do innych miast. Zamykamy się w koszcie lotu oraz ceny wynajmu lokalu na mieście.

Ceny są wyższe, ale nie za bardzo odbiegają od polskich. Kawa w dowolnej knajpie kosztuje około 2 euro, a więc tyle co w centrum Warszawy czy Krakowa. Droższe są posiłki: cena zestawu w grill-barze to około 10 euro. Porcja jest jednak gigantyczna i z powodzeniem mogą się nią nasycić dwie osoby. Spodziewałem się wyższych wydatków. Miłe zaskoczenie, że Holandia nie jest Kuwejtem.

Eindhoven daje także możliwość taniej przesiadki. Wiele razy widziałem bilety do Pragi w cenie kilku euro. Kto zatem chce dostać się z Polski do stolicy Czech, powinien pokombinować

złożenie trasy właśnie przez Holandię. Będzie o wiele taniej i na pewno dużo krócej.

Co wkurza:

Sklepy i galerie handlowe w centrum są zamykane dość wcześnie. Nie licz na wieczorne szaleństwo zakupowe. W związku z tym okolica jest nieco wyludniona.

Zarobki Holendrów. Średnia krajowa wynosi 2500 euro, czyli ponad 10 tysięcy złotych. Minimalna pensja: 1300 euro, czyli ponad 5000 złotych. Polak otrzymuje o wiele mniej, a płaci niemal tyle samo. To nie jest nasza wina. Ale cholera człowieka bierze, kiedy widzi, jakich dziadów zrobił z nas PRL. Dopóki będą różne waluty, dopóty wiele osób nie będzie zdawać sobie z tego sprawę. Dlatego liczę na jak najszybsze wprowadzenie euro.

Cennik:

-
- Żeberka z frytkami: 10 EUR.
- Cola/pepsi w restauracji: 2 EUR.
- Jajka, 10 sztuk: 1,80 EUR.
- Kawa: 2,50 EUR.
- Chleb: 1,30 EUR.
- Piwo: 1 EUR.
- Chipsy: 1,50 EUR.
- Woda mineralna: 0,50 EUR.
- Czekolada: 0,60 EUR.
- Bilet komunikacji miejskiej: 2 EUR.

PODRÓŻ 5

TROCHĘ KULTURY, CHŁOPIE

miejsce

Londyn

cel podróży

kultura za darmo

czas podróży

2 godziny

cena biletu

38 złotych

Dalej nie jesteśmy w komplecie. Mimo że Hania porusza się o kulach jak modliszka, i według mnie robi to z zadziwiającą biegłością, twierdzi, że nie jest w stanie dotrzymać nam kroku.

– Będę opóźniała marsz. A chodzić trzeba dużo.

– Ale twoja obecność jest bezcenna – podlizuję się trochę, bo liczę na zmianę zdania. Bez większych oczekiwań.

– Nie mogę ryzykować.

Znów bardzo mi się nie podoba ta sytuacja. Hanka jest spoiwem, trzymającym w ryzach pracę na planie. W Holandii dałem sobie radę, ale Londyn to większe wyzwanie. Ludzie byli mili i nie przeszkadzał im widok kamery. Anglia to co innego. Niby jest w Unii, ale poza układem Schengen. Niby otwarta i przyjazna, lecz w wielu regionach ksenofobiczna i podejrzliwa. Zwłaszcza nieufni są policjanci, którzy potrafią mocno uprzykrzyć życie. Grzeczni, ale stanowczy. Do tego stopnia, że bez pozwolenia może nie być możliwości nakręcenia nawet jednego ujęcia.

Sytuacja jest napięta jak plandeka u żuka. Nie da się jednak poluzować atmosfery zmianą terminu. Bilety kupione w tanich liniach mogą być przebukowane bezpłatnie tylko w sytuacji, w której do lotu nie dojdzie z winy przewoźnika. Inaczej koszty przewyższają wartość zakupu, więc gra jest niewarta świeczki. A odcinek został zakontraktowany, kamera i reszta oporządzenia czekają w magazynie. Nie ma innej opcji.

– Wygląda na to, że nie mamy wyjścia. Trudno – mówię ostrożnie, niechętnie wyrażając zgodę.

– A zatem ustalone. Sami zrobicie materiał.

– Brrrr.

– Dacie radę, jak poprzednio. – Hania ma dużą zdolność motywacji. – I jak poprzednio będziemy pod telefonem. W razie czego rozpracujemy plan na odległość.

Znów lecę z Krzyśkiem, z którym byłem niedawno w Szwecji. Dobrze nam się współpracowało, a jest dostępny terminowo. Pieniądze za przelot są naprawdę niewielkie: 38 zł w dwie strony to śmieszna cena, 19 złotych tam, 19 złotych tu. Porównajcie

sobie, ile płacicie za przejazd pociągiem nawet na krótkim odcinku. Anglia, czy to jest jasne? Bo ja czasem sam nie wierzę. Anglia za 19 złotych. To jest cena na miarę oczekiwań.

National Gallery. Takich galerii w Londynie nie brakuje.

Upolowałem ją na miesiąc przed wylotem. Zobaczyć za nią Londyn to wielka sprawa. Oczywiście trzeba doliczyć koszt dojazdu z niskokosztowego lotniska, ale przy tej cenie biletów w dalszym ciągu opłaca się aż nadto. Tak jak opłaca się skupić na celu.

A celem jest kultura, i to przez duże K – zobaczyć nie tylko, co się da, lecz także to, co jest za darmo.

– Do dużego miasta za nieduże pieniądze, żeby się tej kultury nachapać – mówię przed odlotem do kamery. Słusznie, bo Londyn właśnie kulturą stoi. Pod tym względem stolica Anglii ma bardzo dużo do zaoferowania.

Przede wszystkim, National Gallery, która zupełnie nieodpłatnie prezentuje zbiory malarstwa z lat 1250–1900 i posiada szczególnie dużą kolekcję prac brytyjskich impresjonistów. Jest też kilkanaście dzieł van Gogha. To galeria państwowa, pierw-

szy raz byłem w niej prawie dwadzieścia lat temu i nigdy nie zapomnę, jak gały wychodziły mi na wierzch. W uzupełnieniu malarstwa klasycznego koniecznie trzeba spojrzeć na nowoczesne. A tutaj kłania się Modern Tate Gallery. Co tam *Buszujący w zbożu*, tu kłania się buszowanie w skarbach całego świata.

No i przede wszystkim miejsce, w którym zgromadzone są skarby z całego świata. Tam nie da się wejść na kilka minut. Warto poświęcić przynajmniej jeden dzień na zwiedzanie wszystkiego, co piękne i wartościowe w świecie, przechodząc przez kolejne sale z otwartymi ustami. Tyle czasu oczywiście nie mam, ale wolę wstąpić przynajmniej na trochę, niż być w Londynie i nie wejść w ogóle.

Obcowanie z kulturą stawiam na pierwszym miejscu. W ostatniej chwili przed wyjazdem znajduję jeszcze tani dojazd. Najpierw tradycyjnie rzucam pytanie na fejsie.

– Jak najszybciej i najtaniej dostać się ze Stansted do centrum?

– Rowerem.

Zapomniałem, że jak zwykle część odpowiedzi nie ma żadnego zastosowania. Wszyscy chcą pisać, nikt nie chce czytać. To się nazywa kultura konwiwialna. Po chwili jednak dostaję na priva informację od dawno niewidzianej osoby, z którą łączą mnie miłe wspomnienia.

Okazuje się, że właścicielem małej firmy w Londynie jest mój znajomy z Polski, Marcin. Kilka lat wcześniej prowadziłem dziennikarskie warsztaty na Akademii im. Frycza Modrzewskiego w Krakowie. Był jednym ze słuchaczy, a potem przewodnikiem po nocnym Krakowie, w trakcie grupowej wycieczki. Obecnie mieszka i pracuje właśnie w Anglii. I ma ten dzień wolny. Świat nie przestaje mnie zaskakiwać.

Ustalamy, że Marcin odbierze mnie z Krzyśkiem ze Stansted. Ale i tak sprawdzam inne opcje. Wiem, że do centrum Londynu można się dostać autobusem. Z lotniska kursy organizują dwie firmy: National Express i Terravision Express Shuttle. Autobus pierwszej z nich jedzie około półtorej godziny i kosztuje 10 funtów. Podróż kończy na Victorii albo Trafalgar Square. W trakcie

mojego pobytu kursował całą dobę, warto jednak sprawdzić przed wyjazdem, czy rozkład nie został zmieniony.

Drugi przewoźnik, Terravision Express Shuttle, obsługuje dwie linie: autobus numer 50 jeździ do stacji Victoria, numer 51 – do Liverpool Street. Pierwsza trasa jest pokonywana w jakieś 75 minut, a druga w 55 minut. Autobusy kursują co pół godziny, a cena biletu zaczyna się od 8 funtów. Zajrzyjcie na **www.terravision.eu**, żeby wybrać datę i godzinę, a także sprawdzić, czy nie ma jakiejś promocji. Zwłaszcza że Terravision ma siatkę w całej Europie. Kupowałem u nich bilety w innych krajach. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Można także pokonać drogę pociągiem – szybciej, ale drożej. Stansted Express czeka na dolnym poziomie lotniska i w 45 minut dojeżdża do Liverpool Street Station. Kursuje co kwadrans. Bilety sprzedają już na pokładzie Ryana. Jednorazowy przejazd kosztuje 13,50 funta. Drogo, dlatego lepiej kupić od razu bilet w dwie strony (na **www.stanstedexpress.com**).

Ja tak wyjątkowo nie zrobiłem. I cieszę się, że udało mi się zaoszczędzić. W Londynie mieszka około 400 tysięcy Polaków. Każdy zna kogoś, kto zna kogoś, kto mieszka w Londynie. Jeśli macie znajomych w mieście, sprawdźcie, czy uda się poprosić ich o podwózkę. A nuż się zgodzą. Jeśli nie, trzeba będzie zapłacić, ale wcześniej warto wykorzystać – jak mawiają historycy z IPN-u – osobowe źródła informacji.

Marcin prowadzi w Londynie firmę budowlaną, zatrudnia kilku ludzi i ogólnie jest bardzo zapracowanym człowiekiem. Kiedy jednak tylko się dowiaduje, że będziemy w tym dniu w mieście, rzuca wszystko i wsiada do furgonetki, żeby przyjechać po nas. Tym bardziej miło z jego strony, bo dzięki temu oszczędzamy nie tylko pieniądze, lecz także czas.

Ruszamy kilkanaście minut po przylocie. Mamy przed sobą około 50 kilometrów.

– Ile się jedzie?

– No tak z pół godziny, trochę więcej trzeba liczyć. To jeszcze zależy, gdzie chcecie wysiąść.

– No a tobie gdzie pasuje? – Nie chcę nadużywać gościnności.

– Najbardziej przy Tower Bridge. Dalej nie mam opłaty, żeby wjechać do centrum. Normalnie jej nie potrzebuję.

– No to znakomicie, tam jest przecież stacja metra. – Uznaję, krakowskim targiem, że jak już znajdziemy się w mieście, i tak będziemy musieli korzystać z jakiegoś środka transportu. Autostrada o tej porze nie jest zatłoczona, a wiem, że Marcin powinien być teraz w innym miejscu, przy swoim źródle utrzymania. I choć wysiadamy poza pierwszą strefą, bo za wjazd do centrum obowiązuje specjalna opłata, której nasz znajomy nie uiścił, i tak jestem zadowolony.

– Mamy bardzo dobry plan. Znajdziemy stację, kupimy całodniowe travelki i możemy śmigać po mieście jak skaterzy na deskorolce.

Schodzimy do podziemia.

Plan może i dobry, ale jednocześnie dopada nas pech.

Początkowo wszystko przebiega zgodnie planem. Zaraz po nagraniu setki możemy kierować się do metra, żeby kupić bilety. Jednak widzę, że Krzysiek robi się jakiś niewyraźny. Co jest? O tej porze jeszcze nie mamy prawa być zmęczeni.

– Coś nie halo?

– Właśnie nie wiem. Głowa mnie jakoś boli.

– A no to łyknij coś. Może to ciśnienie.

Widzę, że Krzysiek jest spięty jak agrafka. Ale w ogóle nie przyjmuję do wiadomości, że może być jakiś problem. Boląca

głowa to często powtarzany slogan. Trudno, żeby słuchający przejął się takim terminem. Jestem zajęty śledzeniem mapy na GPS-ie, nie zwracam na kolegę uwagi.

– Nie wiem dlaczego, ale boli mnie głowa – mówi Krzysiek po chwili, jakby stwierdzał, że właśnie został raniony pociskiem z kabekaesu.

– To może jakiś proszek weź. Tu apteka zaraz będzie.

Widzę, że robi się blady, ale przestaje narzekać.

– Nie, nie trzeba. Samo przejdzie.

Nieraz mam problemy w podróży, zwłaszcza kiedy bierze mnie grypa, bo najbardziej nieodporny jestem na wszelkie zaziębienia. Mimo to, spodziewam się, że niezależnie od sytuacji, nic nie stanie na przeszkodzie, żeby dalej kręcić. Może zawał jest jakimś wytłumaczeniem, ale ból głowy? Wolne żarty.

Wysiadamy tuż za mostem. To dobre miejsce na pokazanie potęgi Anglii. Widać stąd Tower of London i znakomicie Tamizę z obu stron. Dzwonię do hotelu z pytaniem, czy recepcja jest całodobowa, bo nie wiem, czy nie podjedziemy dopiero późnym wieczorem, i wyszukuję najbliższą stację metra. To Tower Hill. Schodzimy na dół.

Metro w Londynie jest niezbędne do komunikacji. W 1989 roku, gdy pierwszy raz przyjechałem do Anglii pracować nielegalnie na zmywaku, chciałem oszczędzić na transporcie miejskim i wybrałem się do pracy piechotą. Z Putney Bridge do Victoria Station. Po latach musiałem sobie sprawdzić w Google, bo nie wierzyłem.

Szedłem osiem godzin.

Myślałem, że nogi wejdą mi do… do duszy. Lubię długie marsze, ale żeby przeżyć taką masakrę, trzeba mieć albo fioła pod sufitem, albo bardzo mało pieniędzy. Mam nadzieję, że jedno i drugie nigdy mnie nie nawiedzi.

Więcej chodzić do upadłego nie próbowałem. Albo metro, albo nic. Autobusy jadą zbyt długo, a metro, jak u Barei mleko, gwarantuje najszybszy transport. I ma największe tradycje. Pierwsza linia została otwarta w czasach, kiedy u nas szykowano się do powstania styczniowego. Dokładnie 10 stycznia 1863

roku. Mam tę datę wyrytą w głowie, jako cywilizacyjną przepaść, i wciąż nie mogę uwierzyć. Dziś jest 12 linii, 275 stacji i 408 kilometrów torów. Połowa pociągów kursuje na ziemi, a druga połowa pod nią. To niemal państwo w państwie. A ja przez chwilę jestem jego obywatelem.

– Czym mogę służyć? – Kolejka przesunęła się na tyle sprawnie, że oto stoję przed szybą, za którą sprzedawca uprzejmie czeka na odpowiedź.

Kupuję całodniowe travelki; chwilę zastanawiam się, czy w wersji *anytime*, czy *off-peak*. Pierwsza kosztuje 8,80 funta, druga 7,30. W przeciwieństwie do tej drugiej opcji, ta pierwsza zapewnia mi jazdę w takich godzinach, w jakich chcę, a różnica w cenie nie jest wielka. Poranny szczyt minął, ale nie jestem pewien, czy nie obowiązuje również popołudniowy. Potem się dowiaduję, że chodzi tylko o to, żeby podróż zaczęła się po 9.30, czyli w opcji, która mi pasuje, ale już za późno. Trudno, czasem się przyoszczędzi, czasem przepłaci.

Travelka jednodniowa jest ważna do 4.30 rano następnego dnia – tak, żeby móc do domu wrócić nocnym autobusem. Metro i koleje w większości zamierają około północy.

Gdybym przyjechał na dłużej, to bardziej opłacałaby mi się karta *oyster*, którą można zasilać, co wychodzi taniej. To nic innego jak plastikowy bilet wielokrotnego użytku. Można mieć na niej travelkę tygodniową, miesięczną i roczną, można też naładować sobie pieniądze i płacić za każdy przejazd – wtedy jest to karta przedpłacona i nazywa się *pay as you go*. Karta jest jednak wydawana za kaucją wynoszącą 5 funtów, a ja nie mam pojęcia, czy następnego dnia będę z niej korzystał. Zresztą, nie wiem, czy Krzysiek będzie w stanie normalnie funkcjonować. Mam nadzieję, że to jednak nic poważnego. Jeszcze nie zdaję sobie sprawy, w jak wielkim jestem błędzie.

– Jedźmy najpierw na Trafalgar Square. Nagramy zapowiedź przed wejściem do Tate Gallery – zwracam się do Krzyśka normalnie, jak to w sytuacjach na planie. Jest plan, robimy.

– Dobra.

Nic nie mówi, ale widzę, że ledwo żyje. Dobrze, że siedzi – jakoś nie mam ochoty żartować. No ale co mam zrobić? Kogo poprosić o pomoc? Nie przylecieliśmy na tydzień, żeby móc mieć czas na rekonwalescencję. Jutro wracamy, a jak na razie niewiele udało się zrobić. Nic nie mówię, nie będę się stresował na zapas. Na razie dojeżdżamy do właściwego miejsca.

Trafalgar Square chyba nigdy nie zamiera, niemal zawsze jest pełen ludzi. Wielu z nich to turyści, ale przemykają i miejscowi. To tradycyjne miejsce spotkań sylwestrowych, a także zgromadzeń politycznych. Nie można go nie dostrzec, każdy wie, gdzie jest Trafalgar. Dominuje nad nim kolumna Nelsona, pogromcy Napoleona na morzu. A północną ścianę placu zajmuje National Gallery. Dziś nie będziemy tam wchodzić, ale może uda się nakręcić zapowiedź. Bardzo na to liczę, bo jeśli Krzysiek ma paść, to chcę wykorzystać każdą resztkę energii. Staję na schodach, nie zdając sobie sprawy, że te wielkie dopiero przed nami. Ledwo zaczynamy ogrywki, a tu jak spod ziemi wyrasta policja.

– Macie pozwolenie?

– Nie mamy, ale przecież wszyscy tu kręcą kamerami.

– Ale to jest profesjonalny sprzęt. Nie możecie kręcić bez pozwolenia.

A właśnie nie zależało nam na tym, żeby go mieć. Specjalnie. Dałoby się je załatwić, ale chcieliśmy występować nie jako dziennikarze, tylko jako zwyczajni turyści. To był świadomy zabieg. Aż za bardzo.

Trafalgar Square. Mekka turystów.

Na nic zdają się tłumaczenia i pokazywanie legitymacji. Nie ma pozwolenia, nie ma filmowania. Czarująca jak futro zaskrońca pani mówi, że albo chowamy sprzęt, albo ona wyciągnie swój. W innych okolicznościach to mogłoby być nawet ciekawe, jestem otwarty na nowe doznania, ale w tej sytuacji nie ma mowy o zabawie. Jest dokładnie to, co przewidywałem. Londyn. Nie wystarczy powiedzieć: „Trochę kultury, chłopie", trzeba ją jeszcze sobie wywalczyć.

To właśnie ta podejrzliwość. Można ją zrozumieć – londyńczycy przeżyli atak terrorystyczny, ale mimo wszystko owa uparta chęć posiadania papierka na każdą sytuację, która odbiega od schematu, przypomina mi czasy PRL-u, kiedy papier też był najważniejszą wykładnią prawa. Jest – znaczy można, nie ma – to nie można. Anglicy guzik wiedzą o komunie i zniewoleniu narodu, ale momentami zachowują się, jakby byli wyjęci z ustroju totalitarnego. Poza tym, jak mawiał dziadek, oszukali nas dwukrotnie: w 1939 i 1945 roku. Nie da się z nimi dyskutować. Sytuacja robi się drażliwa.

Zawieszenie broni.

– Rozumiem, że w środku wymagana jest zgoda. Ale w miejscu publicznym?

– Sir, musicie mieć pozwolenie na kręcenie. Jeśli nie, nie możecie kręcić.

– Bez sensu.

Rozmowa zostaje zakończona. Krzysiek chowa kamerę, policjanci się oddalają. Ale dla nas to nie jest koniec pracy. Nie można skorzystać z dużej kamery? To użyjemy kamery HD. W takich sytuacjach sprawdza się znakomicie. Jest mała, poręczna, a dzięki żyroskopowi można kręcić nią nawet z biodra. I wsadźcie sobie wasze pozwolenia, nie powiem gdzie. A właściwie, czemu nie. Wsadźcie je sobie głęboko.

Kręcimy, co się da, korzystając z resztek popołudniowego słońca. Jednak po kilkunastu minutach robi się szaro, więc zwijamy manatki i lecimy do metra. Tym razem podjeżdżamy szybko pod Tate Gallery. Niestety, pracownicy Muzeum Sztuki Nowoczesnej też nie zezwalają na użycie kamery, nawet małej. Tym razem nie ma policjantów, ale dziewczyna z obsługi wyraża kategoryczny, choć uprzejmy (w końcu jesteśmy w Anglii), sprzeciw.

– Niestety.

– Tak, wiem, wiem, nie mamy pozwolenia.

– *Exactly*.

Robota głupiego. Nie będzie relacji z Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Przynajmniej nie ze środka. Dobrze, że chociaż udało się z National Gallery.

Przechodzimy mostem Milenijnym, łączącym dzielnice Bankside z City, na drugą stronę Tamizy. Konstrukcja robi wrażenie za dnia, ale szczególnie odlotowa jest po zmroku, bo oświetlenie zlewa się z nią, dając niesamowitą instalację światło-dźwięk.

– Widzisz to ostrze światła?

Krzysiek nie odpowiada. Wygląda, jakby wbito mu nóż w plecy. Mówi, że czuje się z każdą minutą coraz gorzej. Do tej pory wciąż liczyłem, że ten ból głowy, czy jak go nazwać, minie po jakimś czasie. Widzę jednak, że to nie są przelewki.

Mój operator przestaje się w ogóle odzywać i z mozołem niesie kamerę. Próbuje przykładać się do roboty, ale coraz bardziej widzę, że kontakt nam się całkowicie rozjeżdża. Leziemy ponuro, jak skazańcy. Ostatni raz oglądałem taki marsz w filmie *Czyż nie dobija się koni*. Ale i on się szybko kończy.

– Musimy się zatrzymać.

Krzysiek staje. W złym momencie pomyślałem o koniach. Jakoś mi się zwizualizował. Ja już wiem. Choć jeszcze nie zostało to powiedziane. On dalej nie pójdzie.

Słit focia, czyli jak sobie zrobić dobrze?

– Tu jest pub. Chodźmy na kawę i jakąś colę – próbuję ostatniej deski ratunku. I przynęty zarazem.

Cola jest dobra na wszystko, nieraz ratowała mi życie. Ten niezdrowy napój ma tak duże stężenie cukru, że chociaż tuczy na potęgę, w ekstremalnych sytuacjach potrafi doładować.

W pubie niemal przylegającym do katedry św. Pawła zamawiam kawę i colę i próbuję złapać Sieć. Mimo perturbacji, mam w planach dalsze zwiedzanie, ale Krzysiek po powrocie z łazienki stawia jasno sprawę.

– Musimy jechać do hotelu. Nie jestem w stanie pracować. Bardzo cię przepraszam.

I nie ma już o czym mówić. Jeśli tak doświadczony operator tak twierdzi, to wiem, że nie jest dobrze. Nie będę się sprzeczał ani próbował oponować. On nie może, ja mu wierzę.

Znów idziemy do metra i kierujemy się w stronę hotelu. Trzeba jak najszybciej podjechać do noclegowni i dopiero wtedy zastanowić się co dalej. Znaczy, ja się muszę zastanowić, bo Krzysiek wygląda, jakby miał zaraz umrzeć.

Znaleźć tani nocleg w dużym mieście nie jest łatwo. Tym bardziej w dobrej cenie chce się mieć dobrą lokalizację. A jednak przeszukanie bookingu znów dało rezultaty, okazuje się, że można połączyć jedno z drugim. Jedziemy metrem na Russel Square. Według mapy wystarczy przejść kilkaset metrów od stacji. Za 10 minut jesteśmy na miejscu.

– To jest na pewno nasz hostel?

– Wygląda jak jakiś megainternat.

Spodziewałem się miejscowego lokum na kilka pokoi. Ot, takie wejście ze schodków do malutkiej recepcji, a potem kluczyk do pokoiku gdzieś na końcu samotnego korytarza.

Nic bardziej błędnego.

Generator Hostel to wielopiętrowe gmaszysko widoczne dopiero po przejściu przez bramę na Tavistock Place. To jakby odrębny organizm w sercu miasta, z własną kawiarenką internetową, salonem i pokojem gier ze stołami bilardowymi. Są tu organizowane imprezy karaoke, występy didżeja na żywo, a nawet bezpłatne seanse filmowe. Na stronie znajduję również informację, że hostel oferuje bezpłatne piesze wycieczki po mieście.

Pokoje są urządzone bardzo prosto, wręcz spartańsko. Poza piętrowym łóżkiem i szafką jest miejsce tylko na małą umywalkę. Prysznice i toalety – na korytarzu. Na szczęście jest ich tak dużo, że nie ma kolejki. Trzeba tylko pamiętać o klapkach i ręczniku. Nigdy nie latam bez nich. Kto ma swoje, ten jest samowystarczalny.

Nie narzekam zatem na higienę i utensylia. Martwię się, co z moim operatorem. Krzysiek, jak tylko wszedł do pokoju,

padł na łóżko. Ja siadam naprzeciwko i nie wiem, co mam dalej zrobić.

– Co teraz?

– Poleżę i zobaczymy.

– Dobra, to ja idę po zakupy. Nie będę przecież siedział jak gamoń.

Zostawiam go w takim stanie. Nie ma sensu siedzieć bezczynnie. Krzysiek prosi o wodę, czuję się jak w filmie o wyprawie na Saharę. Przyniosę mu w drodze powrotnej. On się prześpi, ja ochłonę.

Biorę kamerę HD i idę w stronę metra. Przynajmniej wykorzystam całodobowy bilet. Decyduję się jechać w stronę pałacu Buckingham. O tej porze nie ma tam wielu ludzi. Niestety, brakuje też światła. Odrobina, która odbija się od pałacowych lampek, nie nadaje się do kręcenia. Mimo to próbuję zarejestrować choć kilka minut. Mam świadomość beznadziejności moich działań i jestem spięty jak początkujący ksiądz na pierwszym kazaniu. Komórka brzęczy. Odbieram telefon.

Dzwoni Marcin, pytając, czy się spotkamy na jakimś piwie. W pierwszej chwili mam ochotę iść, skoro i tak nie uda się nic nagrać. Przynajmniej nie będę się zadręczał poczuciem niespełnionego obowiązku. Po chwili jednak tłumaczę mu sytuację, przepraszam i mówię, że może spotkamy się innym razem.

– Wiesz, że mnie to nawet też pasuje. Mamy sporo roboty i musimy rano się do niej zabrać.

No i bardzo dobrze. Wracam do hotelu, po drodze robię zakupy. Krzysiek prosił o wodę, dokładam jeszcze kilka kanapek.

Wchodzę do pokoju. Jestem pewien, że to będzie ostatni akcent naszej przygody w Londynie. Pójdziemy spać, a rano wrócimy z niczym. Albo z Nietzschem, bo potęga woli bierze górę nad materią.

I widzę cud.

– Jedziemy na zdjęcia? – Krzysiek nie mówi już jak zombie. Choroba, cokolwiek to było, ustąpiła.

Ozdrowiał. Nie wiem, jak to się stało, i on też nie ma pojęcia. Bolało go i już nie boli. Jak w filmie *Forrest Gump*, gdzie padało

pół roku w Wietnamie, a potem przestało. Jest jak nowo narodzony i gotów do pracy, wręcz się do niej rwie z radością. A ponieważ euforia jest zaraźliwa, więc i ja z miejsca czuję się naładowany pozytywną energią.

– Jedziemy na Piccadilly Circus.

Jest dopiero 20.00, więc nasze travelki jeszcze długo nie stracą ważności. A Piccadilly daje pewność ducha wielkiej metropolii, bliskość Soho i West Endu. Po 20 minutach kręcimy się pod pomnikiem Erosa. To dobre miejsce na stand uppera, co zresztą niezwłocznie czynię.

Najważniejsze jednak, żeby nagrać jakieś jedzenie. I zjeść samemu też nie zawadzi. Idziemy do Chinatown, tylko kilka przecznic. Ostatni raz byłem tam w 1989 roku, więc trochę mogło się zmienić. Zresztą jako biedny student z kraju biedoty na nic nie mogłem sobie pozwolić. Teraz mam okazję odegrać się z nawiązką. Muszę tyko znaleźć dobre miejsce.

I znajduję.

Niemal od razu po przekroczeniu bramy trafiam na bar z serii *Eat as much as you can*. Chińska knajpa, w której płaci się raz, a potem je, ile chce – 6,96 funta, czyli około 35 złotych, w Polsce same krewetki kosztowałyby więcej. Coś cudownego. I jeszcze pozwalają filmować. Londyńczycy mieli obiekcje, Chińczycy zgadzają się bez problemu. Wiedzą, że to dla nich reklama. Anglicy mają to w tyłku, oni walczą o każdy dzień.

Niczego więcej nam nie trzeba, zajadamy, co popadnie, mamy sporo fajnego wieczornego materiału, po czym zasuwamy z powrotem do hotelu, żeby odreagować zmęczenie. Przed snem wyciągam najważniejszą rzecz, w którą koniecznie trzeba się zaopatrzyć.

Chinatown. Jedz, ile chcesz.

Przejściówka do ładowarki do telefonu.

W Anglii są inne wtyczki, więc jeśli jej nie kupimy w sklepie czy na lotnisku, ani komórka, ani laptop nie nadają się do użycia. Oczywiście, ja tego nie zrobiłem i mimo że najtańsze egzemplarze można kupić za funta w dowolnym sklepie z artykułami spożywczymi, a nawet w drogerii, zgapiłem sprawę. Całe szczęście, że w hotelu jest sklepik, ale obowiązuje też w nim marża. Ładowarka kosztuje 5 funtów. Przyda się na kolejne wyjazdy. Chwytam nabytek i wpycham do kontaktu, ładuję komórkę, laptopa podłączę z samego rana. Na razie czas na wielki sen.

Następnego dnia wstajemy już o 7.00. Szybko ogarniamy pokój kamerą i lecimy na podbój kulturalny. Do najbliższej atrakcji turystycznej mamy zaledwie 10 minut piechotą.

British Museum.

Jak każde wielkie imperium, również Wielka Brytania kradła, co się dało z podbitych terenów, i gromadziła to w jednym miejscu. Tak jest w Ermitażu, tak jest w Luwrze. Anglicy mają British Museum. Nie da się go obejść w jeden dzień. Ale jeśli ktoś ma zamiar często podróżować do Londynu, to może dogłębnie spenetrować wszystkie zakamarki tego wspaniałego

gmachu. Ja tak zrobię. Buszowałem tu przed laty, ale mam ochotę na powtórkę, choć dziś będzie to skrócona wersja. Każdy łyk zapachu wieków jest dla mnie jak woda dla ryby. Uwielbiam historię, a szczególnie taką, którą mogę zobaczyć na własne oczy. Tutaj hasło „trochę kultury, chłopie" brzmi jak pisk myszy pod boazerią. W tym miejscu kulturę czuć na odległość. Gdybym nie miał żadnego pomysłu na Londyn, zawsze zostaną trzy rzeczy, które mogę penetrować bez znużenia: puby, Primarka i właśnie British Museum. W dowolnej kolejności.

Katedra westminsterska. Brytyjski Wawel.

Katedra kryje wiele tajemnic.

– Lecimy dalej. Czas nagli.
Idziemy w stronę Buckingam Palace.

Wcześniej mijamy Downing Street, akurat zaczyna się ważna konferencja, bo przed siedzibę premiera zjeżdżają dziennikarze i politycy. Wreszcie jakieś miejsce, w którym nikogo nie dziwi i niepokoi obecność kamery. Zresztą na tym odcinku co kilkanaście metrów jest atrakcyjnie miejsce do filmowania.

Za rogiem wznosi się katedra westminsterska. Tu brali ślub książę William i Kate Middleton. Jeśli nie ma nabożeństwa, świątynię można zwiedzać za darmo.

Obok dumnie pręży się gmach brytyjskiego parlamentu. Tam pracują tacy sami posłowie jak u nas, tylko lepsi. A jak się przejdzie przez park, dochodzi się do samego pałacu. Nie jest to godzina zmiany warty, ale i tak przed uchylną bramą kręci się sporo ludzi. My też kręcimy, co się da, wiedząc, że nagraliśmy dużo fajnego materiału. Wreszcie. I to rzutem na taśmę.

– No to chyba mamy wszystko.

– Tak jest. Finito.

Już po zdjęciach, teraz zostało tylko dojść na stację. Banalnie proste.

– O kurczę.

– Co się stało.

– Pomyliłem adresy.

Okazało się, że to nie Victoria. Coś mi zamąciło umysł, gdy kierowaliśmy się w pobliże miejsca, z którego mieliśmy dojechać na lotnisko. Stamtąd też odjeżdżają autobusy, ale my wracamy pociągiem. Z Liverpool Street. Emocje poprzedniego dnia rozkojarzyły mnie do tego stopnia, że pojechałem sprawdzić rozkład na dworzec Victoria, ale zapomniałem, że start odbywa się z innej części Londynu.

– Powiem tak, nie jest to blisko, ale też idąc, powinniśmy zdążyć.

– No to idziemy.

Krzysiek chce się zrewanżować za wczorajszą niedyspozycję, ale dla pewności sprawdzam, czy nie da się tam podjechać. Niestety, nasze travelki straciły ważność. Moglibyśmy kupić nowe, ale z mapy widzę, że w ciągu kilkudziesięciu minut powinniśmy spokojnie dojść na miejsce. To nie jest osiem godzin, które pa-

miętam z czasów studenckich. Idziemy w miarę żwawym krokiem, przechodząc obok Downing Street i kierując się na zachód. Nagle widzę postaci, które doskonale kojarzę.

Downing Street to jedno z najsławniejszych miejsc w centrum Londynu.

Rezydencja premiera jest pilnie strzeżona.

– Poznajesz?
– Co?
– To Madness przecież.

– Gdzie?

Krzysiek dostrzega mężczyzn stojących pod ścianą przed pubem, ale nie wie, o co chodzi. No tak, przecież nie jest z tego pokolenia.

– A znasz taką reklamę? – Nucę mu melodię *Our House*.

– No oczywiście, to reklama kawy.

– No to już wiesz. Rób mi zdjęcie.

Lecę po pamiątkową fotkę do wokalisty. Krzysiek kręci, choć dalej nie wie, z kim ja w ogóle rozmawiam. Suggs nie protestuje, nawet się uśmiecha do kamery. A ja, jak przystało na fana, mówię, że mam ich płyty, choć tak naprawdę jestem właścicielem tylko jednego winyla jeszcze z lat osiemdziesiątych. Ale piosenki znam, nawet ostatnią płytę, *Liberation of Norton Folgate*. To mu imponuje i robi się bardzo przyjemnie. Zespół kręci właśnie reklamówkę na święta, więc chciałbym podglądać ich przy pracy. Cieszę się jak dziecko – faceci w pewnym wieku tak mają. Chcę zostać dłużej, ale Krzysiek przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Lecimy dalej, bo nam wszystkie samoloty pouciekają.

To cytat z *Wniebowziętych*. Znakomita komedia, ale patrząc na zegarek, wcale nie jest wesoło. Droga dłuży się w nieskończoność, a przecież nie chodzi o tempo, tylko o to, że Krzysiek dźwiga na sobie ciężki sprzęt.

Śmiesznie musimy wyglądać, kiedy mkniemy przez ulice Londynu jak jakaś wycieczka z poprawczaka. Niektórzy mieszkańcy widząc nas, sami sięgają po aparat. Mam wrażenie, że mają ochotę wysłać SMS o treści: „pomagam”.

Toruję drogę i zerkam co chwila przez ramię, a Krzysiek leci za mną z udręczoną miną. Jeśli cierpienie uszlachetnia, to jesteśmy w tej chwili drożsi od diamentów. Mimo to, nogi rwą się do przodu jak w kazaczoku. Kiedy robię coś w stresie, jestem zakręcony jak ruski termos. A stres bierze się z tego, że możemy nie zdążyć na samolot.

– Daleko jeszcze? – pyta co chwila Krzysiek, jak osioł ze *Shreka*.

– Prosto, jak kierunkowskaz do kosy.

Hanka miała rację, że nie poleciała. Taki marsz mógłby okazać się zbyt forsowny dla osoby o kulach. Co innego kilkaset metrów, co innego kilometry. A jest ich ze dwadzieścia. Im więcej ich pokonujemy, tym bardziej jestem wściekły, że nie mam travelki. Teraz jednak to łabędzi śpiew. Już tyle mamy za sobą, musimy wytrzymać. Najpierw Fleet Street, potem Ludgate Hill. Krótki postój na schodach katedry św. Pawła na kanapkę i gnamy dalej: Cannon Street i Bishopsgate Gate. Wreszcie stacja Liverpool Street.

Jesteśmy sterani jak konie po westernie, ale okazuje się, że mamy końskie zdrowie. Tego dnia robimy na piechotę około 30 kilometrów. Mam ze zmęczenia tak krzywe nogi, że pies z budą by między nimi przeleciał. Krzysiek też wygląda jak Belfegor. Na szczęście za chwilę usiądziemy. Jesteśmy mokrzy, jakbyśmy wybiegli spod deszczu.

– Zdjąłbym buty, ale nie wiem, czy nie uwolnię nowego związku chemicznego.

– Jakiego?

– Trójskarpecian sera.

Krzysiek jest zbyt zmęczony, by dostrzec, że żartuję. W tym momencie najważniejsze jest, żebyśmy przetoczyli się przez peron i wrzucili zwłoki do wagonu, co się udaje rzutem na taśmę, bo ledwo siadamy w fotelach, a już konduktor daje znak do odjazdu.

Powiem krótko: Stansted Express to zarąbiście wygodny pociąg. Sunie niemal bezszelestnie, ma wyprofilowane fotele, Wi-Fi. I niestraszne mu korki. Jedzie zgodnie z rozkładem, a w trakcie podróży kelner roznosi napoje i przekąski. Warto go brać (pociąg) pod jednym warunkiem: że kupuje się bilet od razu na lotnisku w dwie strony, albo jeszcze lepiej na pokładzie samolotu. Wtedy cena jest do zaakceptowania. Jeśli natomiast kupisz, tak jak ja, bilet odcinkowy, tylko w jedną stronę, zapłacisz za niego 22,50 funta, to ponad 116 złotych. Koszmarnie drogo, ale to była podbramkowa sytuacja.

Reszta podróży powrotnej polega na czekaniu. Znając naszą kolej, obawiam się, że ekspres dojedzie wolniej, niż obiecywał

rozkład, więc zmuszam siebie i Krzyśka do wyjazdu z zapasem. Jednak, o dziwo, pociąg przyjeżdża punktualnie. Nie przywykłem do tego – cóż, polska szkoła kolejnictwa.

W takim razie pozostaje oczekiwanie na lotnisku, które początkowo wydaje się duże, ale wcale nie ma takiej wielkiej hali odlotów. Nie jestem pewien, czy w związku z kłopotami los nie szykuje na koniec jeszcze jednej niespodzianki, ale okazuje się, że obawy są płonne. Wolny czas poświęcam na skończenie opowiadań Stefana Grabińskiego. Zapomniany mistrz horrorów został wydany w zbiorze *Ślepy tor i inne opowiadania.* Dalej straszy, jakby mi było mało kolejowych wrażeń.

To nie była moja pierwsza wizyta w Londynie. Wiem na pewno, że również nie ostatnia. To fascynujące miasto, w którym można zobaczyć tak wiele za tak mało. Jeśli umiejętnie planuje się marszrutę i dojazd z i na lotnisko, oprócz taniego przelotu, koszty utrzymania również będą do zaakceptowania. Reszta to czas na przyjemności. Zaznajcie ich.

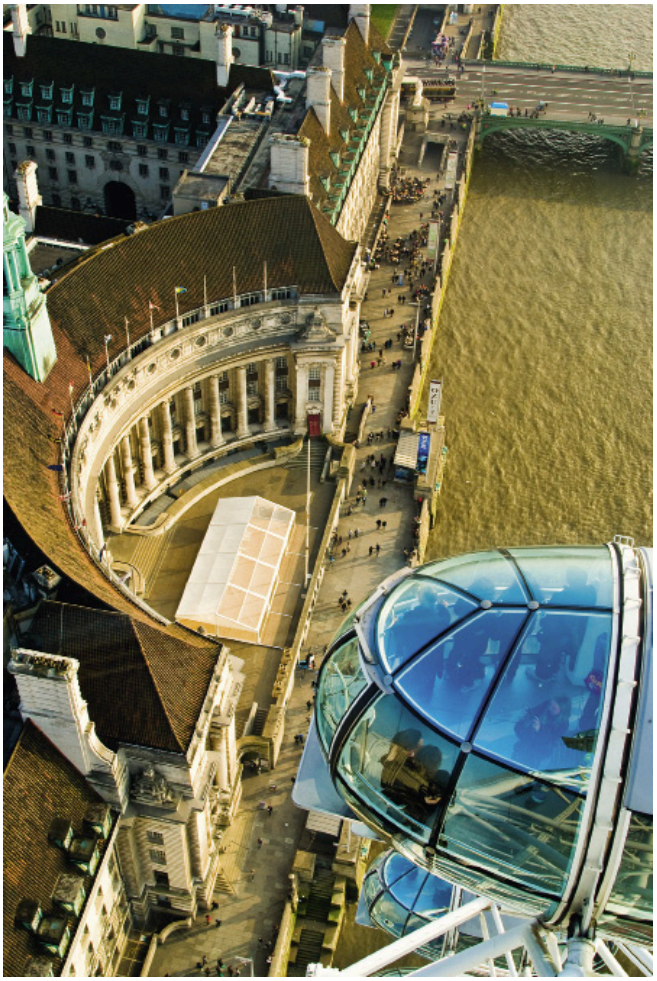

Widok z London Eye.

Podsumowanie:

Londyn wciąga. Do tego wielkiego miasta ściągają wszystkie narody świata, dlatego ma tak wiele odmian, a ich dogłębne poznanie oznacza konieczność wielokrotnego powrotu. Każdy musi zdecydować sam, czy wybiera się, żeby zbadać jedną rzecz, ale dokładnie, czy chce załapać wszystkiego po trochu. Dzięki tanim biletom można skorzystać z obu wersji. Do Londynu trzeba wracać.

Co kręci:

Mnogość darmowych atrakcji. W przeciwieństwie do Zamku Królewskiego czy Wawelu, Anglicy łożą spore środki na kulturę, oferując ją za darmo. Dzięki temu największe i najważniejsze muzea stoją otworem. W samym British Museum można siedzieć kilka tygodni, a i tak wszystkiego się nie zobaczy. Jest Tate Gallery, National Gallery, a dla miłośników historii – Imperial War Museum. Raj dla badaczy, pasjonatów i książkowych moli.

Miasto oferuje wiele atrakcji, które nic nie kosztują – są zupełnie za darmo. Jedyne, na co nie można sobie pozwolić, to je przegapić! Jedzenie nie stanowi problemu. Wystarczy znaleźć knajpkę z serii *Eat, as much as you like* i wyjdzie nie drożej niż w Polsce. W razie czego są na każdym kroku Tesco, Sainsbury, Iceland i moje ukochane Poundlandy, gdzie wszystko kosztuje tylko jednego funta. Za kilka funtów można się obłowić.

Co wkurza:

Zdecydowanie czas dojazdu gdziekolwiek. Londyn jest tak olbrzymim miastem, że przemieszczanie się z jednego końca na drugi zabiera mnóstwo czasu. Pamiętam, że jeszcze jako nielegalny pracownik na zmywaku na początku lat dziewięćdziesiątych musiałem przeznaczać nawet dwie godziny na dojazd. Przy krótkich pobytach to prawdziwy pożeracz czasu. Marszruta i plan zwiedzania są kluczem do sukcesu, podobnie do powrotu na lotnisko. Jeśli nie będzie to pociąg, tylko autobus, lepiej zawczasu wybrać połączenie z zapasem, żeby pojazd nie przyprawił nas o zgryzoty, stojąc w korkach.

Cennik:

- Chleb: 1 GBP.
- Posiłek *all inclusive* w chińskim barze: 6,95 GBP.
- Coca-cola, 1 litr: 1,50–1,70 GBP.
- Woda mineralna: 0,5 GBP.
- Chleb: 0,40–1 GBP.
- Przejściówka do zmiany wtyczki: od 1 GBP.
- Piwo w sklepie: 0,70–1,50 GBP.

- Piwo w pubie: 2,50–3 GBP.
- *Travel card* 24 h: 7,30–8,80 GBP.
- Czekolada: 1 GBP.
- Papierosy: 5 GBP.

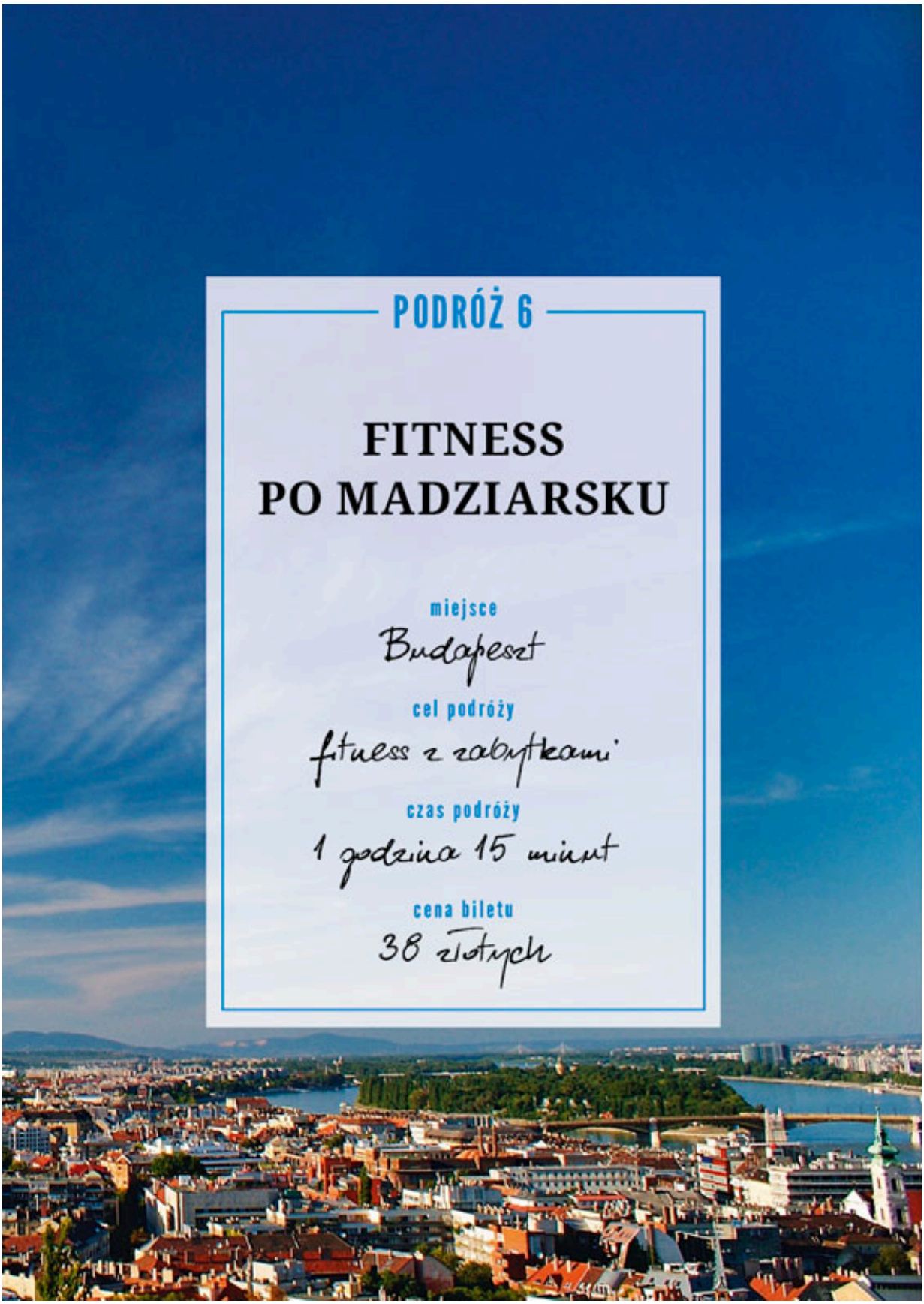

PODRÓŻ 6

FITNESS PO MADZIARSKU

miejsce

Budapeszt

cel podróży

fitness z zabytkami

czas podróży

1 godzina 15 minut

cena biletu

38 złotych

Z czym ci się kojarzą Węgry
Hanka zadaje pytanie, ale nie czeka na odpowiedź.

– Bo mnie kojarzą się z krainą szczęśliwości demoludów. Tam jeździły starsze pokolenia w poszukiwaniu słońca, świeżych owoców i namiastki zachodniego świata.

– Oczywiście, sam tak podróżowałem. Opowiadasz po części również o moim dzieciństwie. – Nie chcę wyjść na mądralę, ale jako starszy więcej mogę powiedzieć na ten temat, bo bardziej tego doświadczyłem na własnej skórze. Napisałem nawet o tym książkę.

– Więc odkryjmy je na nowo. Poza tym to znakomita okazja, żeby pokazać, że da się połączyć zwiedzanie z dbaniem o kondycję fizyczną. Na pewno jest sporo miejsc, gdzie można pobiegać, poćwiczyć. Zrobisz coś dla siebie. I dla widzów. Przedstawisz zdrowy styl życia.

Pomysł ogromnie mi się podoba. Znam wschodnie Węgry i bardzo je sobie chwalę. Poznałem ten kraj, gdy w okresie małżeństwa jeździłem do rodziny żony do Krosna. Stamtąd do dawnej granicy ze Słowacją w Barwinku jest tylko 30 kilometrów, a do zjawiskowego węgierskiego Tokaju – 216. Poznałem region od prowincjonalnych Medzilaborców, gdzie urodził się Andy Warhol, do winnic Egeru i kąpielisk Hajdúszoboszló. Dowiedziałem się nawet, co znaczy określenie *kutja harap*, kiedy w trakcie szukania noclegu wszedłem na podwórko, nieopatrznie otworzywszy furtkę z obrazkiem szczerzącego kły psa. Nigdy jednak nie byłem w stolicy Węgier – samochodem za długo, a pociąg za drogi.

Kiedy zatem znajduję bilety za 38 złotych w obie strony, dochodzę do wniosku, że najwyższy czas poznać to miasto. Polak, Węgier – dwa bratanki, więc warto tych krewniaków poszukać. Zwłaszcza za takie pieniądze.

– Zapytaj ludzi na fejsie, na pewno ktoś podpowie.

Hania tym razem nie odkrywa przede mną Ameryki. Jeszcze nie miałem okazji jej powiedzieć, że poprzednie próby spaliły na panewce. Ludzie piszą, żeby pisać. Jednak wieść o tanim Budapeszcie elektryzuje znajomych. Wpisy żartobliwe mieszają

się z konkretnymi wskazówkami. Sensownie brzmi wiadomość od Marcina:

– Idź koniecznie na Wyspę Świętej Małgorzaty! Ja byłem w Budapeszcie pod koniec lat osiemdziesiątych. Kupiłem sobie pastę Gabi – pamiętasz, miała bananowy smak.

Łaźnia Széchenyi. Coś dla ciała, coś dla ducha.

Pamiętam, choć ja używałem smaku truskawkowego.

– Zakupiłem też jaskrawe sznurówki, dezodorant Bac i mydło Bac – Marcin marszczy czoło. – Brązowe! Wiadomo, bo męskie.

– Ale ja przecież nie lecę na zakupy, poza tym to nie te czasy – śmieję się. Widzę, że kolega wskoczył na tory do stacji Nostalgia.

– Nie szkodzi, powspominać można. Weź jakiś kryształ na handel jak Karwowski z *Czterdziestolatka*. A, i napij się tam wina za kolegów. *Keszenem* znaczy „dziękuję”. I z Barei – *nincze*, Warszawa, *nincze*.

Przypomina mi się scena z Krzysztofem Kowalewskim z *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz*, próbującym dodzwonić się do zakładu w Warszawie, i reakcja na słowa telefonistki, która próbuje mu wyjaśnić, że chwilowo nie ma połączenia z Polską. No dobrze, powspominaliśmy sobie, ale w dalszym ciągu nie wiem, gdzie są miejsca, które warto zobaczyć albo w których warto zjeść. Szukam dalej w postach. Chiara pisze ciekawie:

– Ja bym poszła do łaźni Széchenyi, to tam grają w szachy w basenie na dworze, nawet jak pada śnieg. Gellért też jest fajny, ale latem. A jak wyjdziesz stamtąd, to koniecznie musisz spróbować *langosa* kupionego w budce obok. Ze śmietaną, czosnkiem i tartym żółtym serem. Poszłabym także koniecznie na plac Vörösmarty do kawiarni Gerbeaud na *dobos torta*. Tam jest też linia metra 1 – jedna z najstarszych na świecie. Również warto się przejechać.

Wiem na pewno, że na kąpieliska pojadę innym razem. Z kamerą będą same problemy, więc pomny londyńskich doświadczeń nawet nie próbuję się pchać w ten temat. Zresztą to jest pomysł na zupełnie inny odcinek. Czytam dalej o jedzeniu.

– Na pewno coś znajdziesz fajnego na ulicy Ráday, niedaleko od placu Kálvin. Jest tam na przykład typowa węgierska knajpa Vörös Postakocsi, chyba też grają w niej na żywo cygańską muzykę, ale trzeba sprawdzić.

Zapisuję skrzętnie. Nawet jeśli teraz nie skorzystam, przyda się na przyszłość. Warto tworzyć własną bazę danych. Po jakimś czasie nie zawsze pamięta się nazwę ulicy, a jeśli masz zamiar zostać podróżnikiem, dzięki notatkom znów zaoszczędzisz czas i pieniądze.

Raz płacisz. Jesz do woli.

Inny pomocny wpis koncentruje się wyłącznie na jedzeniu.

– Oprócz *langosa* i *dobos torta* polecam zjedzenie *pogacsy*, *parasztkolbasz* (kiełbasy), *turo rudi* (twarogu w czekoladzie) i *jókai bableves* (zupy fasolowej). A na deser *somlói galuska* – tego się nie da opisać, niebo w gębie. Koniecznie trzeba spróbować.

Kolejne adresy sypią się jak z rękawa. Kék Rozsa Étterem és Söröző – restauracja i piwiarnia, Wesselényi útca 9, ale czynna dopiero od godziny 11.00. O 7.00 otwiera podwoje Cafe Farger przy Zoltán útca 18.

No i to jest jakiś konkret. Wreszcie coś sensownego na tym bezrybiu powierzchowności. Chociaż mimo wszystko lubię Facebooka.

Drukuję rady, spróbuję z nich skorzystać na miejscu. Drukuję także bilety dla całej ekipy. Nauczyłem się szybko dokonywać odprawy, więc proces ten trwa zaledwie kilka minut. Rano umawiamy się jak zwykle na lotnisku. Oprócz Hani jest także Piotrek Siwek. Znamy się od lat, ale pracujemy razem pierwszy raz. Nie wiem, jakie on ma opinie o mnie, ale ja o nim zbieram tylko dobre. Wszyscy go chwalą za jakość zdjęć i za to, że potrafi z każdego obrazka wyczarować magię.

– Najlepszy lot, to krótki lot. Tylko godzina i dziesięć minut. Nie ma kompletu na pokładzie, więc siedzimy na podwójnych

miejscach. Nigdy nie kupuję dodatkowej przestrzeni. Zawsze jakoś tak się układam na fotelu, że nie mam problemów. Tak samo Piotrek, jesteśmy podobnego wzrostu. A Hania jak zwykle może spać w każdym miejscu i o każdej porze. Ja też się tego nauczyłem. Z każdą kolejną wyprawą zaczynam działać trochę jak automat. Pamiętam o płynie, którym nawadniam organizm, mam zawsze przy sobie coś słodkiego, żeby w razie czego zrobić sobie energetyczny zastrzyk, no i śpię jak zabity. Do poduszki, którą zamieniłem na droższą, ale wygodniejszą, dorzucam stopery. Miękkie zatyczki znakomicie izolują mnie od hałasu. Dzięki temu jeszcze szybciej zasypiam i jeszcze lepiej wykorzystuję przerwy w podróży na regenerację.

Nie mam jednak wpływu na upływ czasu. Ledwo zamykam oczy i zaczyna mi się śnić coś fajnego, słyszę komunikat kapitana. Lądujemy na lotnisku Ferihegy. Terminal dwa. Pytanie: jak najszybciej dostać się do centrum? Trzeba się przesiąść do autobusu. To najlepsze i najtańsze rozwiązanie. Tak mi doradza pani w punkcie informacyjnym. Wypytuje ją o czas dojazdu i częstotliwość kursowania. Żeby było jasne, po węgiersku nie mówię, ale angielski jest powszechny.

Węgierski wydaje się łatwy. Pozory mylą.

Przy okazji sięgam po plan miasta, z rozpisanymi przystankami. Zawsze biorę mapki. Mają nieocenione znaczenie. Dzięki nim metropolia, która początkowo przeraża rozmachem,

w krótkim czasie staje się znajoma, jak dawno niewidziany kumpel.

Po wyjściu z terminalu kierujemy się w prawo. Numer 200 E to jedyny autobus do miasta. Bilet można kupić u kierowcy, ale lepiej zrobić to w kiosku Relay w głównej hali, bo jednorazowy kosztuje tam 320 forintów (około 5 złotych), a u kierowcy już 400.

Od tego, czy miasto będziemy zwiedzać indywidualnie, czy w grupie, oraz ile czasu będzie trwać pobyt, powinien zależeć ostateczny wybór rodzaju biletu. Liczba dostępnych wariantów zachęca do dokładnego skalkulowania najbardziej korzystnej opcji, oszczędność z tego tytułu może bowiem sięgać niebagatelnych kwot rzędu kilku tysięcy forintów.

Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem jest zakup jednodniówki. Kosztuje 1550 forintów (około 22 złotych), ale pozwala na jeżdżenie dosłownie wszędzie. Może być metro, tramwaj czy autobus. Dla spędzającego czas w mieście to nieocenione rozwiązanie. Można się przemieszczać bez obawy, że wykracza się poza jakąś strefę, jest się ograniczonym tylko wyobraźnią.

Pamiętaj: jeśli przejedziesz więcej niż cztery razy, czyli do centrum autobusem oraz metrem i z powrotem – już ci się opłaca. Ważna uwaga: najlepiej kupić bilet już na lotnisku. Ja tego nie zrobiłem, bo nie miałem wymienionej waluty z euro na forinty, a u kierowcy nie można zapłacić kartą. Wniosek: przed przyjazdem kup sobie trochę forintów w kantorze. Tyle, żeby mieć na travelkę.

– Już? – Hania zastanawia się, czy przypadkiem nie powinniśmy tu wysiąść. Mimo woli przypomina mi się fragment ze *Shreka*. „Daleko jeszcze?”. Nie, niedaleko.

– Chyba już. – Jedziemy ponad pół godziny. Krajobraz bardzo nieciekawy, jakieś zabudowania, trochę zieleni, przedmieścia.

Wreszcie ostatni przystanek. Jeśli nie pomyliłem się w liczeniu, jest ich dziewięć. Stacja Köbánya Kispest. Autobus za chwilę zawróci na lotnisko. A ludzie wychodzą tłumnie po schodkach w górę.

– I co teraz?

– To jest chyba ta stacja Koki. Tak Węgrzy mówią na nią w skrócie. Teraz musimy przesiąść się na metro. Tylko nie pomylmy ze stacją kolejową.

– Musimy raczej wymienić walutę.

– No tak, przecież nie mamy ani forinta.

Zapomniałem, że w tym kraju jeszcze nie weszło euro. Szkoda, jestem zwolennikiem wspólnej waluty. Przekonałem się, że cokolwiek by nie mówić o euro, to płacenie wszędzie tymi samymi pieniędzmi ma sens. Muszę je jednak wymienić na lokalne. Przy stacji jest duże centrum handlowe, połączone przejściem nad torami i ulicą. Taka madziarska Galeria Mokotów. Bez problemu znajduję w niej kantor. Właściwie kilka. Ale co za różnica, w którym zmienię kasę. A jednak.

– Pobieramy opłatę od transakcji. 400 forintów.

– Coś podobnego, moment, to wymieniamy wszyscy razem. – Mówię do Hani i Piotrka, żeby wyciągnęli pieniądze, nie ma sensu rozbijać tego na trzy rachunki. Kasjerka ubiega nasze wysiłki.

– Jeśli chcecie bez opłaty, piętro wyżej można. Tam jest inny kantor, tańszy.

Faktycznie. Wskazany kantor nie pobiera żadnej dodatkowej kasy. Niby niewiele, ale po co przepłacać. Miło ze strony pani, że skierowała nas do konkurencji.

Uzbrojony w walutę wracam na stacyjkę. Próbuję kupić całodniowy bilet. Okazuje się, że jest jakiś problem.

– Bilet, poproszę, całodniowy. – Angielski kompletnie nie działa. Mówię w różnych językach, w tym po polsku i rosyjsku. Niemiecki nie jest moją mocną stroną, ale we wschodnich Węgrzech działa. Kombinuję z użyciem słów *eine*, *Tag* i *für mich*, lecz bez sukcesu.

Nie rozumiem, co mówi kasjerka w okienku, ale chyba nie chce mnie obsłużyć. Pokazuje na biletomat; wiem, że tam się kupuje bilet. Niestety automat przyjmuje tylko monety. Papierki nie wchodzą. A ja nie mam bilonu. Koło się zamyka.

– Co to z tobą?

Hanka wskazuje na zegarek.

– Biletu mi nie chce sprzedać – pokazuję palcem na kasę. – Czai się w tej budce jak kuna w agreście. Nie możemy się porozumieć.

– To spróbuj jeszcze raz.

– Jeszcze raz, jeszcze raz – mamroczę poirytowany. Piotrek cały czas mnie filmuje, więc poprzestaję na łagodnym burknięciu. Nie ma co się żołądkować. Przez chwilę stoję bezradny, wydawało mi się, że tylko na polskich dworcach kolejowych kasjerki nie znają słowa w obcym języku. Na szczęście angielski wśród młodszego pokolenia jest równie popularny jak u nas.

Daleko jeszcze?

Która jest moja stacja?

– Przepraszam panią, słabo u mnie z węgierskim. Chciałem kupić bilet, a nie mogę się porozumieć w kasie. Pomoże mi pani?

Uśmiechnięta brunetka zgadza się bez zastanowienia i za chwilę pomaga w negocjacjach. Daję jej kasę, a ona kupuje dla mnie bilet. Tłumaczy mi, że kasjerka źle mnie zrozumiała, ale mam wrażenie, że zrobiła to celowo. Nie była zadowolona, że kręci się za mną Piotrek z kamerą. Nawet coś złorzeczyła pod nosem i machała firanką, że nie życzy sobie filmowania. Ma prawo, tak jak ja kręcić. Nieważne. Ważne, że są bilety.

Cała sytuacja zajmuje mi łącznie około godziny, wraz z dojazdem z centrum. Będę pamiętał na przyszłość, żeby mieć od razu kartę albo więcej jednorazowych biletów i nie tracić czasu na kupno i wymianę waluty. W samym Budapeszcie też jest pełno kantorów.

– Kochani, teraz kierunek Újpest-Központ.

– Mógłbyś mówić po ludzku? – Hania umie po węgiersku tyle co Piotrek i ja. Czyli jeśli ktoś rzuci nazwę, reszta musi się dopytywać, co miał na myśli.

– Kierunek Lehel tér.

To brzmi bardziej zrozumiale. Lecimy po schodkach na dół. Właśnie podjeżdża kolejny pociąg. Na razie nadziemny, ale po kilkunastu minutach zanurza się pod ziemię. Znam ten system z Anglii – połączenie metra z kolejami regionalnymi. W Polsce kiedyś też tak ma być. W końcu słyszę o tym dopiero od kilkunastu lat.

Za to od kilku minut metro nie stanowi już żadnej bariery dla nas, turystów. Przypomina tylko o tym, jaka przepaść dzieli Węgry od Polski. To najstarsza czynna podziemna kolej na kontynencie. Powstała w 1896 roku. Wcześniej był tylko Londyn.

Budapeszteńskie metro składa się z trzech linii: żółtej, przebiegającej tylko przez Peszt, czerwonej, poprowadzonej ze wschodniego Pesztu do Dworca Południowego (przydatna, jeśli ktoś chce się wybrać pociągiem nad Balaton: z dworca Déli, czyli Południowego, tylko dwie godziny jazdy), wreszcie niebieskiej, którą my jedziemy, ze stacji Koki. Łącznie 40 stacji na długości 32 kilometrów. Punktem centralnym jest Deák Ferenc tér, tu się wszystkie linie krzyżują, ale my udajemy się kawałek dalej, na Lehel tér, bo stamtąd jest najbliżej do miejsca zamieszkania. Sprawdzam na GPS-ie, że do hostelu mamy zaledwie kilometr z małym hakiem. Gdyby nie kulawa Hanka, pewnie poszlibyśmy na piechotę, ale w tej sytuacji trzeba wziąć taksówkę.

– Aż jestem ciekaw, ile zapłacimy. – Proszę o podwózkę pod adres widniejący na wydruku potwierdzenia rezerwacji. Boat Hostel Fortuna.

Kierowca patrzy na kartkę.

– Szent István Park – dukam, nie zawracając sobie głowy akcentem.

– *Egen* – łapie i odpala silnik. Dosłownie za pięć minut jesteśmy nad brzegiem Dunaju. Tuż przy ulicy jest przycumowany biały statek. To właśnie ten hostel. W opisie czytam, że znajduje się w idealnym miejscu, zaledwie 15 minut spacerem od Wyspy Małgorzaty. Codziennie rano serwowane jest śniadanie w formie bufetu. Mieszcząca się na pokładzie restauracja zaprasza na dania kuchni węgierskiej i międzynarodowej.

– No i gitara.

– Mnie się też podoba. – Piotrek jest entuzjastycznie nastawiony.

Kierujemy się do recepcji, a potem po schodkach na piętro. Korytarz jest długi i mam wrażenie, że trochę krzywy. Fajnie, jak na prawdziwym statku. Zawsze jakoś się dokuśtyka do kajuty.

Pokoje w hostelu Fortuna wyposażone są w drewniane meble, umywalkę i dostęp do wspólnej łazienki. W ogólnodostępnych pomieszczeniach można korzystać z bezpłatnego bezprzewodowego Internetu. Ja złapałem go w kajucie, choć jest to zaledwie jedna kreska. 41 euro, czyli około 160 złotych, ale za pokój trzyosobowy. I to ze śniadaniem. Cena atrakcyjna, a widok z okna zapiera dech w piersiach. Dunaj jest piękny, i wszystko płynie.

Czuję, że popłyniemy. Hostel na łodzi.

Żółte tramwaje. Prawie jak w Lizbonie.

– To ja zabieram się do papierkowej roboty, a wy płyńcie na miasto. Spotkamy się wieczorem na kolacji – wydaje instrukcje Hania i ustala plan działania. Jak zwykle czasu jest mało, a miejsc do odwiedzenia wiele. Dziś nie będzie ćwiczeń fizycznych, ale trzeba nakręcić kilka budapeszteńskich atrakcji.

Wychodzimy z Piotrkiem po trapie i kierujemy się w stronę serca miasta. Najbliższy przystanek tramwajowy i autobusowy znajduje się w odległości 500 metrów od naszego hostelu. Dotarcie do centrum, rzeczywiście zajmuje to około 15 minut. Upewniam się po drodze, że zmierzamy w dobrą stronę. Ciekawostką jest, że spotkani spacerowicze to sami Hiszpanie. Widocznie odkryli Budapeszt tak jak ja.

W drodze do centrum mijam jedną z najbardziej charakterystycznych budowli. Wygląda jak zamek Hogwarth z *Harry'ego Pottera*, ale nie ma nic wspólnego z magią, tylko z czystą polityką.

Budynek węgierskiego Parlamentu. Miejsce obowiązkowe dla każdego turysty, tym bardziej że można je zwiedzać za darmo. Indywidualnie albo w grupach. Przewodnicy mówią po niemiecku, francusku, włosku, hiszpańsku i angielsku. Co ciekawe, nie posługują się polskim i rosyjskim. Drobiazg? Nie, to znak czasów i kierunku, w którym chce iść ten kraj. Na razie podziwiam piękne gmaszysko, reprezentujące styl neogotycki. Daje

się zauważyć pewne podobieństwo do budynku parlamentu brytyjskiego.

Budynek Parlamentu w Budapeszcie. Dzieło sztuki.

Wejście główne prowadzi z Lajos Kossuth tér. Przy tym właśnie placu znajduje się linia metra M2. Na razie z niej nie korzystam. Podjeżdżamy z Piotrkiem dwa przystanki tramwajem.

Kolejka atrakcja – most Łańcuchowy, zwany też mostem Széhenyiego. Łączy majestatyczną zamkową Budę z wielkomiejskim Pesztem. Konstrukcję tę warto zobaczyć z bliska. Robi wrażenie za dnia, nocą jest wręcz bajeczna. Można ją przejechać, ale przejście daje więcej frajdy. Po drugiej stronie widać pałac w Budzie. Dziś już za późno na wjazd, szkoda zdjęć. Jutro tu wrócimy. Jest jeszcze wcześnie, ale ciemności zapadły już kilka godzin temu. Musimy znaleźć coś na kolację. I miejsce do nagrania posiłku.

– Przepraszam, gdzie możemy zjeść jakąś węgierską kolację?

– Tutaj niedaleko jest pub, kuchnia meksykańska.

– Węgierska kuchnia, węgierska. – Nie wiem, jak mam wytłumaczyć, że w ojczyźnie gulaszu nie będę opychał się pizzą czy kebabem.

W końcu trafiamy na ulicę Ráday. Łatwo ją poznać, bo ma zaledwie kilkaset metrów i jest ślepa, coś jak Foksal w Warszawie. Od knajpek aż się roi. Przechodzę obok witryn i szukam czegoś, co nie trąci snobizmem i jest odwiedzane przez miejscowych. Pisałem to już, ale powtórzę: zawsze wybieraj miejsca, w których siedzą tubylcy. Unikaj tych odwiedzanych przez Japończyków. Oni nie mają rozeznania i płacą za wszystko bez szemrania.

Ja z kolei bez szemrania tasuję karty menu. Widzę, że przygotowano je w kilku językach, co oczywiście samo w sobie nie jest dziwne. Chodzi jednak o to, że ostatnie Węgry, jakie pamiętam, miały oprócz angielskiego niemiecki, rosyjski i polski. W tej chwili są hiszpański i portugalski. Polskiego i rosyjskiego nie ma w ogóle. Czytelny sygnał: Węgrzy nas lubią, ale nie jesteśmy dla nich priorytetowymi klientami. Być może bierze się to z faktu, że Polacy po dekadach wypraw do demoludów odkryli po 1989 roku zamorskie kurorty, z kolei dla południowców zaistniała środkowa Europa. Nastąpiła nie tylko zmiana pokoleniowa, lecz także geograficzna.

– Trochę dziwne, nie? – pytam Piotrka. Jest młodszy, ale nie na tyle, żeby nie pamiętać, jak Polacy ciągnęli z handlowymi pielgrzymkami na węgierską ziemię.

– A może właśnie naturalne. Jak się je tort, to tęskni się za kiszoną kapustą – zastanawiam się, a Piotrek jakby na to czekał.

– No to zjedzmy coś wreszcie.

Przed nami restauracja Tokaj Étterem, Ráday utca 1–3, przy stacji Kálvin tér. Właśnie z opisu na grupie dyskusyjnej przypomniałem sobie, że tam może być masa dobrego jedzenia. A naprzeciwko działa kantor, więc nie ma potrzeby szukania go z wywieszonym jęzorem. Na stacji metra wymieniliśmy tylko część pieniędzy, teraz można spokojnie zamawiać, bez obawy, że zabraknie. Zresztą i tak w miarę możliwości płacę kartą. Każda transakcja oznacza punkty na karcie, a punkty to okazja do zamiany na bilety.

Podchodzimy do knajpki, patrzę przez szybę, czy wnętrze wygląda zachęcająco.

– Macie ochotę na dobre mięsne dania?

Apetyt rośnie w miarę patrzenia.

Uśmiechnięta blondynka nagabuje nas i zachęca do wejścia. Pytam o możliwość użycia kamery w środku. Nie rozumie, okazuje się, że po angielsku miała przygotowane tylko powitanie. Radzimy sobie za pomocą gestów. Tak czy inaczej, dalej nie ma problemu.

– No to zaczynamy od gulaszu.

Jest tanio i smacznie. Potrawy kosztują około 2000 forintów, czyli 25 złotych za wypasione danie. A gulasz to koszt około 10 złotych. Z chlebem kukurydzianym – bomba.

– Jeśli to prawda, że człowiek jest tym, co je, to ja jestem w tej chwili papryką.

– Oni tu, widzę, wychodzą z sercem na widelcu.

– Zamówię coś do picia. Ja liczę do trzech: *egy*, *kettő*, *három*.

Piwo węgierskie nie ma sobie równych. Jeśli ktoś sądzi, że na uwagę zasługuje tylko wino, jest w grubym błędzie. Arany Ászok, Dreher, Kobanyi – te nazwy gwarantują dobry smak.

Podjeżdżamy na znajomą nam stację Lehel tér i bierzemy ponownie taksówkę. Stać nas. Kładziemy się spać koło północy.

Następnego dnia pobudka o 7.00. Zawsze mi się chce śmiać, jak znajomi myślą, że podróże polegają na wylegiwaniu się do południa. Prawie nie pamiętam, żeby mi się to zdarzyło. Hania dba o to, by nikt się za bardzo nie wyspał. Jednak dzięki jej zorganizowaniu jest czas, żeby wszystko nakręcić zgodnie z planem.

– Zgodnie z planem najpierw śniadanie.

Schodzimy poziom niżej. Kelnerki uśmiechają się i zapraszają do stołu, a te uginają się od jedzenia. Na gorąco, na zimno, na słodko. Jestem zdumiony i zachwycony, że za takie pieniądze można dostać tak znakomitą wyżerkę. Nieliczni turyści również wyglądają na zadowolonych. I nikomu nie przeszkadza, że Piotrek zasuwa po stołówce z kamerą.

– Jak zjecie, jedźcie jeszcze do Budy. Na tę kolejkę, a wcześniej na Wyspę Małgorzaty.

OK, tak zrobimy.

Niezależnie od tego, gdzie jestem, zawsze biorę na śniadanie jajecznicę. Ta jest wyborna, dla uzupełnienia bilansu kalorycznego dorzucam jeszcze węgierskie kiełbaski, ostre jak paprykarz z Biedronki.

Wyspa św. Małgorzaty. Węgierski Central Park.

Kolejka na Wzgórze Zamkowe.
Oszczędność czasu i nóg.

Pokonujemy znaną nam trasę. Jednak do tej pory nie skręcaliśmy w prawo. Wieczór był kaloryczny, więc poranek musi być energetyczny. Zaczynam się rozgrzewać, jakbym miał co najmniej przebiec maraton.

Wyspa Małgorzaty to taki budapeszteński Central Park, tyle że położony na środku Dunaju. Ma dwa i pół kilometra długości i zajmuje ponad 95 hektarów powierzchni. Upchano tam hotele, boiska, korty tenisowe i baseny. Są oczywiście także kluby i restauracje, jednak najwięcej jest zielonych terenów ze ścieżkami rowerowymi i trasami do joggingu.

– Wszyscy biegają, więc i ja powinienem pokazać się z jak najlepszej strony. Albo nabawię się kompleksów.

Robię parę pompek i zaczynam trucht po ścieżce. W końcu chodzi o fitness po madziarsku. Nie wracam już do hotelu, bardziej biegam pod kamerę. Mimo to po kilku minutach czuję, że robi mi się gorąco.

– Bo się zgrzejesz.

Piotrkowi łatwo mówić, nie musi ganiać z kamerą, to ja zapewniam część artystyczną.

– Za późno – dyszę do kamery, jako że dołożyłem sobie jeszcze przysiady i pompki.

Starczy tego dobrego. Jeśli się spocę, nie będę się czuł komfortowo. Bardziej chodzi o pokazanie możliwości turystom, którzy wpadną do Budapesztu na kilka dni. Ale już widzę, że przyjazd fitnessowy to świetny patent na miasto. Zabytki zabytkami, imprezy również, ale szczytem mody będzie tu przylecieć z dresem. Kilka dni biegania, ćwiczeń fizycznych i ogólnorozwojowej zaprawy. Nie wiem, czy ktoś już wpadł na ten pomysł, ale jeśli nie, to ja zgłaszam sobie prawa autorskie. Zwłaszcza że tutaj naprawdę biega co druga osoba.

Z Wyspy Małgorzaty niedaleko na wzgórza Budy. Można podjechać autobusem, ale spacer zajmie około 15–20 minut. Ten zachodni w znacznej części zalesiony fragment miasta stanowi około jednej trzeciej jego terytorium. W tej części węgierskiej stolicy jest jakby spokojniej, mniej turystów, więcej miejscowych. Tak się dzieli Budapeszt: na pagórkowatą Budę i nizinny Peszt. A pośrodku dumnie płynie Dunaj.

Do zamku prowadzą kamienne schody. Dużo stopni. Żeby zaoszczędzić czas, postanawiam jechać kolejką. Wjazd kosztuje 900 forintów, czyli około 13 złotych. Jeśli kupi się od razu bilet powrotny, będzie trochę taniej. Zamiast 26 złotych, zapłacimy 22.

– Piękny, naprawdę piękny widok. – Już wcześniej byłem zauroczony miastem, ale teraz fascynacja zmienia się w zachwyt.

– Tam jest Muzeum Historii Budapesztu – Pokazuję budynek do kamery, kiedy już nasycam się widokiem. – 1550 forintów,

ale jeśli ma się travelkę, o której wspomniałem na początku podróży, cena spada do 750 forintów. Kolejny dobry powód, żeby ją sobie wyrobić.

Fontanna Macieja na Wzgórzu Zamkowym.

Na koniec jeszcze rzut oka na obie strony stolicy. Czy ładniejsza jest Buda, czy Peszt? Odpowiem tak: czy lepsza jest benzyna, czy olej napędowy? To nierozwiązywalne.

– Chciałbym i zjeść ciastko, i je mieć. I chyba mam.

– Pora wracać. – Musimy tak się wyrobić, żeby nie pędzić z wywieszonym językiem. Wsiadamy do metra i znów kierujemy się w stronę stacji Köbánya Kispest. Mapka, którą pobrałem poprzedniego dnia w informacji, spełnia egzamin znakomicie.

Powtarzam, dla utrwalenia: zawsze bierz mapę.

Potem już tylko autobus 200 E i kolejne pół godziny na lotnisko. Tym razem jakby jechał szybciej. Widocznie o tej porze są mniejsze korki. Ale warto zawsze założyć zapas. Hania prosi o pomoc w postaci asysty z wózkiem. Obsługa zabiera ją, mówiąc, że spotkamy się przy wejściu do samolotu. Hanka jest wyraźnie zadowolona, że ktoś ją wozi, macha na pożegnanie kulą.

Już po przejściu przez *check-in* robię jeszcze zakupy. Terminal w Budapeszcie jest pięknie i czytelnie rozplanowany.

Na niższym poziomie znajduje się duży sklep bezcłowy oraz inne galerie, a na wyższym poziomie także lokale, w których można się posilić. Rzadko to robię, bo lotniskowe marże oburzają moje kieleckie poczucie godności i wzbudzają uczucie, że ktoś robi ze mnie wała, ale tutaj ceny są w normie, więc raz na jakiś czas można skorzystać.

– No i gdzie ona?

– No nie wiem właśnie – Piotrek rozgląda się po hali. – Powinna już tu na nas czekać. Jesteśmy pod bramką, a Hani nie ma. Kolejka sprawnie się przesuwa, więc zanim mam okazję się zaniepokoić, już jestem po drugiej stronie. Teraz dopiero zaczynam się martwić. A może Hanię zabrali na zupełnie inną bramkę? Może czeka gdzieś teraz w bocznym korytarzu i nie ma szans, by dokuśtykać na samolot?

Wpadam w lekką histerię.

Niepotrzebnie.

Zanim wchodzimy do samolotu, podjeżdża pod niego duża czerwona karetka. Długo lawiruje, zanim podstawia się dokładnie pod schodami. Tłum zamiera w oczekiwaniu na sensację. Niemal jak na papieskiej pielgrzymce. Kto wynurzy się ze środka?

Wynurza się Hanka.

Ludzie zastygają, jakby czekali na koncercie Tiny Turner, że zatańczy i zaśpiewa. A ona odwraca się i na tej swojej jednej nodze skacze na górę jak bocian. Dopiero kiedy znika we wnętrzu, reszta może rzucić się na samolot.

– Powiem ci, że ty potrafisz mieć *entrée* – stwierdzam, sadowiąc się obok Hanki kilka minut później.

– Nic nie mów nawet. Skąd miałam wiedzieć, że zrobią z tego aż taki raban?

– Było widowisko, oj było. No i dobrze, trochę rozrywki nie zaszkodzi.

Już oderwaliśmy się od ziemi. Przewracam kartki *Trafnego wyboru* Joanne Rowling. To jej pierwsza powieść po serii o Harrym Potterze. I pierwsza dla dorosłych. Warta grzechu zaniechania spania. Literatura najwyższych lotów.

Węgrzy przyłożyli się do roboty. Zresztą nie tylko oni. Na lotnisku w Modlinie też już czeka samotny wózek na wietrze. Pakuję do niego Hanię i jedziemy na terminal.

Budapeszt jest podobnej wielkości co Warszawa. Ma niecałe dwa miliony mieszkańców. Nie o liczbę jednak chodzi, lecz o jakość. Miasto zachwyca pod każdym względem. Jest ładne, ludzie są przyjaźni i otwarci, a ceny naprawdę konkurencyjne. Może niekoniecznie trzeba przenosić Budapeszt nad Wisłę, ale brać z niego przykład – jak najbardziej.

I wracać, koniecznie wracać. Ja tak zrobię. Na bank. A Węgry rzeczywiście czekają na ponowne odkrycie.

Podsumowanie:

Budapeszt jest jednym z najpiękniejszych miast tej części Europy. Warszawa nie wytrzymuje z nim porównania. Poza tym to znakomite miejsce na pierwszy wypad miłośnika taniego latania. Oprócz tego, że miasto jest również bardzo tanie, znakomicie funkcjonuje w nim komunikacja. Jeden autobus z dworca i jedna linia metra do centrum. Pozostałe są świetnie rozrysowane na mapie dostępnej na lotnisku. Wystarczy kupić jednodniową kartę i można szaleć do woli.

Co kręci:

Komunikacja miejska. Posiadając travelkę, można bez przeszkód dostać się w dowolne miejsca. Metro, tramwaje, autobusy i trolejbusy tylko czekają, żeby do nich wsiąść. Szybkie przemieszczanie się jest jedną z zalet tego miasta.

Podoba mi się nastawienie mieszkańców. Wszyscy są sympatyczni.

Nie ma żadnej bariery językowej. Wiadomo, że Polaków mówiących po węgiersku jest jak na lekarstwo. Ciekawe zatem, że wielu Węgrów posługuje się językiem polskim albo przynajmniej go rozumie. Można się dogadać.

Krótki lot: zaledwie godzina i dziesięć minut.

Co wkurza:

Oczywiście nieznajomość języka węgierskiego wśród Polaków. Podczas gdy wielu Węgrów, zwłaszcza starszego pokolenia, potrafi dogadać się po polsku, tak żaden z naszych rodaków po madziarsku ani me, ani be. Fakt, język nie należy do najłatwiejszych, ale po kilku ćwiczeniach można spokojnie złożyć zamówienie w kawiarni, umieć się przywitać i pożegnać. Nie bądźmy, cytując klasyka Słowackiego, pawiem i papugą Europy.

Cennik:

- Chleb: 140 HUF.
- Woda mineralna: 150 HUF.
- Obiad w restauracji: od 1500 HUF.
- Piwo: 200 HUF.
- Wino: 650 HUF.
- Wódka: 1300 HUF.
- Sok: 250 HUF.
- Czekolada: 300 HUF.
- Bilet komunikacji miejskiej: 320 HUF.
- Travelka: 1550 HUF.

PODRÓŻ 7

NOC W SERCU UNII

miejsce

Bruksela

cel podróży

piwny raj

czas podróży

2,5 godziny

cena biletu w obie strony

36 złotych

Co my tu mamy? Londyn, w Londynie byłem. Sztokholm, też byłem. Eindhoven. Byłem także w Eindhoven… O, jest Bruksela. Warto sprawdzić, czy tylko Parlament Europejski się tam liczy.

Robimy zapowiedź do najbardziej europejskiego wyjazdu. Belgia, 10 milionów obywateli, Bruksela, centrum Unii Europejskiej – to są naturalne skojarzenia.

– Kompletnie nas to nie interesuje.

Zgadzam się z Hanią. Ileż można pokazywać unijne instytucje i mówić o zagadnieniach europejskiej demokracji, pasjonujących jak kombajn w zbożu. Zgrane to niczym płyta *Brotherhood* New Order, której słuchałem jako nastolatek.

– To pójście po linii najmniejszego oporu, poza tym kogo to obchodzi?

– Niby racja. Nikt tego głośno nie powie, ale unijne tematy są na ogół nudne jak flaki z olejem. Ważne, ale nie do strawienia.

– Pokażemy Brukselę od innej strony.

– Poczekaj, sprawdzę – grzebię w internetowych przewodnikach. – Bruksela to stolica piwa i czekolady – czytam na głos. – Belgia ma sto piętnaście browarów, które razem warzą około czternastu milionów hektolitrów piwa rocznie.

– Ilu?

– Czternastu milionów hektolitrów – cedzę dobitnie. – Oprócz tego mają znakomitą czekoladę. Obie rzeczy cieszą się wielkim powodzeniem. Drugie dobre na pamiątkę, pierwsze na spróbowanie.

– Piwo i czekolada – Hania marszy czoło. – No to już mamy punkt zaczepienia. Oczywiście w kamerze tego nie możemy pokazać. Ale może znajdzie się jakieś obejście. Tak czy inaczej, trzeba znaleźć bilety.

Tych jest od groma. Zarówno Wizzair, jak i Ryanair organizują loty do Brukseli regularnie. Przez to można bez problemu polecieć jedną linią, a wrócić drugą, a godziny odlotów pozwalają na dopasowanie do osobistego kalendarza.

Mam tylko nadzieję, że nie trzeba będzie się zrywać o świcie. Ciągle cierpię na deficyt snu. Wolę późniejszą godzinę, nawet je-

śli oznacza to, że później się położę.

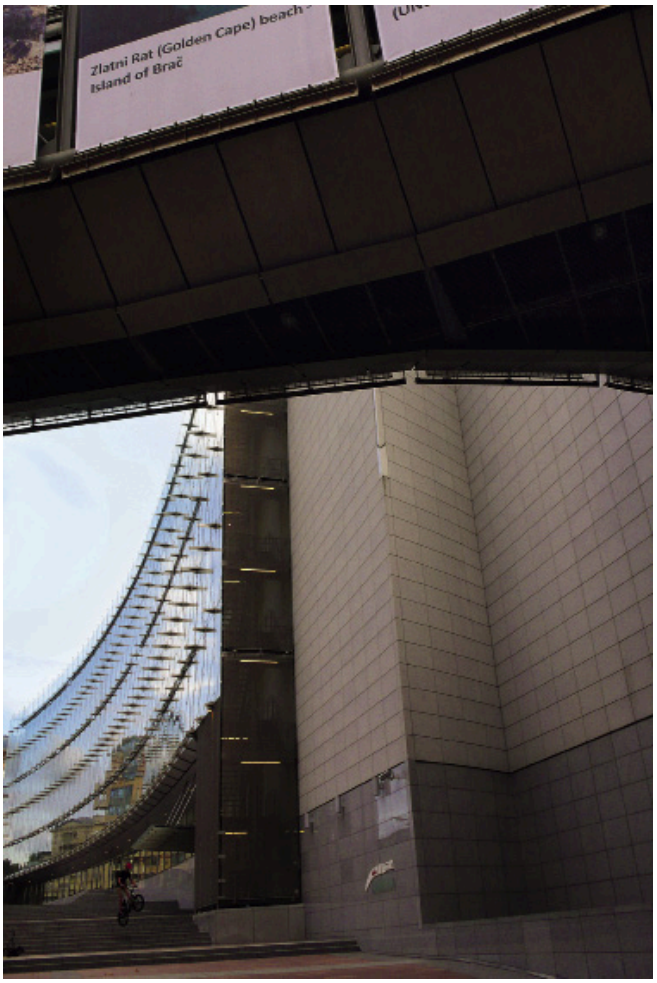

Parlament Europejski. Pierwsze skojarzenie z Brukselą. Czyżby?

Mogę sobie woleć.

Jak są bilety po dobrej cenie, to nie ma wybrzydzania. A przelot do Brukseli trafia się za niecałe 40 złotych w obie strony. Jak zwykle wypatruję go kilka tygodni wcześniej. Zresztą 10.00 to nie jest aż tak rano. Zwłaszcza że mamy jeszcze cały dzień, żeby pokręcić zdjęcia. I następny, aż do popołudnia. Typowa dwudniówka. Typowy *citi break*.

Ten wyjazd jest ważny jeszcze z innego powodu.

– No, kochani, przekonamy się, jak lotnisko Modlin daje sobie radę w trudniejszych warunkach. Nie ma przecież systemu

lądowania we mgle, więc może i w śniegu nie polecimy.

Fakt, to jest sprawdzian. Nawet większy niż obawa, że na skutek niespodziewanego śniegu może być problem z dojazdem. Wtedy jeszcze nic nie zapowiada późniejszych problemów terminalu z nawierzchnią. Jesteśmy na tyle wcześnie, żeby spokojnie ponagrywać zapowiedzi i napić się jeszcze kawy. Kolejka chętnych na nasz lot nie jest duża i przyzwyczajam się do tego, że mimo obłożonych kursów londyńsko-paryskich, na innych trasach nie ma kompletów. Dlatego siedzimy osobno, zwłaszcza że noga Hanki ciągle jest unieruchomiona i lepiej jak ma więcej miejsca niż standardowa przestrzeń w tanich lotach.

Po dwuipółgodzinnym przelocie jesteśmy na miejscu. Wychodzimy przed główne wejście. Nie jest zbyt zimno, ale za to pada deszcz. Podobno cały czas ma być taka pogoda.

– Zimno jak w psiarni.

Ostry wiatr zmienia się po chwili w deszcz.

– Mgła po góralsku.

– Czyli jaka?

– G… widać.

Nie jest to wymarzona pogoda, ale kto zważa na każdą chmurkę, nigdy nie wybierze się w podróż.

Dwie i pół godziny lotu = dwie i pół godziny snu.

Lotnisko Bruksela-Charleroi nie powala rozmiarem. Port składa się z jednego terminalu, otwartego w styczniu 2008 roku.

Niewiele rozrywek. Dla mnie to supersprawa; jeśli podróżuję w dzień, bardzo lubię małe lotniska. W nocy może być to trochę uciążliwe, ale teraz nie ma żadnego problemu.

Do centrum Brukseli jest 50 kilometrów. Można się tam dostać autobusem albo pociągiem. W pierwszym wariancie transport zapewnia linia Brussels City Shuttle. Autobus śmiga co pół godziny z terminalu do dworca kolejowego Midi. Przejazd trwa około godziny, a cena biletu w jedną stronę zaczyna się od 5 euro. Najlepiej sprawdzić rozkład i aktualne ceny na stronie. Bilety są także sprzedawane na lotnisku.

– Do stolicy Belgii możemy się dostać nie tylko busem – chucham do kamery mroźnym powietrzem. – Można zapłacić trochę więcej, ale za to być podwiezionym pod same drzwi, i przy okazji wesprzeć polską inicjatywę.

Pan Piotr Cyndecki już od prawie pięciu lat prowadzi w Brukseli firmę transportową:. Najlepiej umawiać się z nim telefonicznie lub przez Internet. Hanka uzgadnia szczegóły przez telefon. Przy trzech osobach podróż kosztuje 20 euro na łebka, ale jest wygodniej i ciekawiej. Mały busik zwinnie pokonuje trasę dojazdu, a sam przewoźnik jest życzliwy i świetnie zna wszystkie ulice. Jeśli będą utrudnienia, znajdzie inną drogę. Na dodatek jest sympatycznym gawędziarzem i chętnie wytłumaczy, jak dotrzeć do wskazanego miejsca.

Mijamy Parlament Europejski. Brukselę można uznać za najbardziej zbiurokratyzowane miasto świata – na około miliona stałych mieszkańców przypada aż 700 tysięcy urzędników różnych instytucji. Część z nich mieszka w Brukseli na stałe, inni tylko tutaj dojeżdżają, w zależności od potrzeb. Sprawną komunikację zapewniają dwa lotniska oraz pięć linii metra.

– Tutaj jest jeden z polskich sklepów w Brukseli. A tu z kolei kabanosy, kiełbasy, szynki, piwo. To, czego najbardziej brakuje rodakom.

– A mnie brakuje smaku słynnych belgijskich frytek – wpadam mu w słowo. Naczytałem się o nich tyle, że teraz muszę ich spróbować. Zwłaszcza że znalazłem w Sieci informację, iż pierwszą wzmiankę o frytkach datuje się na rok 1680. Wprost

nie do uwierzenia. Ale jeden z historyków twierdzi, że jadali je mieszkańcy okolic Liège. No i co, zatkało kakao? Trzeba je zjeść.

– Zaraz to nadrobimy.

Pan Piotr kluczy pomiędzy uliczkami. Po chwili zza zakrętu wyłania się plac z miejscem parkingowym. Jesteśmy obok dzielnicy europejskiej. Ścisłe centrum miasta.

Frytki z placu Jourdan.

Prawdziwy smak Belgii.

– Plac Jourdan 1. Tu są najlepsze frytki.

Budka nazywa się Maison De Antoine, smażą w niej frytki od trzech pokoleń. Podobno dziadkowie zaczynali jeszcze od stoiska na kółkach, teraz to dobrze prosperujący biznes – w kolejce po ziemniaczany przysmak stają zarówno miejscowi, jak i turyści.

– Niemal jak za komuny – śmieję się, próbując smażonego specjału, robionego ponoć zgodnie z recepturą i według najlepszych wzorców. Eksperci tłumaczą, że frytki trzeba smażyć dwa razy: najpierw żeby usmażyły się od środka, a potem by skórka była chrupiąca. I że najlepszy jest świeży tłuszcz zwierzęcy. Czy

właśnie takie dostałem? Nie mam zielonego pojęcia. Po prostu biorę porcję za 2,50 euro i siadam na ławeczce.

– No i jak?

– Dobre, ale to frytki.

– Czego się spodziewałeś? – śmieje się Hanka.

– Nie wiem, może przesadziłem z oczekiwaniami. – Zapycham usta kolejną porcją.

Frytki nie są złe, ale nie potrafię ich odróżnić od tych, które jadam nad Wisłą. Do tego są strasznie słone. Głupio, że kazałem je podlać majonezem. Jest 18 rodzajów sosów do wyboru, a aktualny cennik widnieje na stronie. W każdym razie zjadam całą porcję. Nigdy nie wyrzucam resztek, tego mnie nauczyli dziadkowie, jeszcze za komuny. Do końca podróży mlaszczę z niezadowoleniem, jak stary koń. Na szczęście Hanka pomaga mi, jak może, i w końcu po tłustym daniu zostaje tylko tłusty papier.

Wystrój wliczony w cenę pokoju.

– Jesteśmy na miejscu – pan Piotr wyłącza silnik.

Docieramy do hotelu Abberdeen, na Rue du Colombier 4. Jest dogodnie usytuowany w pobliżu dworca, a stacja metra znajduje się kilka kroków za rogiem. Oferuje proste, ale w miarę komfortowe pokoje za 100 złotych od osoby. Jak na centrum Europy, to dobra cena. Bo i do serca miasta bliziutko. Mimo że pochodzi z XVIII wieku, jest świetnie zachowane; są tam prawie wszystkie główne brukselskie atrakcje. Jak przystało na centrum administracyjne Unii Europejskiej, jest poważne, ale z drugiej strony rozbawione, mieniące się wieloma odcieniami życia nocnego. Można je zwiedzić w ciągu kilku dni. Ja muszę to uczynić w kilka godzin.

Odkładamy tylko rzeczy i lecimy z Krzyśkiem na miasto, póki nie zacznie padać. Hanka zostaje w pokoju, dokuśtyka wieczorem.

– Pogoda średnia. Ale idzie się jak u Stachury.

Rozglądam się po wystawach. Im bliżej rynku, tym robi się bardziej dostojnie. No i zaczynają się obowiązkowe punkty każdej wycieczki. Wszystkie drogi prowadzą do Grand Place. A prawie każdy sklep z pamiątkami ma w ofercie belgijskie koronki. Spotyka się je niemal na każdym kroku i niemal w każdej cenie. Te najdroższe kosztują nawet 20 euro. Sporo, jak za chusteczkę do nosa, nawet ręcznie haftowaną. Chyba sobie odpuszczę. Szukam zupełnie innej atrakcji.

– Wcześniej czy później każdy trafi do tego miejsca. Zwłaszcza że prowadzą strzałki.

Tej atrakcji nie można olać.

Manneken Pis.

Niepozorna figura sikającego chłopca przyciąga turystów z całego świata. Nie stoją tam długo, ot tyle, żeby zrobić sobie zdjęcie, po czym pognać na dalsze zwiedzanie, ale zaraz nadchodzą kolejni. Trudno wyobrazić sobie inny symbol Brukseli. Pomnik został wykonany w 1619 roku przez flamandzkiego rzeźbiarza Jerome'a Duquesnoya. I od tamtego czasu rzadko bywa osamotniony. Ciągle ktoś się przy nim kręci. Nie ma wizyty w Brukseli bez sweet foci z Manneken Pis.

– Ale on jest goły jak święty turecki.

– Widocznie nikomu to nie przeszkadza.

Manneken Pis to jedna z ponad stu brukselskich fontann. I wcale nie najdziwniejsza. Mniej osób wie, że w bocznej uliczce Impasse de la Fidélité 4a kryje się Jeanneke Piss, czyli siusiająca dziewczynka.

– Trochę chore, nie? Trąci pedofilią niemal.

– Co najmniej dziwne. Turyści z całego świata robią zdjęcia i każdy ma uśmiechniętą gębę. Wszyscy traktują to jak narodowe dobro.

Napis obok mówi, że jeżeli wrzuci się tu monetę i wypowie życzenie na temat bliskiej osoby, to ono na pewno się spełni. Tak się składa, że mam jakiegoś miedziaka w kieszeni i za chwilę ląduje on w zbiorniku. I po atrakcji. Napatrzyliśmy się, ale na tej ulicy jest jeszcze jedno miejsce, które koniecznie trzeba zobaczyć.

– Ile może być gatunków piwa w pubie? Dziesięć, dwadzieścia, a może pięćdziesiąt? Otóż w tym pubie serwują ponad dwa tysiące gatunków piwa. To jest wręcz niewyobrażalne, dlatego to rekord Guinnessa. Aż się chce spróbować wszystkich.

Wchodzimy do pubu Delirium Tremens na Impasse de la Fidélité. Zabawna nazwa, podobnie nazywa się jedno z piw, z różowym słoniem na etykiecie. Zamawiam jednego browara i dostaję jeszcze dwa małe kieliszki, do degustacji. Bruksela to rzeczywiście ziemia obiecana piwoszy, a belgijskie piwo smakuje wyśmienicie, zwłaszcza w knajpie. No i nie dziwmy się, że każdy chmielowy trunek pije się tutaj w innej szklance. Należy jednak podkreślić, że Belgowie nie tylko leją go w gardła, lecz także do garnków. Dzięki temu wypracowali „kuchnię piwną”, mają nawet Muzeum Belgijskich Browarów.

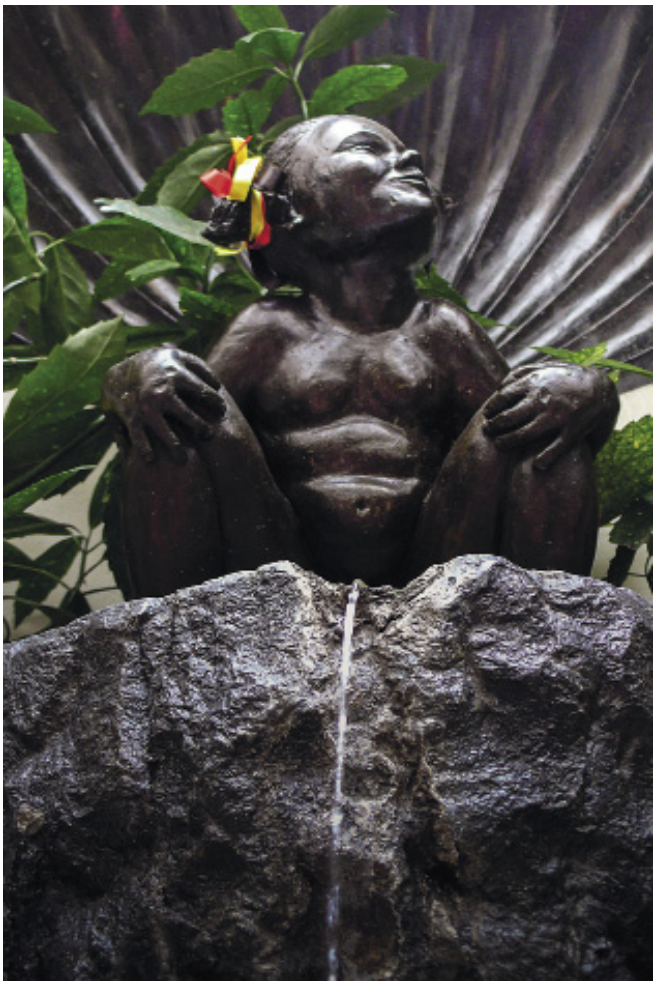

Dziewczynka, która nie leje wody.

Ulubione piwo różowego słonia.

Z wrażenia zapominam, co piję. Wszystko ma taki aromatyczny posmak, którego nigdy nie zaznałem w Polsce. I jest mocne. Bardzo mocne.

– Czy mi się wydaje, czy to piwo wali w łeb?

– Nie wydaje ci się. Wali. – Krzysiek, podobnie jak ja, upija kilka łyków i wydaje się z lekka oszołomiony.

Nie wiemy, jak to działa, ale działa. Niby piwo, jak piwo, ale zupełnie inaczej idzie do głowy. A my mamy jeszcze robotę.

– Idziemy, bo jak się rozsiądziemy, to żadna siła nas nie ruszy.

– Ale jeszcze niech wywietrzeje ten aromat.

– Spokojnie, nie ma tego złego, co by nam na dobre nie wyszło.

Chcę nagrać jak najwięcej, zanim dołączy do nas Hanka. Na wieczór zapowiedział się także nasz brukselski korespondent Leszek Jarosz i dziennikarka „Wprost” Dominika Cosić. Na razie wracamy do wątku sikania.

Zarówno chłopiec, jak i dziewczynka są łatwo rozpoznawalni. Nawet jeśli kompletnie nie zna się drogi, i tak każdy ich wskaże. Jest jednak pomnik, o którym nie wiedzą nawet sami brukselczycy. A ja upieram się, żeby go zlokalizować.

Pies jak ulał.

– Gdzie jest sikający pies?

– Co?

– Sikający pies. Taki pomnik.

– W życiu nie słyszałem.

Zapytany wzrusza ramionami. Tutejszy, ale nie wie. Za chwilę sytuacja się powtarza. Co jest, jak słowo daję?

– Nie mam pojęcia, jak znaleźć tego kundla – wodzę palcem po mapie, ale nie potrafię jej rozgryźć. Jak będę taki głupi, to Unia nałoży na mnie embargo. Nie wziąłem parasola, a teraz nie radzę sobie z kapiącą wodą. Deszcz wciąż się nasila i sprawia, że obydwaj z operatorem jesteśmy zmoknięci jak kury. Próbuję nie być taki ponury w kamerze, ale mój uśmiech wygląda jak pękająca, otwarta rana.

– Powiem ci, że to nie jest szczyt marzeń, taka pogoda.

– Trudno, wysuszymy się w hotelu.

Nie sposób zlokalizować figurkę. Pytam więc dalej, coraz bardziej nerwowo spoglądając na zegarek. Dopiero za dziesiątym razem jakiś podpity koleś przez pubem wskazuje kierunek ręką. Też chwilę musiał pomyśleć, ale wskazał. Trafnie.

– Zobacz, to on.

Pies stoi przy skrzyżowaniu Rue des Charteux z Kartuizersstraat. To nie jest daleko od centrum, jakieś 10–15 minut marszu, ale trzeba wiedzieć, w którą stronę iść. Jedną nogę ma zadartą, a grzbiet wygięty w łuk. Nie sprawia groźnego wrażenia, raczej sympatyczne. Ma się go ochotę pogłaskać, co niezwłocznie robię, bo ciężar właśnie mi spada z serca. Rzeźba autorstwa niejakiego Toma Frantzena to kundel obsikujący słupek. A wielorasowość ma symbolizować wielokulturowość miasta. Czyli w sercu Europy puszy się kundel z demokratycznym przesłaniem. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłem na widok sikającego psa.

W drodze powrotnej na Grand Plac podziwiam murale. Bruksela to stolica komiksów, nic dziwnego, że ich bohaterowie spoglądają z wielu kamienic. Nie czytuję historyjek z obrazkami od kilkudziesięciu lat, ale popatrzeć mogę.

– No, jesteście. – Leszek już podjechał na postój. Teraz czekamy tylko na Hankę. Zanim dokuśtyka, jemy w barze *mitrajet* – „karabin maszynowy”. Pan Piotr mówił, że jeśli będzie okazja,

powinniśmy go spróbować. To wielka bagietka z kiełbasą albo burgerem. Są frytki (znów), kawałki mięsa, warzywa i sporo sosów. Brukselski fast food. Smaczne, ale przede wszystkim niedrogie. Za 4, 5 euro można dostać solidny posiłek z colą. Nakładam za dużo cebuli, aż mi migdałki wywraca na drugą stronę. Będę chuchał na lewo i prawo.

– Ogłaszam na dziś koniec zdjęć – stwierdza Hanka autorytarnie, ale to jedyna słuszna decyzja.

– Najwyższy czas. Znowu pada.

Pada, to mało powiedziane. Jest taka ulewa, że chodzenie gdziekolwiek nie ma sensu. Do Brukseli zabieraj przeciwdeszczowy płaszcz, parasol też nie zawadzi, jeśli się zmieści w bagażu podręcznym. Pogoda jest po prostu barowa. Możemy wrócić do miejsca, w którym dopiero rozpoczyna się życie.

Bruksela jak z obrazka.

Ten smak mnie powalił.

W Delirium Café trudno się poruszać. Zarówno główny poziom, jak i piwnica są wypełnione do ostatniego miejsca. Jedynie na górze jest trochę luźniej. Ale im niższy poziom, tym fajniejszy klimat.

– Zostajemy w piwnicy – Hanka już łapie za aparat. Faktycznie, nastrój jest niesamowity. Człowiek czuje się opakowany tłumem, ale zarazem bezpiecznie. Wesołe szczebiotania mieszają się ze śpiewem i śmiechem. Za stolikiem z lewej siedzą policjanci po służbie, nawet nie ściągnęli mundurów. Zadziwia mnie duża liczba rodzin z dziećmi. Maluchy biegają pomiędzy stołami jak na placu zabaw. W Polsce nie spotkałem się z podobnym obyczajem.

W oddali widać Ratusz.

– To co, które pijemy? – Leszek fachowym okiem rzuca na kartę piw.

– Ba, nie mam pojęcia.

Człowiek niby światowy, ale w tej sytuacji ciężko wybrać, czytając listę grubości książki telefonicznej nic niemówiących nazw. Cała nadzieja w Leszku.

– Ja też miałem na początku problemy z rozróżnieniem, które jest dobre. Zdajcie się na mnie.

Idzie do bufetu, a kiedy nadchodzi kelnerka, wskazuje na szkło.

– Nie zdziwcie się, że każde piwo pije się tu w innej szklance. – Już to słyszałem od barmana, ale Leszek uzupełnia wiadomości. W Belgii to nie tylko oczywistość, ale niemal świętość. – Oto Cantillon Geuzze o kwaskowatym smaku. Warzony tylko tutaj. Ale weźcie też Delirium Tremens. Butelki są małe, ale piwo jest mocne.

Ma rację, znów po paru łykach odczuwa się siłę ekstraktu.

– Jestem w piwnym raju.

Ścieram pianę z wąsów. Hanka nic nie mówi, bo przełyka, ale widać po minie, że się ze mną zgadza. Jesteśmy tu z Krzyś-

kiem drugi raz, lecz dopiero teraz możemy sobie pozwolić na spokojne delektowanie się napojem. Leszek nie pije, bo kieruje, ale cierpliwie tłumaczy, który gatunek pasuje do jakiego dania. Niepostrzeżenie mija kilka godzin i nagle okazuje się, że już północ.

Od piwa sufit się kiwa.

Piwny rozkład jazdy.

– A może na dyskotekę?

Choć mało kto by się tego spodziewał po powadze urzędów, należy pamiętać, że Bruksela ma nie tylko urzędnicze oblicze. W mieście kwitnie także życie nocne. Klubów i dyskotek jest na pęczki, a wśród nich nawet takie, w których króluje disco polo. Słyszałem o lokalu Amnesia, ale Leszek mówi, że to straszna wiocha.

– Lepiej chodźcie do auta, czas na zupełnie inne wrażenia.

Leszek wiezie nas do dzielnicy, w którą nie zapuściłbym się po zmroku. Chce jednak pokazać nam gorsze oblicze Brukseli – to również wizytówka miasta, choć mało chlubna. Rue D'Aerschot.

– To tutejsza dzielnica czerwonych latarni.

Patrzę na dziewczyny prężące się za szybą. Rumunki, Mołdawianki, Bułgarki, Ukrainki. Cała Europa, całe Bałkany. Nie wykluczam, że mogła się też trafić jakaś Polka. W bramach wystają ciemnoskórzy w ortalionowych dresach. Sporo Arabów. Nie jest to piękny widok, raczej przygnębiający. Dominika twierdzi, że dopóki są zyski, nikomu nie zależy na zlikwidowaniu tego syfu. Pisała do „Wprost" o seksualnej unijnej piramidzie. Cóż, wiele osób decyduje się właśnie na taką noc w sercu Unii. Chyba jednak więcej wśród nich miejscowych niż turystów. Mówię to jednak na oko, nie sprawdzałem empirycznie, i nie mam zamiaru.

Czas do hotelu, minęła północ. Pokój mamy na ostatnim piętrze. Prowadzą do niego wąziutkie schody. Wewnątrz raczej

spartański wystrój: oprócz trzech łóżek jest tylko wejście do toalety. Są jednak ręczniki i gorąca woda. Wystarczy, żeby się odświeżyć i zapaść w kamienny sen.

Taka jest moja pierwsza noc w sercu Unii Europejskiej.

Następnego dnia decyduję się skorzystać z komunikacji miejskiej. Bilet kosztuje 1,90 euro; bardziej opłaca się kupić pięcioprzejazdowy za 7,70 euro albo dziesięcioprzejazdowy za 12 euro. Biletomaty są na każdej stacji metra. Nie mając odliczonej kwoty, lepiej kupić bilet w kiosku. A jeśli komuś nie wystarczą linie podziemne, to ma jeszcze 50 autobusowych. Nie ma problemu z komunikacją, jest tylko problem z ogarnięciem, w którą stronę się udać. Dojeżdżamy tylko kawałek, ale zawsze lepiej jechać, niż ciągle drałować.

Pasaż św. Huberta. Taka brukselska Galeria Mokotów pokryta szklanym dachem, tylko starsza, bo została zbudowana jeszcze w 1847 roku, kiedy na Mokotowie psy szczekały, nie powiem czym. Można tu zrobić zakupy, ale tanio nie będzie. Za to memu sercu drogi jest widok czekolady, która kusi jak wąż Ewę. Wprawdzie ćwierćkilowe pudełko można dostać już za 3,50 euro, ale są gatunki, które potrafią zdemolować budżet taniego podróżnika. Próbuję odmiany poniżej 10 euro i stwierdzam, że opinie o tym, że właśnie w Belgii robi się jedną z najlepszych czekolad na świecie, nie są przesadzone. Od odmian może się zakręcić w głowie, a od smaku – w kubkach smakowych. Zanim zacznę ciamkać, lepiej poprzestanę na jednej porcji.

Zwłaszcza że zbliża się pora powrotu. Znowu pan Piotr i znów korki. Jesteśmy jednak na czas, wylot również nie ma opóźnienia. W samolocie sporo wolnych miejsc, więc wszyscy rozkładamy się na potrójnych siedzeniach. Przyda się trochę snu po zarwanej nocy. Jeszcze przeglądam *Nasz mały PRL* Witka Szabłowskiego, z którym pracowaliśmy przed laty w TVN24. Facet przeniósł się na własne życzenie w lata osiemdziesiąte, a potem opisał stan umysłu pokolenia zza żelaznej kurtyny. Ja też za nią mieszkałem do osiemnastego roku życia. Tym chętniej postawiłem stopę w sercu zjednoczonej Europy. I tym bardziej cieszę się, że w niej jestem. Okazuje się, że choć

Belgia to mały kraj, daje wielkie możliwości. Podobnie jak Bruksela. I nie tylko nocą.

Bruksela. Czekoladowy raj.

Podsumowanie:

Bruksela to miłe zaskoczenie. Spodziewałem się samych posępnych biurowców i instytucji bankowych, a tymczasem okazało się, że miasto ma piękną starówkę i niczym się nie różni od innych metropolii. Można ją zwiedzać, można się zabawić. Nie trzeba od razu jechać do Amsterdamu.

Co kręci:

Wielokulturowość. Widać ją nie tylko w Belgii, ale może dlatego, że Bruksela jest uznawana za serce Unii Europejskiej, szczególnie rzuca się to w oczy. Jest tu cały świat i słychać wszystkie języki – od rosyjskiego, z którym spotykam się w każdym mieście, po polski. Podoba mi się to i daje poczucie dumy, że jestem w tej rodzinie. I mogę przylecieć tutaj, gdy tylko będę miał ochotę. Znaczy, kiedy będą tanie bilety.

Bruksela to ziemia obiecana piwoszy, a belgijskie piwo smakuje wyśmienicie, zwłaszcza w jednej z brukselskich knajp. No i nie dziwmy się, że każde piwo pije się tu w innej szklance. Nie tylko leją je w gardła, lecz także do garnków. Dzięki temu Belgowie wypracowali „kuchnię piwną".

Maison Antoine to miejsce, gdzie są najlepsze frytki w całej Brukseli. Lokal znajduje się tuż obok dzielnicy europejskiej – placu Jourdan. Rodzina, która go prowadzi, smaży frytki od trzech pokoleń.

Co wkurza:

Oczywiście ceny. Nie są tak szalone jak w Skandynawii, ale i tak trzeba się liczyć z tym, że łatwo wydać fortunę. Jak wszędzie.

Obiad w Parlamencie Europejskim. Znakomity i niedrogi. I to jest właśnie denerwujące, że w miejscu, w którym się najwięcej zarabia, dostaje się najtańsze posiłki. A na dodatek nie można wejść z zewnątrz. Dla człowieka wychowanego w PRL-u przypomina to sklepy za żółtymi firankami i sklepy na kartę G na Śląsku – czasy, kiedy społeczeństwo dzieliło się na równych i równiejszych.

Cennik:

- Chleb: 1,50 EUR.
- Jogurt: 0,50 EUR.
- Cola, 2 litry: 2 EUR.
- Woda mineralna: 0,70 EUR.
- Piwo: 1,50 EUR.
- Piwo w pubie: 2,50 EUR.

- Frytki: 2,50 EUR.
- Kanapka Mitraillet: 4–5 EUR.
- Obiad na mieście: od 10 EUR.
- Obiad w Parlamencie Europejskim – 8–9 EUR*.

* Niestety, nie można wejść z ulicy, bez akredytacji. Najtańsze posiłki są tylko dla najbogatszych.

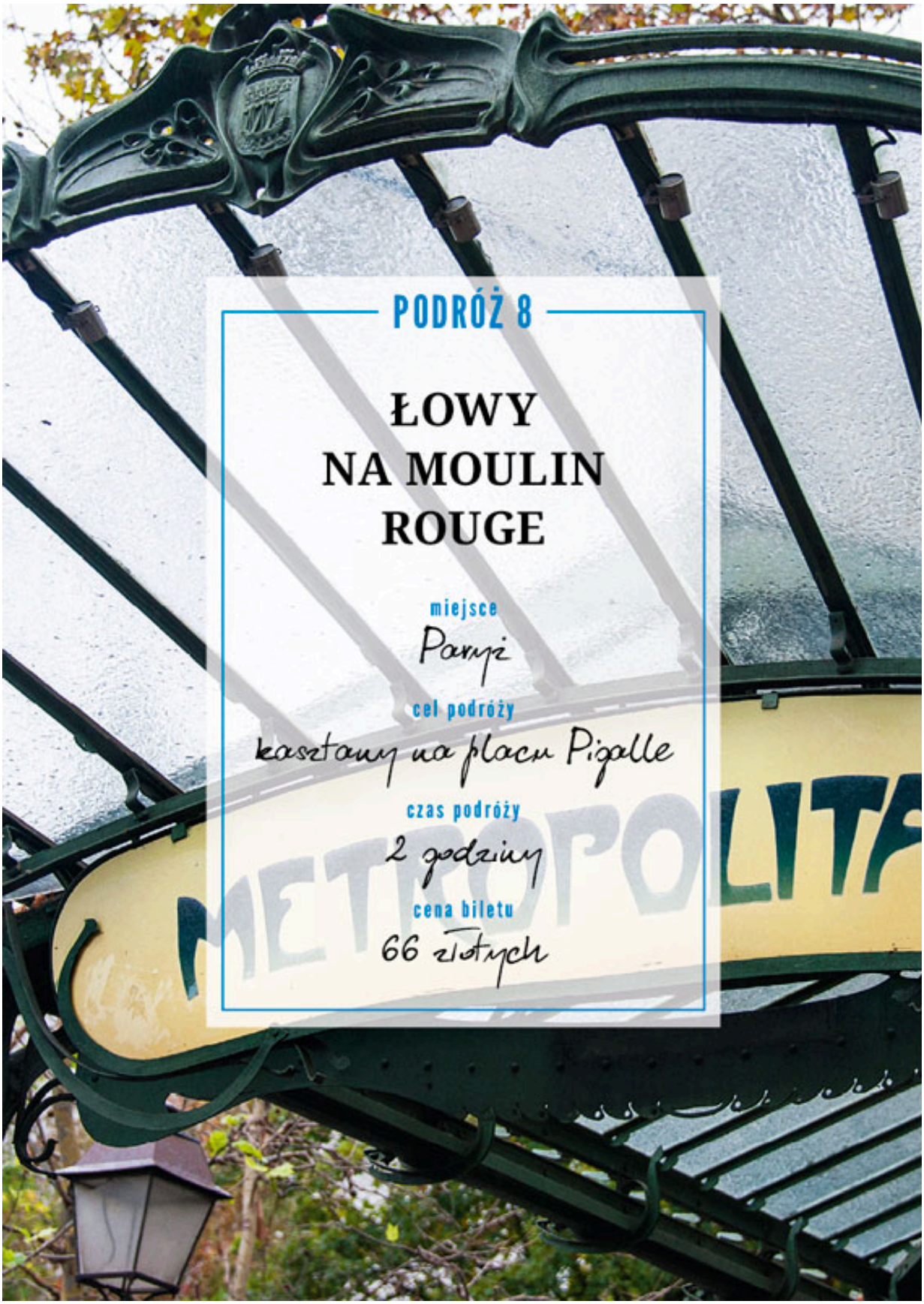

PODRÓŻ 8

ŁOWY NA MOULIN ROUGE

miejsce

Paryż

cel podróży

kasztany na placu Pigalle

czas podróży

2 godziny

cena biletu

66 złotych

No i co teraz zrobimy?

– Nie mam pojęcia.

– Może taksówka?

– Ale o tej porze nic nie jedzie przecież. A ja nawet nie znam numeru telefonu.

– No, ładnie.

– Taaaxi! – drę się na pustej ulicy. Taką odzywką mógłbym konie spłoszyć. Głos leci po opustoszałej alei jak smród po gaciach, mimo to żadne auto nie nadjeżdża.

Siedzimy z Hanką i Krzyśkiem na murku tuż przy stacji metra Boissière. Nieczynnej stacji metra. A ściślej, już otwartej, ale z informacją, że najbliższy pociąg pojedzie dopiero za 40 minut. Za późno, by zdążyć na autobus na lotnisko. Jest piąta rano, temperatura utrzymuje się w okolicach zera. Zimno, ale da się wytrzymać. Najbardziej doskwiera jednak obawa, co teraz?

Do przystanku autobusowego jest zaledwie kilka stacji metrem. Nawet przy mniejszym ruchu dojazd do Porte Maillot powinien zająć maksymalnie 20 minut. Tam, na trzy godziny przed podróżą, czeka bus, który odjeżdża na lotnisko o szóstej rano.

I wszystko jest OK, gdyby nie fakt, że zostaję wprowadzony w błąd. Poprzedniego dnia pytałem w kasie, od której jeździ metro.

– Bramki podnoszą o piątej.

I to mi wystarcza, żeby dojechać, jeszcze ze sporym zapasem. Tymczasem fakt, że bramka idzie w górę, nie oznacza, że zaraz coś pojedzie. Pierwsze pociągi ruszają dopiero po kilkudziesięciu minutach.

– Jak mogłeś tego nie dopatrzyć? – Hanka czyni mi wyrzuty.

– Skąd miałem wiedzieć, że pierwsze metro kursuje dopiero przed szóstą?

– No to wygląda na to, że możemy nie zdążyć na samolot.

Dopiero to do mnie dociera. Ciągle nie dopuszczam złowrogiej myśli, ale nagle okazuje się, że choć do tej pory wszystko w Paryżu szło zgodnie z planem, można wyłożyć się na samym finiszu.

Niedobrze. Napięcie wisi w powietrzu, a terminy są naciągnięte jak stringi na tyłku słonia.

I znikąd pomocy.

Jeszcze przed wyjazdem trochę obawiam się tego Paryża. Nie znam francuskiego, a podobno Francuzi z racji kompleksu swojej wielkiej kultury nie chcą rozmawiać po angielsku. Ponoć nawet robią się niemili, gdy usłyszą ten język. Więc czekają mnie schody.

Jak zwykle jednak decyduje za mnie okazja. Bilet za 66 złotych w obie strony to nie jest rzecz, obok której można przejść obojętnie. Taniej niż kurs z Warszawy do Radomia i z powrotem. Tym razem Wizzair – i dobrze, po ostatnich kilku lotach Ryanairem odmiana jest jak najbardziej wskazana.

Jak zwykle przelot kupuję w najtańszej możliwej opcji, czyli płatność kartą Citibank Wizzair, zwalniającą z opłaty za wystawienie biletu. No i usługa Xclub, dzięki której przez rok ma się dostęp do najniższych cen. Kosztuje 30 euro, ale zwraca się już po pierwszym locie. A ja korzystam z niej od kilku miesięcy, więc można powiedzieć, że jestem do przodu.

Niepokoi mnie tylko, że przewoźnik zmniejszył dopuszczalny darmowy bagaż. Dotychczasowe 55 x 40 x 20 centymetrów zastąpiono nowymi, mniejszymi: 42 x 32 x 25. Niby tylko kilka centymetrów, a jednak na wagę złota. Rozmiar ma znaczenie.

Chrzanić to, lecę z tym samym plecakiem. I tak nigdy nie zapełniam go po brzegi, więc powinien się upchać w bramkę. Upycha się. Zresztą sprawdzam tylko z ciekawości. Nikt tym razem nie przeprowadza kontroli.

Lecimy w tym samym składzie co do Brukseli. I podobnie jak tam, ja będę biegał z operatorem po mieście, a Hania będzie kuśtykać za nami jak pensjonariuszka domu spokojnej starości. Ale jak zwykle dzielimy tak zadania, że wszystko da się logistycznie pogodzić.

Pierwszy raz wylot jest tak wcześnie. Szósta rano, a do Modlina szmat drogi. Poprzedniego dnia pracuję do 22.00, więc kiedy budzik wyrywa mnie z łóżka o 3.00, mam wrażenie, że spałem zaledwie kwadrans. Dosypiam na pokładzie, podobnie

jak reszta ekipy. Znów nie ma kompletu pasażerów, więc można rozłożyć się na trzech fotelach. Uwielbiam to.

Ponieważ Hania porusza się o kulach, musi nagimnastykować się w wąskim korytarzu. Najlepiej by było, gdyby siadła z przodu, bo te miejsca mają więcej przestrzeni na nogi. Trzeba jednak za nie płacić ekstra, a my walczymy o każdą złotówkę.

Czasem stewardesy pozwalają pasażerom je zająć, ale to zależy od przypadku i szczęścia. Przypomina mi się, że kilka miesięcy wcześniej leciałem do Londynu i razem z kilkoma osobami mieliśmy farta, bo gdy akurat przepychaliśmy się w ścisku, skierowano nas tam dla lepszego rozłożenia ciężaru. A jeszcze wcześniej, kiedy wpadłem spóźniony na lotnisko, pracownik odprawy wbił mi pieczątkę pozwalającą na ominięcie kolejki. To nie są wielkie sprawy, ale tak się buduje relacje z klientem.

Lot trwa dwie godziny. Budzę się dopiero na miejscu.

Międzynarodowy port lotniczy Paryż Beavuais, usytuowany w Tillé, 84 km na północ od centrum francuskiej stolicy, jest najmniejszym lotniskiem w regionie, obsługującym głównie tanie linie. Taka konstrukcja na wygwizdowie. Jeden terminal i dwa parkingi na około 1500 samochodów. Jak mawiał kolega z kieleckiego blokowiska: „Ni to miasto, ni to wieś, ni co zajebać, ni co zjeść”. Nie ma co podziwiać, ale chyba nie o to chodzi w szybkim przemieszczaniu się do celu.

À propos przemieszczania – jak się dostać do miasta?

Najszybciej samochodem. Na lotnisku są wypożyczalnie samochodów znanych sieci i w przypadku czterech czy pięciu osób taka opcja może być ciekawym rozwiązaniem. Ale to trzeba dokładnie policzyć. W pojedynkę nie ma co się pakować.

Najdrożej – taksówką. Koszt przejazdu pomiędzy lotniskiem a Paryżem to od 100 do 150 euro, w zależności od dnia i pory. Nie próbowałem i nie spróbuję. Za takie pieniądze mogę mieć nocleg i wyżywienie. Postój taksówek znajduje się dokładnie przed lotniskiem, ale mam to gdzieś. Masakra, w życiu tyle nie zapłacę.

Najtańsza opcja to pociąg i autobus.

Jeśli wybieramy szynę, to z lotniska trzeba dojechać za jakieś 10–15 euro (niestety taksówką) do dworca Beauvais i tam złapać pociąg na dworzec Paris Nord. Taniej będzie podjechać autobusem za 4 euro albo jeszcze za mniejszą cenę – miejskim busem za 0,90 euro. Darmowym rozwiązaniem jest spacer do dworca – pięć kilometrów przejdzie się w mniej więcej godzinę. Potem jeszcze jakieś półtorej godziny dojazdu do Paryża za około 12 euro. Chyba że nie trafimy na pociąg, bo ten kursuje co godzina albo dwie.

Myślę, że nie ma się co męczyć. To rozwiązanie dla wymagających. Autobus jest znacznie prostszy. Z mojego samolotu wybiera go 90 procent podróżnych. Wystarczy wyjść z hali i skierować się do okienka. W biletomacie można płacić kartą, a w okienku gotówką. I to jest najszybsza forma dojazdu. I najtańsza, co nie znaczy, że tania.

Przejazd kosztuje 15 euro. Nie ma znaczenia, czy kupi się od razu bilet powrotny. Na zniżki nie ma co liczyć, 30 euro w obie strony jest nie do ominięcia. Wkurza mnie to, ale nie mam wyjścia.

– Paryż wart jest mszy.

– To nie jest program religijny. – Słyszałem to już w Wilnie.

– To nie ja mówię, to mówi Henryk IV – śmieję się, ale czuję, że wychodzę na kosmitę. – Burbon – dodaję bez sensu. Teraz nie czas na alkohol.

Z biletem od razu kierujemy się do kierowcy, który przedziera go i zaprasza do środka, chyba że ktoś ma większy bagaż – wtedy musi go wcześniej umieścić w luku bagażowym. Gdy zapełnią się miejsca w pierwszym autobusie, stójkowi kierują do kolejnego. Spóźnialscy mają fajniej. Jadą w niemal pustym składzie.

Sama podróż jest bardzo przyjemna, zwłaszcza jeśli można się rozłożyć na dwóch siedzeniach. Godzina i piętnaście minut, głównie po autostradzie. A potem już dworzec, tak naprawdę zwykły parking, za to w centrum miasta. Porte Maillot. Próbuję zapamiętać, że jest przy nim Palace Congress i stacja metra. Zawsze będzie łatwiej trafić z powrotem. Zaznaczam punkt w ko-

mórkowym GPS-ie. Nie zawsze chce działać za granicą w trybie offline, dlatego robię to również na zwykłej mapie.

Mówi się, że Paryż jest dość drogim miastem, nie tylko jeśli chodzi o dojazd. Zwiedzanie też słono kosztuje. Tym bardziej warto zrobić dokładne rozeznanie, co można zobaczyć za darmo i w jaki sposób niepotrzebnie nie mnożyć kosztów. I taką właśnie marszrutę postanawiam ponownie sprawdzić w trakcie lotu. Muszę jednak wyłożyć trochę na metro. Komunikacja jest najważniejsza, to połowa sukcesu.

Duże miasto, duży wydatek?

Czytam, że sieć paryskiego metra składa się z 298 stacji i 16 linii. Razem 213 kilometrów. I że słowo „metro” wywodzi się właśnie z tego paryskiego, bo to skrót od Chemin de Fer Métropolitain, czyli Miejska Kolei Żelazna. To trzecia najstarsza linia po tej w Londynie i Budapeszcie. I równie dynamicznie się rozwijająca. Znalazłem informację, że jeszcze do niedawna, do 1991 roku, przedziały były podzielone na klasy, tak jak w normalnych pociągach. Można było wykupić jedynkę albo dwójkę. Sprawdzało się to na dłuższych trasach, bo Francuzi włączyli do metra także pięć linii regionalnej sieci kolejowej – RER, łączącej Paryż z okolicznymi miastami. Teraz jest pełne *égalité* – wszyscy jesteśmy równi wobec metra, choć najlepsze

miejsca są na przedzie albo z tyłu składu. Widać umykające tunele i wagoniki. Niesamowita frajda.

– Kupujemy albo bilety jednorazowe, albo karnet na 10 kursów.

– Jaka różnica w cenie?

– Jednorazowy jest po 1,70. A za karnet dajesz 12,70.

Rachunek jest oczywisty. Mając karnet, za przejazd płacę 1,20 euro, czyli o pół euro taniej na bilecie. Po cholerę przepłacać? Kupuję zestaw biletów i mamy spokój na najbliższy czas.

Bardzo ciekawą opcją na zwiedzanie jest zakup karty Paris-Visite, która upoważnia do darmowej jazdy metrem, autobusami i tramwajami. Podobnie jak w Londynie, trzeba wybrać ważność i strefy, po których chcemy się poruszać. Dodatkowym bonusem jest kilkunastoprocentowa zniżka w niektórych muzeach, sklepach i restauracjach. Bilet jest ważny tylko po wpisaniu imienia (*Prenom*), nazwiska (*Nom*) i daty ważności (*Valable le*). A tu są aktualne ceny i opisane opcje dla klienta: **www.ratp.fr/en/ratp/c_20593/paris–visite**.

My tak długo nie zostajemy, więc biorę karnet i za chwilę dostaję komplet papierków. Przechodzimy przez bramki i idziemy za strzałkami na peron. Nowe miejsca czasem potrafią wywołać mętlik w głowie. Dlatego zawsze spoglądam na mapy, które z reguły są umieszczone na każdej stacji. Ponadto chwytam mapkę kieszonkową – jest za darmo dostępna w kasach. Tak samo robiłem w Londynie.

Kupuję i za chwilę suniemy po podziemnym labiryncie.

– Jakie wrażenia? – pytam towarzystwo.

– Metro jak metro.

– A mnie urzekło. Uważam, że to najpiękniejsza linia, jaką jechałem.

Faktycznie, mam wrażenie, że poruszam się nie w mieście, lecz w lunaparku. Pierwszy raz traktuję przejazd jako dodatkową atrakcję. Uderza mnie, że odcinki między stacjami są strasznie krótkie – średnia odległość to zaledwie 560 metrów. Kilka stacji przejeżdżamy w mgnieniu oka.

Kolej na metro.

Podobno początkowo turyści są przytłoczeni ogromem metra, jednak już po kilku przejazdach okazuje się, że przemieszczanie się z jednego końca miasta na drugi jest błahostką. Na mnie, po metrze londyńskim, rzekomy ogrom nie robi wrażenia.

Stacja Boissière. Łatwiej trafić, niż wymówić.

Poświęcam mu tyle miejsca, bo wspominałem, że dobry transport to połowa sukcesu. Jeśli zna się sposoby na poruszanie się po metropoliach, dojedzie się wszędzie za najmniejszą możliwą cenę. Ja docieram na stację Boissière. Stąd jest zaledwie kilka przecznic do ulicy z naszym hotelem. To polska stacja badawcza PAN, przeznaczona, jak sama nazwa wskazuje, głównie dla pracowników naukowych. W miarę wolnych miejsc dysponuje jednak pokojami. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Hania się o tym dowiedziała, ale wiem, że za 80 euro udało jej się zarezerwować dwie noce dla trzech osób. W samym centrum.

Pokój jest wyposażony w telewizor z kilkoma programami i łazienkę oddzieloną od prysznica. Nic wyjątkowego, za to widok na wieżę Eiffla za oknem potrafi wywołać stan euforii nawet u największego ponuraka. I to wszystko zaledwie 300 metrów od stacji.

– Nie ma podziwiania, jest robota.

Hanka klaszcze w dłonie, ustalając kierunek uderzenia z kamerą.

W tym czasie, tak jak wojsko przegrupowuje się na polu bitwy, tak ja dokonuję przepakowania. Mój plecak nie jest ciężki,

ale w trakcie wielogodzinnych marszów liczy się każdy kilogram. Dzięki wyciągnięciu bielizny i pozostawieniu w nim tylko tabletu, jego waga kurczy się do niecałego kilograma.

Czas na zdjęcia. Wyruszamy bez Hani, która będzie koordynować podróż z komputerem i Internetem w pokoju. Znam ten system, sprawdził się w Brukseli.

Kwadrans później idziemy z Krzyśkiem w stronę stacyjki. Kolejny raz korzystamy z biletów w karnecie. To jest naprawdę świetne rozwiązanie. Najpierw jedziemy na stację de Gaulle, około 10 minut, a potem żółtą linią aż do Ville. To kolejne 20 minut, bo tym razem wyliczam, że stamtąd będzie najbliżej do katedry Notre Dame.

Pytam ludzi o drogę. Nie zaszkodzi potwierdzić słuszność kierunku, poza tym sprawdzam, czy mogę swobodnie porozumiewać się po angielsku. Nie jest tak źle. Może nie każdy elokwentnie wysławia się w języku Dickensa, ale ochota i zapał uzupełniają niedostatki warsztatowe. A legendarna niechęć mieszkańców do wszystkiego co anglosaskie okazuje się… miejskim mitem.

Wysiadamy na stacji Ville.

Tu zaczyna się Axe Historique, szlak historyczny. Taka oś, bardziej ścieżka ciągnąca się z centrum w kierunku północno-zachodnim. To właśnie na tej trasie grupują się zabytki stolicy: Luwr, plac de la Concorde, Łuk Triumfalny. Każda z nazw daje po uszach i po oczach. Wystarczy tylko iść. I podziwiać.

A pierwszy przystanek jest najsłynniejszy.

Katedra jak się patrzy.

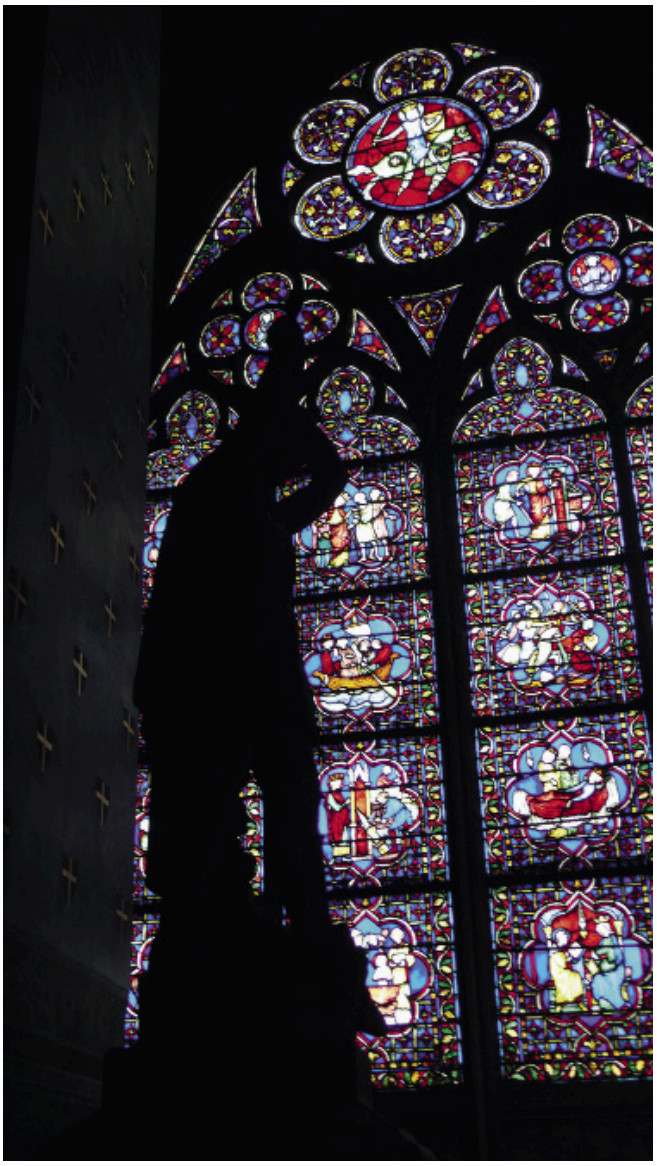

Wnętrze katedry. Powala na kolana?

Katedra Notre Dame. Jedna z najpiękniejszych budowli na świecie. Albo i najpiękniejsza, zwłaszcza że tak wspaniale rozsławił ją Viktor Hugo. Może to właśnie przez legendę o dzwonniku, a może po prostu przez kunszt i precyzję budowniczych kościół robi niesamowite wrażenie. Nie trzeba być specjalnie religijnym, żeby zostać powalonym na kolana.

Zwiedzanie katedry jest bezpłatne. Natomiast wjazd na dzwonnicę kosztuje, i to słono – 8,50 euro, ale dzięki temu

widzi się miasto jak na dłoni i to jest coś, za co warto zapłacić. Nie wszystko w życiu może być za darmo.

Podobnie jest z posiłkami, na ogół droższymi w pobliżu miejsca kultu. Bagietka z szynką albo hot dog mają o jedno, czasem 2 euro wyższą cenę niż w innych częściach miasta. Arabskie przysłowie mówi, że to, jak wygląda kromka chleba, zależy od tego, czy jesteś głodny, czy nie. Ja czuję na tyle duży głód, że hot dog wygląda jak najbardziej wykwintne danie. I tak smakuje. Paryż ma ponoć dziesięć trzygwiazdkowych restauracji w słynnym przewodniku Michelina. Nie robi to na mnie wrażenia, lubię prostą kuchnię i kafejki, które przyciągają nie ceną, lecz klimatem. Tak jak książki, od których znienacka się zaroiło. Jest ich tak dużo, że wprost nie można oderwać oczu.

Sprzedam, kupię, zamienię. Księgarnia dla turystów.

Bulwar Saint Michelle zaczyna się zaraz za katedrą. Bukiniści wystawiają tam towar od 1881 roku – każdy ma przyznane dokładnie 8,20 metra kwadratowego. Nie wiem, z czego wynika ta końcówka, ale widocznie ktoś mądrzejszy uznał, że to idealna miara. W każdym razie na tak małej powierzchni można sporo upchnąć. Są zatem książki, gazety, stare fotografie, widokówki i zakładki. Rozrzut cen jest przeogromny, od 1 euro po kilkadziesiąt, w zależności od wieku publikacji i jej rynkowej atrakcyjności. Tę ostatnią bukinista ocenia, patrząc wcześniej na kupującego. Ale ponieważ zawsze powie zawyżoną cenę, targowanie się jest jak najbardziej dozwolone.

Widzę, że trafiają się także pozycje po angielsku. To dobra opcja dla nieznających francuskiego. Niezależnie od stopnia znajomości języka obdarowanego, kupno książki z początku wieku to fajny prezent. W ostateczności pozostaje zakładka z napisem „Bulwar San Michel" po francusku, za 1 euro. Szkoda, że coraz więcej książek czytam w wersji elektronicznej.

Nurzam się literaturze jak kuna w kurniku i nawet nie zauważam, że katedrę Notre Dame zostawiam za plecami. Zresztą za chwilę za zakrętem znika również bulwar, ale pojawiają się kolejne cuda. Dochodzimy do mostu zakochanych – Ponte de Neuf. Pamiętam podobną konstrukcję z Wilna. Ta jest jednak większa i kłódek na niej co niemiara. Znalazłem jedną na dworcu autobusowym, więc zawieszam ją na wolnym drucie. Niech wisi, na zachętę.

A za mostem absolutny odjazd. Wystarczy przejść kilkaset metrów i zniknąć w wielkiej bramie, by znaleźć się w innym świecie.

– Luwr. Jedenaście euro za bilet albo czasowa wystawa poświęcona Rafaelowi za dwanaście euro. I wreszcie wariant kombinowany, czyli wszystko w jednym za piętnaście euro.

Wodzę palcem po planszy z cennikiem.

To oczywiście konkretny wydatek. Moim zdaniem, patrząc na atrakcje, cena nie jest wygórowana. Wystarczy porównać ją z kosztem bryczki na Krupówkach. Te kilkadziesiąt złotych trzeba wydać bezwzględnie. Można płacić kartą, mało tego – jest możliwość zakupu biletów przed przyjazdem w Internecie. Ja tak nie robię, bo nie ufam zrządzeniom losu i szkoda mi kasy w sytuacji, gdybym z jakichś powodów nie mógł polecieć. Każdy to musi ustalić sam.

Jest jednak coś droższego od pieniędzy. Czas. Jeśli go nie masz, poprzestań na dziedzińcu. Szkoda latać z wywieszonym językiem, lepiej kupić inny tani bilet i przylecieć tu kolejny raz. Ja muszę tak zrobić, bo inaczej nic nie nakręcę. Na Luwr trzeba się przyszykować. Za to obok pałacu rozpościerają się zielone tereny, jakby żywcem wyjęte z XVI wieku. I mam czas, żeby się tam przespacerować.

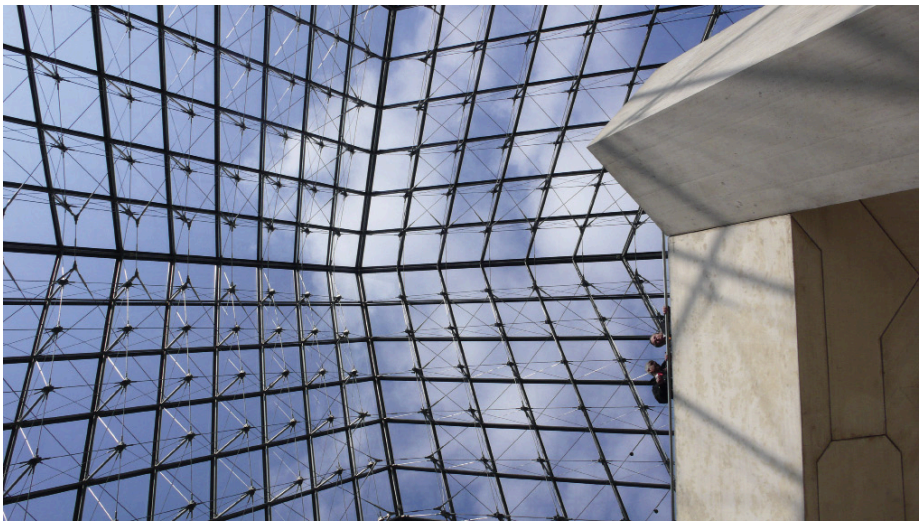

Luwr. Niezła sztuka.

A jeszcze dalej, za ogrodami Tuilleries ciągnie się jedna z najbardziej ekskluzywnych ulica świata. Śpiewa o niej piosenki sam Charles Aznavour. Champs-Élysées. Szpanerskie miejsce. Francuski Monciak, czyli reprezentatywna aleja łącząca plac Zgody (Place de la Concorde) z Łukiem Triumfalnym. Ten ostatni z zewnątrz ogląda się za darmo, płatne jest za to wejście do środka.

Ekskluzywne kawiarnie, najdroższe sklepy. Widzę zegarek na wystawie, więc sprawdzam, ile kosztuje – 50 tysięcy euro. Dziękuję, postoję. Są oczywiście sklepy z normalnymi cenami, ale co jakiś czas pojawia się eleganckie miejsce, do którego nie ma co się pchać bez złotej karty. 1910 metrów bogactwa, lansu i blichtru. Nic dziwnego, że turyści przelewają się z góry na dół jak białe i czerwone krwinki, tworząc swoisty ekosystem organizmu, którym jest serce Paryża. Bardziej oglądają, niż kupują, jednak samo chodzenie i robienie fotek na fejsa też sprawiają, że człowiek się męczy. Ja się zmęczyłem.

Ponieważ jest to czas przedświątecznych jarmarków, więc w pasażu na dole alei stoją budki z prostym i smacznym jedzeniem. Kupujemy z Krzyśkiem hot dogi z dużą ilością smażonej cebuli, a potem poprawiamy pieczonymi kasztanami. Jem

je pierwszy raz w życiu, smak nie urywa podniebienia, ale syci i daje zapas energii.

– Mam problem z tym Paryżem.

Krzysiek musi się sporo namęczyć z kamerą. Jednak po tym, jak przeszedł 30 kilometrów po Londynie, nie mam wątpliwości, że i tym razem da radę.

– Niby jaki?

– Tu wszystko jest piękne. Nie wiadomo, na czym się skoncentrować bardziej.

Ma rację. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Każde miasto wygląda ładnie tylko na pocztówkach, nawet Warszawa. W rzeczywistości tylko jego fragmenty są na tyle reprezentacyjne, że mogą się dumnie prężyć w kadrze.

Z Paryżem jest inaczej. Centrum nie ma słabych punktów. Wszystko przykuwa uwagę. A piszę to jako osoba nastawiona poprzednio niechętnie do tego miasta. Zatem mimo, że jak zwykle subiektywna, jest to jednak ocena ze wszech miar godna docenienia.

Zmęczeni, wracamy do hotelu. Szukam jakiegoś sklepu spożywczego. Na końcu uliczki jest arabska trafika. Ciasno w niej tak, że ledwo mogę się pomieścić w korytarzyku z plecakiem, ale przynajmniej znajduję bułkę paryską. I holenderskie piwo po 1,60 euro.

– No to mała imprezka. Będzie uczta.

Pół godziny potem śpię jak zabity. Jak zwykle, można powiedzieć.

Dzień drugi zaczynamy od zobaczenia zdjęć i ustalenia, czego nam brakuje. Tym razem wyprawa ma się skończyć pod wieżą Eiffla. Tam się spotkamy. Marsz zaczynamy jednak w przeciwnym kierunku.

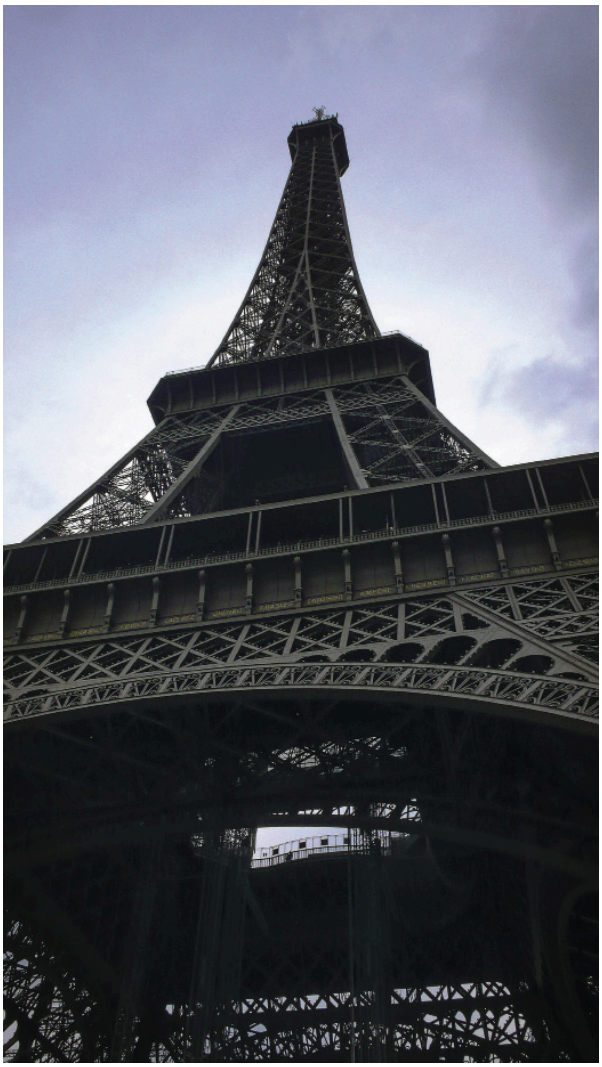

Wieża Eiffla wywyższa się nad Paryżem.

– Oto polska wyspa na Sekwanie.

Tak się nazywa niewielki wycinek Paryża, w przeszłości zdominowany przez Polaków. To Wyspa Świętego Ludwika – Île Saint-Louis, nazwana na cześć króla Francji Ludwika IX Świętego. Ma tam siedzibę Biblioteka Polska i sławny Hotel Lambert. Tutaj się kłóciła polska emigracja po upadku powstania listopadowego. I tu czuje się historię naszego narodu. Z wyspy przerzucono mosty na obydwa brzegi rzeki, idę więc ponownie w stronę znanego już bulwaru bukinistów. Ale tym razem nie zmierzam w kierunku Champs-Élysées, lecz wieży Eiffla. Pod nią nagry-

wam ostatnią setkę. Wcześniej sprawdzam, ile kosztuje wjazd na górę.

– Niestety, nie mówię po angielsku.

Sympatyczny Francuz pokazuje mi jednak na palcach, że to będzie 14 euro. Otwieram miniaturowe wino. Dwa łyki, żeby uczcić przejście kilkunastu kilometrów w wielogodzinnym marszu. Misja zakończona sukcesem.

No, prawie. Wieczorem czeka nas jeszcze jedno zadanie.

– Jedźcie na spotkanie z prostytutkami.

– Że jak?

– Poszukajcie ich w okolicy, nie jako klienci oczywiście, tylko jako turyści.

Hanka nie ma litości dla naszych nóg. Co prawda do stacji Pigalle podjedziemy metrem, ale mimo wszystko odczuwam już zmęczenie.

Moulin Rouge to najsłynniejszy przybytek niewyrafinowanej rozkoszy. Choć czas pędzi do przodu, on nadal proponuje najprostszą formę rozrywki, za to na bardzo wysokim poziomie. I za odpowiednią cenę. Wieczór ze spektaklem i szampanem dla dwóch osób kosztuje 116 euro. Z kolacją cena wzrasta do prawie 200 euro. Kabaret jest super, ale to nie ma nic wspólnego z tanimi podróżami. Dlatego robimy zdjęcia z zewnątrz i skupiamy się na szukaniu prostytutek. Oczywiście, tylko w celu zawodowym. Chodzi o to, żeby przekonać się o istnieniu kolejnego mitu. Czy rzeczywiście okolice słynnego kabaretu są tak oblegane przez reprezentantki najstarszego zawodu świata? Jak na razie nie znalazłem żadnej.

Moulin Rouge. Taniec, wino, śpiew.

Nieprzyzwoita dzielnica.

– No i gdzie one są?

– Skąd mam wiedzieć? Nie widzę.

– To może zapytać? – sugeruje Krzysiek, żeby sprawdzić organoleptycznie, która z pań zajmuje się poszukiwaną profesją.

– I co jej powiem? Czy pani jest może prostytutką? Przecież ja nie wiem, która jest która? – denerwuję się. A jak nie trafię? I zapytam nie tę, co trzeba?

Za dużo pytań, za mało faktów. Próbuję tłumaczyć napotkanym przechodniom, że szukamy prostytutek, ale nie w seksualnym celu. Po prostu słyszeliśmy, że to lokalna atrakcja. Niektórzy wskazują jakiś kierunek, ale po dojściu na miejsce okazuje się, że nikogo tam nie ma. Są natomiast erotyczne sklepy, któ-

rych mnogość sugeruje, że może miejsce jest dobre, tylko jakaś dziwna pora?

– Może mają przerwę?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć?

Jesteśmy już zmęczeni i zrezygnowani. Może to nie ta godzina, a może dziś rzeczywiście mały urodzaj. Tak czy inaczej, z punktu widzenia łowców dajemy ciała. Polowanie na Moulin Rouge okazuje się niewypałem, a my – kompletnymi geograficznymi impotentami.

– Ich strata. Nie ma, trudno, nie będziemy się tu włóczyć całą noc.

Wracamy do hotelu, i tak udało się sporo nagrać. Nikt nie będzie płakał za prostytutkami. Zwłaszcza że nagrałem zapowiedź, że jak nie ma, to trudno. W drodze powrotnej jeszcze raz zachodzę do trafiki. Hania prosi mnie, żebym jej kupił paczkę papierosów dla taty. Nie znajduję francuskich marek, więc wybieram towar zastępczy.

– Coś ty przyniósł?

– Nie wiedziałem, co ci kupić na kolację, więc wziąłem parę drobiazgów.

– Parówki?

– I mus czekoladowy.

Hania nie wygląda na uradowaną. Jednak wspólnym wysiłkiem udaje nam się napocząć każde z opakowań. Po ciężkim dniu należy się suta kolacja, nie będę się przejmował kaloriami. Pamiętam jeszcze o nastawieniu alarmu w komórce i zasypiam najszybciej, jak się da, żeby zdążyć na poranne metro. Podobno kto rano wstaje, temu Pan Bóg rozum odbiera. Nie obchodzi mnie to, bo już chrapię.

Gdzie te dziewczyny?

I tu właśnie znajdujemy się w miejscu, w którym coraz bardziej boję się, że możemy nie zdążyć. Mimo że chwilę temu podniosły się kraty, tory są puste, jak kieszeń studenta przed stypendium.

– *Madame*, za ile będzie pierwszy pociąg w stronę ronda de Gaulle'a?

– Czterdzieści pięć minut.

Masakra. Właśnie tyle mieliśmy przeznaczone na dostanie się na dworzec i mały zapas na kupno biletów.

Co teraz zrobić? Czasem łatwiej dotrzeć na drugą półkulę niż na lotnisko.

– Patrzcie, jakaś taksówka jedzie.

– Faktycznie, łap ją.

Macham rozpaczliwie bez wiary w zwycięstwo. Niesłusznie – samochód hamuje kilka metrów przede mną. W środku uśmiechnięty ciemnoskóry kierowca. Słyszy adres i kiwa głową ze zrozumieniem. Ciekawe, czy ja zrozumiem, za ile jedziemy? Nie ma innego wyjścia, ale też nie chcę być skasowany na bajońską sumę. Zbyt wiele razy widziałem w Polsce taksówkarzy oszustów, którzy bezczelnie doili zagranicznych klientów, nic sobie nie robiąc z przepisów prawa. Gryząc się z myślami, nie zauważam, że jesteśmy na miejscu.

– 6,30 euro.

– Hę? – wydaje mi się, że nie dosłyszałem.

– 6,30.

Coś spadło. To ulga, jaką odczuwam, kiedy zdaję sobie sprawę, że nikt mnie nie orżnie.

Daję 7 euro. Dziękuję za resztę. Kurs z Centralnego do Piaseczna kosztuje mnie trzy razy drożej. Po wcześniejszych wydatkach w Paryżu ten wydaje mi się najmniej dotkliwy. Wreszcie czuję się jak panisko. I od tamtej pory niezmiennie powtarzam: Polska to jest jednak drogi kraj.

Dalszy powrót na lotnisko przebiega bez przeszkód. Większość pasażerów busa zasypia. Ja też, choć początkowo wydawało mi się, że nie dam rady. Hanka i Krzysiek również śpią. Chwilę wcześniej wgryzam się w *Tatami kontra krzesła* Rafała Tomańskiego. Nigdy nie byłem w Japonii, ale dzięki lekturze mam wrażenie, że stała mi się bliższa. Wydaje mi się, że zaczynam ją lepiej rozumieć, a połączona ze współczesnością historia drugiej wojny światowej magicznie przyciąga podobieństwami. Przyłapuję się nawet na myśli, że też jesteśmy jak Japończycy – kiedy tylko można, łapiemy choć kwadrans snu. Dzięki temu dajemy radę pracować w tak szaleńczym tempie. Regeneracja ponad wszystko. Każdy nadrabia zarwaną noc.

Na lotnisku jest jeszcze sporo czasu, żeby połazić po sklepach. Właściwie po sklepie. Beauvais nie ma wielkiej oferty. Samo jest nieduże i sklep również tylko jeden. Patrzę na ceny absyntu – przydałoby się zabrać jakiś upominek. W Polsce nie

ma dużego wyboru. Nie decyduję się, ponoć lepszy mają w Pradze.

Podsumowanie:

Paryż zachwyca. Wszystko jest w nim piękne. I wszystko chciałoby się zobaczyć za jednym zamachem. Nie ma to jednak sensu. Lepiej przyjeżdżać tam w wolnych chwilach i smakować po kolei.

Plotki o tym, że jakoby Francuzi są nieuprzejmi dla osób rozmawiających po angielsku, są wyssane z palca. To kolejny dowód na to, że od obiegowych bzdur roi się wszędzie i jeżeli samemu się tego nie doświadczy, to mit będzie pokutował. Prawdą jest, że człowiek uczy się przez całe życie. I że tylko krowa nie zmienia poglądów. Ja je zmieniłem diametralnie. I tak jak Gustaw przemienił się w Konrada, tak ja z frankofoba stałem się frankofilem. Jestem pod dużym wrażeniem Paryża. I plasuję go na szczycie prywatnej turystycznej listy przebojów. Dla mnie spotkanie z tą metropolią było jak wizyta w raju. I choć spędziłem w niej tylko dwa dni, mam nadzieję, że nie jest to raj utracony.

Podobno wielu turystów cierpi po powrocie na tzw. syndrom paryski, objawiający się albo zawodem, że dostało się mniej od oczekiwań, albo szaloną euforią, że wreszcie się udało. Jeśli miałbym wybierać, to jestem w umiarkowanej drugiej grupie. Mam jednak ochotę na głębsze uzależnienie, więc wrócę tam na bank.

Co kręci:

Moje obawy o nieznajomość języka okazują się bezpodstawne. Można się dogadać po angielsku. Francuzi też dają radę. A poza tym jest tak wielu turystów z zagranicy, że nawet jeśli ktoś nie pała sympatią do kultury sąsiada zza kanału, nie ma wyjścia. Kolejny raz przekonałem się, że mam do czynienia z jeszcze jednym mitem.

Znakomita komunikacja to ewidentny plus. Metro jeździ bardzo często. Wszędzie można się nim dostać. Co ciekawe, Paryż można zwiedzać na piechotę, a wszystkie muzea narodowe są udostępniane bezpłatnie dla zwiedzających w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Warto sprawdzić szczegóły w necie.

Co wkurza:

Ceny w restauracjach. Niestety przysłowiowe kilka euro czasem nie wystarczy. Ratują punkty z fast foodem i markety, ale brakuje mi swobody, z jaką wchodzę do knajpek we Włoszech.

Dojazd z lotniska nie zachwyca. Odbywa się sprawnie, ale cena w porównaniu z Włochami jest mocno zawyżona. Jest najdroższy ze wszystkich, z jakimi spotkałem się w trakcie podróży. Więcej płaci się co prawda w Skandynawii, ale tam jest to spodziewane. Po Paryżu oczekiwałem większej łagodności fiskalnej.

Cennik:

- Chleb: 0,50 EUR.
- Hot dog: 2,50 EUR.
- Obiad u „chińczyka”: około 8 EUR.
- Wino: od 2 EUR.
- Piwo: 0,70 EUR.
- Pizza: 8–10 EUR.
- Woda mineralna: ok. 1 EUR.
- Coca-cola: 1,40 EUR.
- Porcja kasztanów: 2 EUR.
- Papierosy: 7 EUR.

PODRÓŻ 9

KUPIĆ, NIE KUPIĆ, POPATRZEĆ WARTO

miejsce

Medidan

cel podróży

noworoczne wyprzedaże

czas podróży

2 godziny

cena biletu

26 złotych

Wyprzedaże i zakupy. Masa ludzi leci do Włoch i wraca z pełnymi siatkami. Polecimy?

Pomysł przychodzi mi do głowy, kiedy czytam, że tuż po Nowym Roku zaczyna się wielki okres wyprzedaży we włoskiej stolicy mody.

– Można jechać do galerii, można wydać pieniądze na taksówkę, ale przecież jest tańszy sposób. Fajnie byłoby zrobić odcinek pod tym kątem.

Hania kiwa z namysłem głową. Już widzę, że jej się podoba.

– A prócz tego mnóstwo atrakcji, jak to we Włoszech.

– No i w sam raz na święto zakochanych.

Hanka już wietrzy pismo nosem. Gdyby udało się sprężyć, można zrobić nie jeden, ale dwa odcinki za jednym zamachem. Różne lokalizacje, różnorodna tematyka, wspólny cel: dobrze się ubrać. A jeśli ona coś postanowi, to na ogół tak jest. I bardzo dobrze. Zawsze jest odpowiedni czas, żeby porządnie wyglądać.

Modna woalka. Moda przez duże „M”.

– Zobaczymy, co z drugim miastem. Na razie weźmy pod lupę główny cel.

Na celowniku: Mediolan. Z Wizzaira. W bardzo dobrej cenie – ze wszystkimi możliwymi zniżkami zaledwie 26 złotych na osobę. To 13 złotych w jedną stronę. Tyle kosztuje bilet kolejowy z Piaseczna do Warszawy Centralnej, ale w tym wypadku

do pokonania jest około 20 kilometrów, podczas gdy do Bergamo – 1500 kilometrów. Wychodzi mniej niż grosz za kilometr.

– To właściwie za darmo. Pakujemy się.

Nie tak szybko, bo z tym wyjazdem jest trochę zamieszania. Termin zbiega się z aferą na lotnisku w Modlinie. Po zamknięciu pasa, w związku z koniecznością wymiany nawierzchni, loty przewoźników przerzucono na Okęcie. Dla nas lepiej, bo to lotnisko jest bliżej centrum, ale przez chwilę nie wiem, czy nasz termin zostanie zrealizowany na jednym czy drugim terminalu. Operatorzy wysyłają kolejne komunikaty i dopiero po kilku dniach chaos informacyjny powoli się uspokaja. Jakby nie mogli od razu powiedzieć, że wyłączają Modlin na pół roku. Najgorsze, co może być, to mieć transfer z Łodzi albo jeszcze dalej, z Katowic czy Krakowa.

– Spokojnie, będzie dobrze. – Hanka jak zawsze potrafi trzymać nerwy na wodzy.

– Kiedyś będziesz wielkim szefem. Masz talent do zarządzania.

– Na razie to mam wielką chęć siedzieć już na pokładzie.

I za pół godziny tak jest. Ruszamy z Okęcia.

Ponownie leci z nami Tomek Szymoniuk, z którym działaliśmy w Eindhoven. Od razu robi się głośniej. Jego żywiołowy temperament udziela się innym. Zawsze jest uśmiechnięty i gotów do żartów. Jednak przede wszystkim to znakomity operator: wszędzie wejdzie, wszystko nakręci, a na dodatek robi to z humorem i wdziękiem.

Z setkami przed lotniskiem uwijamy się w kilka minut. Ochrona nawet nie ma szans zareagować. Oczywiście mamy pozwolenie na papierze, ale z doświadczenia wiem, że ochroniarzom trzeba wszystko tłumaczyć oddzielnie. Lubią mówić, że nikt ich nie powiadomił i trzeba czekać na zgodę kogoś ważnego. Unikamy straty czasu.

Za chwilę jesteśmy już w strefie bezcłowej i startujemy zgodnie z planem. Przed nami kolejne dwie godziny do twórczego wykorzystania. Zawsze mam komplet gazet i iPada. Korzystam

z nich zamiennie, ale zanim zdążę przejrzeć dokładnie, słyszę komunikat o podejściu do lądowania.

Nie byłem we Włoszech całe wieki, a w Mediolanie nigdy. Sprawdzam, że to drugie co do wielkości miasto włoskie, po Rzymie, jest związane, co ciekawe, z Polską. To właśnie tam tworzyły się Legiony Dąbrowskiego w 1797 roku i padło hasło: „Z ziemi włoskiej do Polski", do dziś śpiewane w naszym hymnie narodowym. W Mediolanie na każdym kroku stoją kościoły i katedry, ale nie mniej ważną religią jest moda. Czyli to, co lubię najbardziej: połączenie sacrum z profanum.

Bergamo. Lotnisko z widokiem.

Początek brzmi obiecująco.

A lotnisko w Bergamo to najpiękniejszy port lotniczy, jaki do tej pory widziałem w trakcie kręcenia cyklu. Otoczony górami, z dużym terminalem, pełne śpieszących się ludzi, robi wrażenie na miłośniku tanich lotów, przyzwyczajonym do baraków na trawie. Mimo rozległej przestrzeni jest zwarte i pozwala szybko wydostać się na zewnątrz. Poza tym to znakomity punkt przesiadkowy do kilku miejscowości północnych Włoch.

Jeśli ma się zaledwie jeden dzień, warto uderzyć do pobliskiego Bergamo. Nawet na piechotę. Wielu turystów właśnie tam kieruje się na krótkie wypady. Na pierwszy raz wystarczyłoby mi w zupełności, bo lubię małe miasteczka, ale skoro wy-

jazd jest trzydniowy, trzeba się ruszyć z miejsca i pokazać jak najwięcej.

Wybierając Turyn czy Cremonę, można skorzystać z pobliskiej stacyjki kolejowej. Pociąg zawiezie nas też do Mediolanu, ale w tym wypadku najszybszy i najtańszy będzie autobus. Stoi pod lotniskiem i odjeżdża co pół godziny. Nie trzeba nawet sprawdzać rozkładu. Po prostu wychodzi się na zewnątrz i idzie do kierowcy. Oczekiwanie na odjazd wynosi najwyżej kilka minut.

– Czy można u pana kupić bilety do Mediolanu?

– Pięć euro.

– A powrotny?

– Ta sama cena. Też pięć euro.

Kierowca już oddziera bilet.

– Słuchajcie, w hali jest ogłoszenie, że *return ticket* kosztuje dziewięć euro.

– A, już nie będziemy się wracać, autbus odjeżdża za pięć minut.

Kolejne pół godziny czekania na lotnisku niewarte jest tego 1 euro, choć za komuny bym się pewnie wrócił. Jestem z pokolenia PRL-u i czasem przypominają mi się wojaże sprzed lat, gdy każdy grosz liczył się jak kruszyna chleba dla głodnego. Dobrze, że to już przeszłość.

Mediolan jest jednym z najbogatszych miast w Europie i jednym z najdroższych na świecie. Takie dane znajduję w opisach, taką wiadomość powtarzają ludzie. Jak na razie tego nie widać. 5 euro to nieco ponad 20 złotych. Modlin Bus z Centrum Warszawy na lotnisko w Modlinie kosztuje 33 złote. A w porównaniu z 15 euro z lotniska Beauvais do Paryża to zdecydowanie taniocha. No i kto ma drożej?

Kierowca odpala silnik, a Tomek rozpakowuje kanapkę. Robimy z Hanią to samo, bo jeść trzeba, a podróż stanowi świetną okazję, żeby naładować baterie.

Do Mediolanu jest około 50 kilometrów. Trzeba się liczyć z godziną jazdy. Może być jednak dłużej. Nigdy nie wiadomo, jak z korkami po drodze. To dotyczy każdego miasta, i nie tylko

we Włoszech. Na ogół jednak przewoźnik mieści się w wyznaczonym czasie.

Autobus jest prawie pusty. Odjeżdża tak często, że spora część miejsc pozostaje wolna. Uwielbiam to, tak samo było w drodze do centrum Paryża. Nie lubię zatłoczonych środków lokomocji, zwłaszcza na długiej trasie, jak z lotniska Skavsta do Sztokholmu albo z Londynu do Southampton. Tyle że tu jest dwa razy taniej. Można się spokojnie rozłożyć i leniwie podziwiać widoki za oknem, choć akurat w tym momencie nie ma tam nic ciekawego – brzydka okolica, same hurtownie i składy budowlane, trochę jak przy wjeździe do Warszawy. Sytuację ratują majestatyczne Alpy w tle – takie góry dodadzą uroku każdemu krajobrazowi.

– Słuchajcie, nie wiem, co mi się dzieje, ale chyba znowu zasnę.

Od pewnego czasu morzy mnie senność we wszystkich środkach transportu. Nieważne, czy to samolot, pociąg, czy autobus. Zasypiam, może ze zmęczenia, może z nadmiaru wrażeń. Zresztą nie tylko ja tak mam. Nie czuję zatem wyrzutów sumienia.

– Obudzimy.

I tak się dzieje. Po kilkunastu minutach trzeźwieję, czując się w pełni zregenerowany. Szybki sen, szybka pobudka. Autobus podjeżdża pod boczną ścianę dworca Milano Centrale. Tłumy śmigają w jedną i drugą stronę. Piękny obiekt jest jednym z największych dworców w Europie. Przewija się przez niego ponad 300 tysięcy pasażerów dziennie. Nie wszystkie budowle tego typu muszą przypominać pożałowania godny dworzec Warszawa Zachodnia.

Palcem po mapie.

Z tego wielkiego węzła można dojechać do dziesiątek miejscowości. Wystarczy wejść na stronę włoskich kolei i porównać trasy oraz ceny. To też rozwiązanie na przyszłe podróże. Lecieć do Bergamo za grosze, a potem poznawać Włochy koleją. Kiedyś tak zrobię. Na razie zaprasza Mediolan.

Starym zwyczajem najpierw trzeba się kierować do miejsca zakwaterowania, gdzie można zostawić niepotrzebne rzeczy, przepakować się i przegrupować. A droga nie jest daleka. Hotel Kennedy znajduje się na Viale Tunisia 6, na szóstym piętrze. Z mapy wynika, że jest na tyle blisko, że nie potrzeba łapać tramwaju. Z jednej strony dobrze, bo lubię zwiedzać na piecho-

tę, z drugiej zaś trochę szkoda, gdyż po mieście krąży kilka ich typów, z których najfajniejsze są te najstarsze.

– Panowie – Hania studzi dziecięcy entuzjazm – my tu przyjechaliśmy na zakupy.

– No to ruszajmy zrobić na nie miejsce.

Z dworca idzie się prosto jakieś 700 metrów Via Carlo Tenca, potem trzeba skręcić w lewo, w Viale Tunisia i przejść jeszcze około kilometra. Jak zwykle pytam na próbę przechodniów. Nieznajomość języka nie jest żadnym problemem. Wystarczy, że wymawiam nazwę ulicy, a każdy wskazuje kierunek, najwyżej poprawia mój akcent.

Wreszcie właściwy numer. Na drzwiach wisi kilka tabliczek z nazwami miejsc do spania. Jest też wywieszka na domofonie: „Hotel Kennedy". Nasze lokum mieści się w kamienicy i jest połączone z innymi hostelami. Dlatego zajmuje szóste piętro. Właśnie się zastanawiałem, co znajduje się poniżej. Dobry pomysł na biznes, nie trzeba korzystać z całego budynku, wystarczy jedno piętro.

I jedna gwiazdka, jak się okazuje.

Do hotelu! Marsz!

– Poważnie?

– No przecież miało być tanio. Kilkadziesiąt złotych na osobę. Czyli wygód nie będzie. Ani wykwintnej obsługi.

Jak zwykle kompletnie mi to nie przeszkadza. Zależy mi tylko na czystej pościeli i ogólnej schludności, a to hostele oferują zawsze. Również ten nie odbiega od standardów. Co prawda budynek stoi przy ruchliwej ulicy, ale akurat to jest dla mnie plusem. Lubię czuć rytm miasta, które odwiedzam.

– Na pewno nie będzie za głośno?

– Jak będę szukał cichego zakątka, to sobie w Bieszczady pojadę. W Mediolanie, kurczę, jesteśmy.

– Tak jest. – Tomek próbuje się zmieścić do windy z kamerą. Jest ciężka i nieporęczna, ale cenna i kapryśna, więc pielęgnuje ją jak żołnierz karabin na wojnie. Wchodzić po schodach nikt nie zamierza. Trzeba wjechać na szóste piętro, ale ciężko będzie to zrobić razem. Kabina jest tak malutka, że mogą z niej korzystać maksymalnie dwie osoby. Tak naprawdę jedna to już i tak dość. Rozkładamy zatem podróż na dwie tury. Ja jadę z Tomkiem i wydaje mi się, że wylądowałem w kapsule czasu. Zanim winda dociera do celu i otwierają się drzwi, upływa wieczność.

– Jezu, wreszcie. Wypadajmy stąd.

Na górze rozciąga się wąski hol, zakończony korytarzem biegnącym na lewo i prawo. Na środku rozstawiono potężny kontuar, za którym siedzi Chinka. Wystaje jej tylko głowa. Moja obecność nie robi na niej większego wrażenia, wpatruje się to w kamerę, to w operatora.

– *Buongiorno* – Tomek jak zwykle uznaje tylko głośne mówienie. Dla efektu macha przyjaźnie jak Jaś Fasola.

Cisza. Żadnej reakcji.

Chinka nie zmienia wyrazu twarzy, tylko wodzi za nami oczami.

– Patrzy na nas jak na kosmitów.

– Pewnie przestraszyła ją kamera, ludzie czasami na nią dziwnie reagują.

Tomek ma rację.

– Dzień dobry, mamy tu rezerwację.

Chinka wraca do świata żywych. Zaczyna grzebać w papierach. Potem wyciąga świstki i każe je wypełnić. Hania robi

to za całą grupę. W tym czasie próbuję się ustawić z Tomkiem wzdłuż ściany, bo stojąc obok siebie, nie możemy się zmieścić.

Po załatwieniu formalności Chinka zaprasza gestem w głąb korytarza. Hanka idzie na lewo. Ja i Tomek mamy pokój na samym końcu po prawej: trzy łóżka, jedna umywalka, szafa i parapet.

– O, nawet telewizor stoi. I dekoder jakiś.

Działa. Włoskie kanały, liczne w polskich domach, atakują każdą telewizję kablową. Jak tworzyliśmy w 2001 roku TVN24, sceptycy mówili, że w takim kraju jak Polska nie ma miejsca na kolejną telewizję, na dodatek całodobową. Odpierałem zarzut, mówiąc: „Popatrz na Włochy, ile tam jest telewizji i ciągle przybywają nowe". Faktycznie, okazało się, że w sercu Mediolanu znajduję kanały, których jeszcze nie znałem. Jest ich znacznie więcej niż czasu, który mam do ich przeglądania.

Toaleta jest na korytarzu, kilka metrów od pokoju. Znam ten patent i jestem do niego przyzwyczajony. Większość tanich hosteli zawsze będzie miała toalety na korytarzu, więc trzeba do tego przywyknąć. Ja nie mam z tym problemów, nie spotkałem się jeszcze z brudem. Jest tylko jedna rzecz, o której nie wolno zapominać.

Zawsze biorę w podróż klapki.

Bez nich niezręcznie byłoby mi wchodzić pod wspólny prysznic. Nie mówię, że musi się coś stać. Jak nie będę miał klapek, to wejdę, ryzyk-fizyk. Ale staram się pamiętać. Po co ryzykować jakieś grzybicze przygody.

W toalecie jest naprawdę OK. Prysznic, klozet i bidet. Nawet ktoś wstawił wannę, obmurowaną bordowymi kafelkami. Na półkach walają się kosmetyki: włoskie, francuskie, nawet amerykańskie. Pewnie poprzednicy zostawiają je dla kolejnych gości. Ale po co komu samoopalacz? Niech sobie leży.

Ponieważ jest dopiero południe, więc szkoda dnia na wylegiwanie się. Bierzemy najpotrzebniejsze rzeczy. Ja pozbywam się zapasowych baterii. Są ciężkie, każda waży kilka kilogramów. Na ogół przed lotem wkładam je do plecaka, żeby odciążyć operatora.

– Teraz jesteśmy jak piórka.

Wyruszamy na miasto.

Mówiłem, że nie szukałem cichego zakątka. Wielki świat zaczyna się kilka minut po wyjściu z hostelu. W końcu Mediolan to przede wszystkim europejska stolica ciuchów i raj dla wielbicieli zakupów. Słynną dzielnicę mody wytyczają place i ulice, których same nazwy stanowią ucztę dla wyobraźni. Powiedz na głos: Piazza del Duomo, Piazza Cavour i Piazza San Babila, a do tego jeszcze Via Montenapoleone, Via Manzoni, Via Sant'Andrea, Via Vittorio Emanuele i Via della Spiga. Jak to brzmi? Moim zdaniem kosmicznie. Jakby powiedział Tomek: „apogeum".

Dla lansiarza i trendsettera to jak abecadło do wykucia na pamięć. Chcesz być trendy? Zasuwaj do ekskluzywnych marek. Armani, Prada, Dolce & Gabbana, Gucci, Versace. Lista jest długa i nie można narzekać na brak wyboru. Można za to odstawić się jak szczur na otwarcie kanału.

Zanim tam dojdziemy, trafiamy do butiku, do którego najwcześniej rzucane są końcówki serii. Niby tak jak w Polsce, ale lepszych serii, choć niestety za większe pieniądze.

– Na wystawie różowy sweterek. Średnio na mnie pasuje.

– Chodź, zajrzymy.

Hanka szykuje kamerę. Tomek nie może filmować w środku. Nikt jednak nie powiedział, że nie można sobie pokręcić z ukrycia małym handycamem.

Przymierzam ciuchy z wieszaków. Robię to na chybił trafił. W normalnych warunkach miałbym czas, żeby spokojnie sobie wszystko poprzymierzać. Zauważam jednak, że ceny zaczynają się grubo powyżej 100 euro. Nawet już po obniżce.

– „Speszal prajs for ju".

Znacie takie nastawienie, że niby wszystko ładne, a jednak nic nie można sobie wybrać? A to, że nie planujesz niczego kupić, a nagle widzisz rzecz, którą koniecznie chciałbyś dla siebie? Otóż ja przeżyłem najpierw jedno, a potem drugie.

Bez kawy nie da rady.

Magazyn pełen mody.

– O, kapcie.

– Campery to są.

– Nie znam.

– W Polsce nosi je parę znanych osób. A jedna to nawet ma innego na każdej nodze.

– Takiego kapcia?

– Inne może. Takie niekoniecznie.

Hanka się śmieje.

– Ale co marka to marka.

Kapcie są przecenione z 60 euro na 25, czyli nieco ponad 100 złotych. Nigdy takich nie miałem. W ogóle nie nosiłem kapci.

A teraz, jak się poprawi pogoda, może nawet spróbuję w nich wyjść na miasto. Zgodnie z powiedzeniem: kupić nie kupić, potargować warto. Ale co tu targować, jak cena jest obniżona o ponad połowę. Poza tym to nie bazar.

Biorę i proszę o wypakowanie z pudełka. Łatwiej zmieszczą się do plecaka. Upycham i pośpiesznie wychodzę na zewnątrz. Czas najwyższy, bo Tomek nudzi się przed sklepem jak mops.

– Nie puścili mnie w skarpetkach, ale za to wychodzę w kapciach.

Można polubić zakupy, nie mam co do tego wątpliwości.

A najważniejsze i najpiękniejsze miejsce znajduje się przede mną, w sercu miasta – tam wszystkie cuda są w zasięgu ręki. Poznań ma Stary Browar, a Mediolan – Galerię Wiktora Emanuela. Pasaż widać z oddali. A słychać o nim od lat. To najstarsze centrum handlowe w mieście. Przykryte przeszkloną kopułą, a kształtem przypominające łuk triumfalny, łączy dwa place: Piazza del Duomo z Piazza Della Scala.

– To niesamowite. W Polsce trwało powstanie styczniowe, a oni zaczęli budowę tej hali.

Piazza del Duomo – wnętrze. Płać i płacz.

Faktycznie. Pasaż zaczęto wznosić w 1864 roku. Dziś mieszczą się w nim sklepy, w których normalny turysta raczej się nie zaopatruje. Natomiast każdy chętnie zrobi tu sobie spacer. Miło sprawdzić, co leży na wystawach Armaniego czy Diora. A jeśli trafi się promocja, to może i w tym miejscu warto nadwyrężyć limit na karcie. Wprawdzie ubrania i akcesoria kosztują krocie, ale przecież patrzeć i przymierzać można za darmo.

I tylko to zamierzam robić. Nawet gdybym miał kilka tysięcy euro na zbyciu na kosztowne puzderko na biżuterię, nie zaryzykowałbym. Poczekam, aż będę miał kilkaset tysięcy. I więcej wolnego czasu, bo teraz ledwo tylko zaczynam podróż, już ją trzeba kończyć.

I zgłodnieć.

Knajp jest od groma, ale nie są przeznaczone na kieszeń taniego podróżnika. Co ciekawe, działa również McDonald, ale tym razem odpuszczam. Z reguły kolację robimy sobie dopiero po dniu zdjęciowym, czyli za kilka godzin.

Obok pasażu, na wspomnianym Piazza del Duomo znajdziemy największy gotycki kościół na świecie – zapierającą dech w piersiach katedrę mediolańską. Dziesiątki marmurowych wieżyczek i rzeźb mienią się w słońcu, pokazując siłę i piękno. Podobno z dachu budowli w słoneczny dzień można dojrzeć szczyty Alp. Co mi tam, jakby były widoczne wierzchołki Tatr, to by dopiero było wrażenie.

Wstęp do katedry jest bezpłatny. Jedynie za fotografowanie trzeba zapłacić 2 euro. Jeśli się jednak tego nie zrobi, nikt nie będzie ścigał. Pod tym względem Włosi są zupełnie inni od Anglików. Jacyś bardziej spolegliwi. Płacę.

Na placu rządzą gołębie. Jest ich więcej niż ludzi i jak wszystkie gołębie świata są wygłodzone i chętne do skubania bułki. Mam niedojedzoną kanapkę z Polski, ale ledwie zaczynam sypać okruchy, doskakuje do mnie handlarz i wciska mi w ręce kukurydzę. Gołębie momentalnie obsiadają mnie całego i zaczynają dziobać ziarenka. Na szczęście żadnemu nie chce się ich zwrócić, przez co udaje mi się wyjść z czystymi rękami.

Katedra w Mediolanie. Modny kościół.

Piazza del Duomo. Uwaga na głowy.

– Dwa euro.

Zapomniałem, że nic nie ma za darmo. Daję handlarzowi 1 euro, a za drugie biorę sznurek szczęścia. Początkowa oferta była trzy sznurki za 3 euro, ale ceny są mocno umowne. Jeśli będziesz na Piazza del Duomo, na pewno zaatakują cię handlarze. Albo ci od sznurków, albo od kukurydzy. I tutaj można, a nawet trzeba się targować.

Uzbrojony w „magiczną" tasiemkę idę w odnogę placu. Kilkaset metrów od katedry usadowił się kolejny szałowy butik z ciuchami. I to jakimi. Moda vintage, popularna jak nigdy. Można tu wyszukać perełki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, także przecenione.

Myszkuję pomiędzy rzędami wieszaków. Ciekawią mnie ceny skórzanych kurtek. Przymierzam rzeczy, w które normalnie się nie ubieram, ale gdybym szedł na party, czemu nie. Wśród nich jest okropna koszula w zielone paski, stylizowana na hawajską, jak z wesela z lat siedemdziesiątych.

Wesoły, bo nie goły. Pieniądze uratowane.

Już chyba mam dość. Nie samymi ciuchami żyje człowiek. Ja chcę jeść.

– Jeszcze jedno miejsce. Niedaleko, warto.

Corso Como.

Uliczka nie jest długa, ma zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale jakościowo przewyższa niejedną arterię. To cały *concept store* założony przez naczelną włoskiej edycji „Vogue'a". Są tutaj ubrania, biżuteria, bary i restauracje. I wszystko ma do siebie pasować. Czyli liczy się nie tylko wnętrze, lecz także fasada, jak w życiu. Esencja włoskiego stylu i dobrego smaku. Mam do niej stosunek podobny jak do muzyki country: nie przepadam, ale pasjami mogę posłuchać. Dlatego warto zobaczyć to miejsce.

Wyznacza trendy i nawet jeśli świadomie idziemy im w poprzek, dobrze wiedzieć, co jest na topie. Zwłaszcza że robią to inni turyści, poza tym co dziś wystawiają na Corso Como, wkrótce będzie w Polsce. W końcu nie bez kozery pisał Słowacki, że pawiem narodów jesteśmy i papugą.

Koniec na dziś. Wracamy do hotelu. Po drodze zrobimy zakupy do pokoju i w końcu zjemy jakąś kolację.

– Wreszcie. Może nie być miejsc.

– Spokojnie, coś znajdziemy.

Mijamy sporo knajpek, ale jakoś nie możemy się zdecydować. Albo wyludnione, albo zajęte do ostatniego miejsca. Obok Viale Tunisia zaczyna się ciemnoskóra dzielnica – po południu pusta, teraz, kiedy zapadł zmrok, zmienia się nie do poznania. Na każdym rogu stoją emigranci, sami mężczyźni, kobiet nie ma nigdzie. Knajpy oferują kuchnię etiopską, afrykańską, a nawet z Erytrei. Wszystko pięknie, ale teraz rozumiem, dlaczego mój przyjaciel mieszkający od lat w Anglii, przyjeżdżając na krótko do Polski, chce jeść tylko pierogi i bigos. Mnie tak teraz brakuje włoskiej pizzy.

Jasne, że pizza.

W pierwszym z brzegu lokalu z pizzą wszystko jest włoskie, poza obsługą.

– *Odkuda ty prijechała?*

Tomek już wyczuł, że to Słowianka.

– *Ja z Omska.*

Dziewczyna z Syberii jest kelnerką w Mediolanie, w knajpie być może prowadzonej przez Wietnamczyków. A polscy klienci, zamawiając pizzę, mówią do niej po rosyjsku. To się nazywa globalizacja.

Pizza jest pyszna. Kosztuje 9 euro i wydaje się olbrzymia. Jest jednak wykonana na tak cienkim cieście, że mimo sporych rozmiarów czuję, że mógłbym dać radę drugiej. Żałuję tylko, że nie ma włoskiego piwa. Bez sensu pić jakiegoś heinekena.

Ponieważ jest jeszcze wcześnie, wracamy do hotelu z nastawieniem, że wyjdziemy na nocny spacer. Musimy sprawdzić, o której godzinie odchodzi pociąg do Werony, tak bowiem zdecydowaliśmy za dnia. Chcemy dać szansę mediolańskiemu dworcowi. No i trzeba kupić bilety, żeby rano nie było nerwówki. Można to zrobić w biletomacie, a można też klasycznie, przy okienku. Oczywiście wszędzie da się płacić kartą. Proste jak konstrukcja cepa. Kilka minut później fajrant. Wszystkie punkty planu zostały zrealizowane.

– Chodźcie jeszcze na miasto, godzina wciąż młoda.

Nikt nie ma ochoty na sen. Znajdujemy zatem knajpę, która nie ma żadnych gwiazdek. Znów rosyjska mowa. Widzę, że Mediolan opanowali nie tylko turyści z byłego ZSRR. Także jeśli chodzi o miejsca pracy, panuje tu podobne oblężenie co na początku lat dziewięćdziesiątych w Londynie, kiedy Polacy, wśród nich ja, rzucili się na zarobek w funtach.

Lokal jest bardzo niskiej klasy i właśnie dzięki temu można posmakować odrobinę mediolańskiego stylu życia. Rodowity Włoch w wymiętym garniturze zajada spaghetti, oglądając mecz. Obsługa głośno komentuje bramki, wybuchając co chwila feerią włosko-rosyjskich przekleństw. To mnie przekonuje do zostania. Podobnie jak w Paryżu, włoskie knajpki są naprawdę fajne. Ta poprzednia może spodoba się Japończykom, ale klimatem odznaczają się właśnie takie przybytki. Jest głośno, wesoło i nikt nie przejmuje się zakazem palenia. *Dolce vita.*

W hotelu nie ma znajomej Chinki, teraz siedzi Chińczyk. O ile ona jeszcze rozumiała trochę po angielsku, o tyle ten nic

nie kuma.

– Skąd ty jesteś? – pyta od progu Tomek.

– Z Pekinu – porusza szybko powiekami.

– No i bardzo dobrze. My z Warszawy.

Dawno nie słyszałem takiego suchara, ale wszyscy się śmieją. Chińczyk też, choć chyba nie zrozumiał żartu. Może lepiej.

Idziemy spać w dobrych humorach, mimo że rano trzeba wstać skoro świt i mimo że czytam najgorszą powieść, jaką mogę sobie wyobrazić. A szczególnie irytujące u bohaterki *50 twarzy Greya* jest to, że co kilka kartek mówi: „O, święty Barnabo". Nie szkodzi, nic mnie dziś nie ruszy. Mediolan ma miejsce w moim sercu. Co prawda jest ono już mocno wypełnione, ale dla takiego skarbu przestrzeń musi się znaleźć. Podobnie jak dla Paryża, tylko go liznąłem, ale mam ochotę na więcej. A to znaczy, że tu jeszcze wrócę. Jak Schwarzenegger w *Terminatorze 2*.

Podsumowanie:

Mediolan jest piękny i gościnny. Nigdzie nie spotkałem się z jakimikolwiek objawami braku sympatii czy niechęci. Żadnych problemów językowych. Każdy jakoś mówi po angielsku, a jak nie, to przynajmniej zostają gesty. Najczęściej słyszałem mowę włoską i rosyjską. Sporo obywateli z byłego ZSRR przyjeżdża na zakupy albo pracuje we Włoszech. Nie wnikam, czy legalnie, czy też nie. Nikomu to nie przeszkadza. Ja lubię kulturowe miksy.

Co kręci:

Dwa razy Z: zabytki i zakupy, a więc katedra, Galeria Wiktora Emanuela oraz outlety, które zaczynają się już od Bergamo. Nie dziwię się teraz rodakom, którzy jeszcze niedawno z przekąsem mówili: „Ja się zaopatruję w ciuchy w Mediolanie". Tak naprawdę płacą mniej niż za dojazd do łódzkiej Manufaktury, tylko nie chcieli się tą wiedzą podzielić. Dzielę się więc ja.

Co wkurza:

Mało sklepów spożywczych, przynajmniej w centrum, a dla taniego turysty to rzecz niezbędna. Oczywiście pewnie są, jak wszędzie, ale ja w trakcie całego pobytu znalazłem tylko dwa. Jeden to Billa, znany kiedyś z Polski, oferujący dużo przecen i najtańszą wodę mineralną, którą kupiłem już za 0,20 euro. Drugi, bez nazwy z zewnątrz, udawał sklep alkoholowy, dlatego wszedłem. Okazało się, że można w nim kupić także pieczywo i parówki. Dlatego lepiej sprawdzić sobie na Google Maps, czy w pobliżu miejsca, w którym będziesz, da się kupić żarcie.

Cennik:

- Dojazd z lotniska: 5 EUR w jedną stronę.
- Chleb: 2 EUR.
- Woda mineralna: 0,40 EUR.
- Coca-cola, 2 litry: 2 EUR.
- Piwo: 1,20 EUR.
- Wino: 3 EUR.
- Kolacja na mieście (pizza plus piwo lub wino): około 15 EUR.
- Czekolada: 1,50 EUR.
- Chipsy: 1,20 EUR.
- Kawa na mieście: od 1,50 EUR.

PODRÓŻ 10

W POSZUKIWANIU JULII

miejsce
Werona

cel podróży
walentynki

czas podróży
2 godziny

cena biletu
26 złotych

Ponownie w ciągu 48 godzin widzę dworzec w Mediolanie. Przed chwilą pogrążony w ciemności, z nastaniem świtu pokazuje światu monumentalne oblicze. Z tej perspektywy coraz bardziej kojarzy mi się z amerykańskim kinem. Dopiero potem czytam, że jego projekt był wzorowany na Union Station w Waszyngtonie. Stąd skojarzenie. Sporo filmów tam powstało.

Na tablicy w holu głównym wyświetlone kilkadziesiąt połączeń w najbliższych dwóch godzinach. Trzeba poświęcić chwilę, żeby dostrzec poszczególne pozycje. Wenecja, Cremona, Neapol. Wszystkie mają romantyczne nazwy.

Najbardziej nastrojowo brzmi Werona. Kurs na nią wypada mniej więcej co pół godziny. Czas podróży: około dwóch godzin. Cena: porównywalna z Polską. Jezu, jak nas to PKP kosi.

– Można wytrzymać.

– Dwie godziny jazdy to niewiele. A do odjazdu zostało ponad 15 minut. Mamy jeszcze chwilę, żeby coś zjeść.

Hania uprzedzała jeszcze w Polsce, że w trakcie tego wyjazdu postara się zrobić kolejny odcinek. Werona była naturalnym rozwiązaniem, oddalona od Mediolanu o zaledwie 160 kilometrów, tyle co Kielce od Warszawy. Można się wybrać na jedno popołudnie i wrócić wieczorem. Wystarczy kupić najtańszy bilet i zamiast do ekspresu, wsiąść do *regionale*, takie nasze TLK, i dojechać do stolicy zakochanych za parę euro.

Pociągi do Werony kursują bez opóźnień, a pełny rozkład można znaleźć na **www.trenitalia.it**. Strona ma wersję angielską, jest czytelna i dzięki niej można zjeździć cały kraj wzdłuż i wszerz. Wybierając tanie połączenia, podróżnik jest w stanie skleić bilet z poszczególnych odcinków i zapłacić za niego w Sieci. Kiedy chciałem tak jechać z podwarszawskiego Piaseczna do podkieleckiego Zagnańska, trzy razy uiszczałem opłatę manipulacyjną.

W wersji włoskiej nie muszę się obawiać o podobne kłopoty. Po prostu klikam żądany kierunek i kupuję bilet łączony, niezależnie od tego, ile to odcinków. A nawet jeśli nie jestem zdecydowany, mogę zrobić to samo z pomocą biletomatu. Cena nie różni się od tej w Internecie, więc pozostaje tylko kwestia zarezerwo-

wania sobie kilku minut na dokładne klikanie żądanej miejscowości. W najgorszym wypadku trzeba się zdać na starą dobrą kasę, nie ma bólu.

Nasze koleje dzieli przepaść, mimo że słyszałem, iż włoskie również potrafią się mocno spóźnić. To jest jednak północna część kraju i transport chodzi tu niemal z austriacką precyzją.

Na dolnym poziomie dworca jest kawiarnia czynna od świtu. Nawet nie trzeba w niej siadać. Kawę pije się przy stołach na stojąco, jak w dawnych barach szybkiej obsługi. Do jedzenia – słodkie bułki, duże, małe, z makiem, lukrem. Cieszą się wielkim powodzeniem. I dobrze. To pyszny i energetyczny posiłek. Oczywiście, że kaloryczny, ale nawet puste kalorie istnieją po coś. Do tej pory wzbraniałem się przed jedzeniem rano czegokolwiek słodkiego. Teraz widzę, że to ma sens. Dawka cukru na przebudzenie działa jak najmocniejszy energizer. I bez chemii, którą zawierają napoje. Po prostu cukrowy kop, który na kilka godzin pozwala zwiększyć obroty. Południowe narody może bywają leniwe, ale na pewno nie są głupie. Zresztą z tym lenistwem to też mit. Wszyscy tutaj uwijają się jak w ukropie.

Wracamy pod tablicę, by się upewnić, że w rozkładzie nie nastąpiła żadna zmiana. Wszystko się zgadza. Nadchodzące połączenia są wypisane w czytelnym miejscu. Ekspres jedzie szybciej, ale za to jest dwa razy droższy. Nikomu nie uśmiecha się płacić 21 euro w jedną stronę. Za to połowa sumy to wydatek do zaakceptowania – dokładnie 11.30. Gdybyśmy wybrali połączenie jeszcze wcześniej, cena spadłaby do 9 euro. Nie ma sensu jednak zrywać się bladym świtem, bo plątalibyśmy się na miejscu jak wycieczka z poprawczaka, zanim otworzą pierwszą kafejkę.

Cena zmienia się w zależności od atrakcyjności kierunku. Znany patent na zwiększenie elastyczności. Pierwszy raz pokazały mi to szwedzkie koleje. Im wcześniej kupiony bilet, tym niższa cena, do tego dochodzi jeszcze mniej lub bardziej atrakcyjna godzina odjazdu. Zupełnie inaczej niż w Polsce, gdzie cena do niedawna była solidna jak mauzoleum Lenina. Może w końcu eksperci od promocji pójdą po rozum do głowy.

Dworzec w Mediolanie ma wspólną cechę z Zakopanem albo dworcem Keleti w Budapeszcie – tory nie przebiegają przez niego, tylko stąd się zaczynają, przynajmniej z naszego stanowiska. Dzięki temu nasz pociąg stoi już od 20 minut. Na wszelki wypadek postanawiam się upewnić.

– *Scusi, Verona? Si?* – pokazuję palcem na pociąg.

– *Si.*

Tośmy sobie pogadali. Jak Jaś Fasola, który na wakacjach we Francji ciągle odpowiadał: *Gracias*. Ale przynajmniej mam pewność, że to właściwy kierunek.

Na kolejnej tablicy, już przy samym pociągu, wyświetla się komunikat o możliwych opóźnieniach kilku linii z powodu śnieżycy. Mój pociąg rusza jednak punktualnie.

Wagon jest zbliżony do naszych kolei podmiejskich. Wydaje mi się, że fotele są ciut lepiej wyprofilowane. Najważniejsze jednak, że nie ma tłoku. Siedzi zaledwie kilka osób: ciemnoskóre małżeństwo z jednej strony i trzy nastolatki, które najpierw trochę pogadały, a potem zasnęły. Za oknem monotonny krajobraz. Ale nawet gdyby były same pola, Alpy na horyzoncie dodają smaku. Jest dobrze. Wyjdę na strasznego śpiocha, ale łapię każdą chwilę na odpoczynek. Nie wiadomo, kiedy będzie następna.

Zasypiam. Mam ze sobą stopery ze Szwecji. Zapewniają mi spokój i pomagają się oderwać. Teraz mnie nic nie obudzi. Obiecuję to sobie solennie. I przez kilka minut nawet w to wierzę.

– Dlaczego bilety są nieskasowane? – głos konduktora wyrywa mnie ze słodkiej drzemki. Dlaczego nie podobają mu się bilety?

– Bilety nie są skasowane.

– Trzeba je kasować? Kupiliśmy w kasie.

Konduktor patrzy na nas uważnie.

– *English?*

– *Polish.*

– Turyści – wznosi oczy do nieba, jakby chciał powiedzieć „skaranie boskie z nimi”.

– Bilety muszą być skasowane przed podróżą. Na dworcu są automaty.

– Nie wiedzieliśmy, przepraszamy.

Konduktor zakreśla bilety, wzdychając nad wyraz przesadnie. Oddaje je Hance i idzie dalej. Pewnie co jakiś czas przechodzi tę samą sytuację. Zastanawiam się jednak, czy polski konduktor też by odpuścił. Pewnie wszystko zależy od człowieka, mam jednak wątpliwości, zbyt wiele najeździłem się PKP. Nie ma co kusić losu. W drodze powrotnej musimy o tym pamiętać. We Włoszech nie wystarczy kupno biletu, trzeba go jeszcze skasować! Kasowniki są przed wyjściami na perony, czasem już w hali głównej. Lepiej o tym pamiętać.

Przystanek Werona.

Patrzę za okno, bo wydaje mi się, że zmienił się krajobraz. Do tej pory ciągnęły się pola, teraz pojawiają się pierwsze większe zabudowania. Dojeżdżamy. Pociąg leniwie wjeżdża na stację, rozwiewając poranną mgłę. Wyruszyliśmy, kiedy jeszcze było ciemno, teraz dochodzi dziewiąta.

W porównaniu z Mediolanem dworzec w Weronie wygląda jak Dawid przy Goliacie. Może nie jest mikroskopijnych rozmia-

rów, ale widać od razu, że mam do czynienia z mniejszą metropolią. Jak nie przymierzając w Radomiu czy w Kielcach.

Werona, fontanna. Very Werona.

Wychodzimy przez główne wyjście. Do centrum miasta jest kilka kilometrów – najlepiej pokonać je autobusem. Prowadzą tam niemal wszystkie linie. Na wszelki wypadek dopytuję stojących na przystanku. Hania w tym czasie kupuje bilety w kiosku. Mają tylko 90-minutowe za 1,30 euro. Podróż będzie trwała zaledwie jedną trzecią tego czasu, ale nie mamy wyboru.

Autobus jest zatłoczony, jedzie się na stojąco. Widocznie dużo osób w tym czasie próbuje dotrzeć do centrum. I wlecze się jak osobowy do Koluszek. Za to widoki wynagradzają ścisk. Kilka minut po odjeździe z dworca widać już zarysy starego miasta. Urzekają majestatycznym pięknem. Mógłbym rozbudować wypowiedź, ale i tak będzie oznaczała to samo. Po prostu piękne.

Dzięki Szekspirowi Werona jest dziś ośrodkiem szczególnie znanym i podziwianym na świecie. Słynny dramaturg nigdy jej nie odwiedził, ale poznał dogłębnie poprzez lekturę i badania, które go skłoniły do napisania jednego ze swoich najsłynniejszych dzieł: *Romea i Julii.*

Nie tylko w Rzymie jest Koloseum – w Weronie nosi nazwę Arena.

Szekspir wyobrażał sobie Weronę jako Wenecję bis, z kanałami, gondolami i wodą dookoła. Trochę przestrzelił, być może będąc zainspirowanym przez weneckich malarzy goszczących na londyńskim dworze. Nie szkodzi, Karol May też nie był na Dzikim Zachodzie, a jednak potrafił stworzył postać Winnetou. Szekspir musiał darzyć Weronę szczególnym uczuciem, bo jeszcze kilku bohaterów jego dzieł właśnie stąd pochodziło, między innymi Petruchio z *Poskromienia złośnicy*. Nawet jeśli poeta pomylił się w opisie, i tak byłby zachwycony widokiem miasta. Wąskie uliczki, niesamowite balkony, na dole sklepy i kafejki, mnóstwo kafejek. To jest miejsce, które każdemu musi się podobać. Tak wygląda czysta piękna forma. Mijamy Arenę, a ja sprawdzam notatki.

– Wiecie, że właśnie za sprawą Szekspira na świecie jest obecnie aż 27 miejscowości o nazwie Werona? Są różne Werony amerykańskie, kanadyjskie i australijskie.

– A ile jest balkonów?

– Tego nie wiem.

– To może to jest TEN balkon?

– Na to wygląda.

Balkon jak balkon. Znajduje się w bramie, w samym centrum miasta. Prowadzi do niej barwna arteria pełna sklepów z pamiątkami. Nawet gdyby jakimś cudem ktoś nie mógł znaleźć drogi, na pewno zobaczy strzałkę z napisem: „La Casa di Julia". Najsłynniejszym bowiem i najczęściej odwiedzanym miejscem Werony jest dom Julii przy Via Cappello 23, ze sławnym balkonem.

Żeby pod nim stanąć, trzeba przejść przez bramę. W środku znajduje się mały dziedziniec wybrukowany kocimi łbami. Z prawej strony jest wejście do muzeum, z lewej – do sklepu z pamiątkami. Z kolei na wprost wznosi się ściana z siatką, do której przypięto stosy kłódek, z których każda zawiera inicjały lub imiona oraz datę. Kłódek jest coraz więcej, tak jak przybywa zakochanych. Same kłódki można kupić na miejscu.

– Bierzesz kłódkę?

– Daruję sobie. Na razie przymknę się chwilę na kłódkę. – Przyglądam się fasadzie budynku. – Muszę się rozejrzeć, co tu w ogóle jest ciekawego. – Podwórko jest małe, ale przytulne. Gdyby odrzucić kontekst historyczny, trudno byłoby dostrzec w tym miejscu coś wyjątkowego. Dopiero świadomość, że to miejsce uświęcone przez legendę, literaturę i kod kulturowy, cel pielgrzymek z całego świata, sprawia, że spoglądam na niego z innej perspektywy. Poza tym w tym momencie na balkonie pojawia się ładna dziewczyna o orientalnej urodzie. To przeważa szalę.

Balkony z Werony.

Gdzie jest Julia?

Julia pod balkonem.

– Uśmiech, uśmiech. – Ludzie robią jej zdjęcia, a za chwilę znikają w wejściu. Sam jestem poproszony o wykonanie kilku fotek. Pary ustawiają się na pomniku Julii, chwytając ręką za pierś.

– To jakieś gusła? Przepowiednia czy co?

– Jeśli potrzymasz ją za pierś i wypowiesz życzenie, na pewno się spełni.

– Na pewno?

– Na bank, wszystkie przewodniki o tym mówią. No to chyba nie mogą kłamać.

Dwa razy nie trzeba mi tego powtarzać. Ściągam rękawiczkę i łapię za kawałek zimnego metalu. Teraz z kolei ludzie robią zdjęcia mnie. Nie przeszkadza mi to. Myślę o rzeczy, na której najbardziej mi zależy, i wypowiadam ją w myślach. Dla pewności powtarzam życzenie, to zaledwie kilka zdań.

– Zamówiłeś?

– A jakże. – Ustępuję miejsca następnej parze. Rzeźba nie ma chwili wytchnienia, co chwila wstępują na nią kolejni turyści. Fajna zabawa, na pewno fajna pamiątka. I nie ostatnia, bo za kolejną rzecz warto wydać kilka euro. Wchodzę do domu Julii, czyli tak naprawdę do muzeum.

Wejście kosztuje 3 euro. Czynne do 19.30.

Za moment sam jestem na balkonie i teraz spoglądam z góry na dziedziniec. Jeśli nie ma aktualnie żadnej kandydatki na Julię, to ja nią będę. Wchodzi nowa grupa, za nią jeszcze następna – to naprawdę jest miejsce pielgrzymek. Filmuję widoki kamerą HD – taką wolno bez obaw. Z biletem nie ma żadnego problemu, a cena dotyczy nie tylko samego balkonu, lecz także całego muzeum. Jest zatem sala, w której można wysłać mail do Julii, oraz komnata z filmowym łóżkiem kochanków, które wykorzystał Franco Zefirelli w filmie z 1968 roku. W środku ze zdziwieniem stwierdzam fakt, że muzeum jest bardziej przestronne, niż wydaje się z zewnątrz. Panie z ochrony są miłe, nie pozwalają tylko nosić plecaka na ramieniu. Trzeba go mieć przed sobą z przodu albo trzymać w ręce jak siatkę.

Razem z Hanką wymieniamy się kamerą. Szkoda, że nie ma więcej czasu, żeby sobie wszystko dokładnie przeczytać. Mimo to udaje nam się obejrzeć każdy eksponat.

Kiedy kilkadziesiąt minut później wychodzimy ponownie na światło dzienne, Tomek już się niecierpliwi. Został na zewnątrz i nie przypuszczał, że będzie to trwało ponad pół godziny. Sam tego nie przewidziałem, ale skoro już zapłaciłem za bilet, chcę zobaczyć wszystko po kolei. Tak jak następny punkt wycieczki.

Puk, puk. Zastałem Romea?

Bo teraz musimy zlokalizować kolejne mieszkanie.

W niewielkiej odległości znajduje się dom Romea. Dokładnie przy Via Arche Scaligere. Tak pokazuje mapa. Jednak niełatwo go znaleźć. Większość zapytanych werończyków kieruje nas ponownie pod dom Julii. Myślą, że naiwny turysta pomylił nazwy. Dopiero kiedy zawzięcie tłumaczę, że u Julii już byłem, a teraz chcę znaleźć dom jej kochanka, rozkładają bezradnie ręce. Wreszcie za którymś podejściem z rzędu udaje mi się określić jakiś kierunek. Dom Romea stoi kilkaset metrów od rynku, tak jak dom Julii. Tyle że z drugiej strony.

– To jest to?

– Cholera wie. Przecież tu wszystko pozamykane.

Hanka sprawdza jeszcze raz opis na mapie. Adres się zgadza. Na rogu usadowił się spory dom przypominający fortecę. Nie ma żadnej tabliczki ani strzałki, tylko oko kamery w domofonie. Na horyzoncie pojawia się samotny mężczyzna, może będzie wiedział coś więcej od poprzedników.

– *Scusi*, czy to na pewno Casa di Romeo?

– Tak jest, *certo*. – Brodacz chce mnie ominąć, ale zastępuję mu drogę. Zamierzam skorzystać z okazji i dowiedzieć się

wszystkiego.

– A dlaczego nie można wejść?

– Bo to jest prywatna rezydencja.

– Ach, czyli nie zrobiono tu muzeum?

– Nie – uśmiecha się brodacz – chociaż sporo ludzi przychodzi tutaj z aparatami robić zdjęcia. Jednak żeby wejść do środka, trzeba być znajomym gospodarza.

W 2000 roku Werona została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO.

Wreszcie trafia się ktoś, kto wie, co mówi. A o legendzie związanej z tym miejscem przypominają napisy na bramie. Wejdą tylko przyjaciele i rodzina właściciela. Pięknie, wiem od tej pory, jak tu trafić. I że legenda jest podtrzymana. Mimo wszystko musimy obejść się smakiem.

– À propos smaku, najwyższy czas coś zjeść.

No tak, nasze podróże odmierzają drzemki i posiłki. Zużywamy tak dużo energii, że aby należycie funkcjonować, co jakiś czas musimy ładować akumulatory. Słodkie jedzenie z rana dawno zostało spalone. Teraz przydałoby się coś konkretnego.

– Nie mam preferencji, ale jeśli będzie to ładny lokal, jestem za.

Wejdziemy do pierwszej lepszej knajpy, ale pod warunkiem, że będzie oblegana przez mieszkańców. Zasada numer jeden jedzenia w obcych krajach: jedz nie tam, gdzie siedzą Japończycy z aparatami, tylko tam, gdzie miejscowi. Jeśli oni wybrali to miejsce, to znaczy, że nie może być złe.

Obiekt pasujący do założeń znajdujemy 300 metrów dalej. Pizzeria, mimo przedpołudniowej pory, jest wypełniona ludźmi. Kelner prowadzi nas do sali na górze, skąd widać panoramę rynku.

– To co, pizza?

– Jasne, wreszcie sprawdzę, jak smakuje dobre włoskie ciasto.

– Ale nasz budżet nie pozwala na szaleństwo.

– No to umówmy się, powiedzmy na 10 euro. Jeśli uda się zjeść w tej cenie, to nie będzie większej różnicy niż w Polsce.

Zresztą ciasto podano już na samym początku. Cieniutkie porcje wymieszane z pieczywem uzupełniono o oliwy, pachnące tak apetycznie, że umarłego poderwałyby z grobu. Pierwszy raz próbowałem bawić się tak jedzeniem dzięki Jackowi Pałasińskiemu, wytrawnemu znawcy włoskiej kuchni. Od tamtej pory nie przepuszczam okazji, żeby umoczyć odrobinę cienkiego wypieku w aromatycznej oliwie.

Pizza jest przepyszna. W Polsce też zdarzało mi się trafić na dobry gatunek, ale magia miejsca sprawia, że czuję się ugoszczony po królewsku. No i niemal udało mi się zmieścić w budżecie. Warto było spróbować wina – domowe najwyborniejsze. I zamiast kieliszków opłaca się zamówić karafkę.

Cena. Czarno na białym.

– Proszę bardzo, oto rachunek na 11 euro.

Pokazuję go do kamery. Cena nie poraża, choć odrobinę przekroczyłem założenie. To jednak kolejny dowód na to, że można bez obawy stołować się za granicą. To już nie te czasy, kiedy turysta z Polski skrzętnie przeliczał miedziaki, żeby przekonać się, że nie może sobie pozwolić na normalny posiłek w restauracji. Może, a nawet powinien. Zresztą, gdyby poszukać, znajdzie się jedzenie po znacznie niższej cenie, więc nawet malkontenci nie powinni wybrzydzać. Wystarczy przejść się w pobliże rynku. My przez niego wracamy. Powoli robi się szaro, a wcześniej przez chwilę padało. Na szczęście Werona wygląda pięknie przy każdej pogodzie.

Teraz czas na grób Julii. Znajduje się w krypcie kościoła San Francesco al Corso. Pomysłodawca chciał nadać temu miejscu wygląd odpowiadający oczekiwaniom romantycznych turystów. I zarobić na sentymencie. Sarkofag wykonano zatem z czerwonego marmuru i w 1937 roku ustawiono w podziemiach kościoła.

– No i jak ci się to widzi?

– Bo ja wiem? Do filmowania słabe. Światła za mało.

Grobowiec Julii. Pogrzebana miłość.

Tomek krzywi się z niezadowoleniem. Nie pozwolono nam wnieść dużej kamery. Kasjerka nawet nie chciała słyszeć o takiej możliwości. Na małą się zgodzili, ale bez lampki oświetlenie faktycznie siada. Mimo to, udaje nam się znaleźć jakiś sensowny kadr, żeby pokazać grobowiec. I tyle, bo właściwie nie ma tu nic więcej. Magia krypty polega na tym, żeby surowością wnętrza przypomnieć o sile nieszczęśliwej miłości. A czy to rzeczywiście oryginalne miejsce? Cóż, tak jak oryginalny jest Lajkonik na Rynku w Krakowie. Są źródła historyczne, ale większość to legenda, i niech tak zostanie. Nieważne, czy to naprawdę grobowiec Julii. Na pewno spora atrakcja, na którą turyści nie pożałują kasy.

Tabliczka „Grób Julii”.

Po drugiej stronie ulicy, kilkaset metrów od grobowca mieści się urocza kafejka. Turystów w niej jak na lekarstwo, jest za to sporo miejscowych. Czyli kawa musi być znakomita. Espresso kosztuje zaledwie 1,50 euro. Za 2 euro można już się napić dużej cappuccino albo latte. Więcej płaciłem w Coffee Heaven w Złotych Tarasach na Centralnym.

– *Buongiorno* – uśmiecham się do sprzedawczyni. Pokazuję, że chętnie nagramy jej lokal w kamerze. Nie ma nic przeciwko temu. Nikt we Włoszech nie burzy się z powodu kamery. To się nazywa przyjazne nastawienie. A kawa rzeczywiście jest świetna. Piję espresso ekspresem i zbieramy się na dworzec. W autobusie tłok. To pora wyjść z pracy, więc w pojeździe sporo miesz-

kańców, a także turystów z plecakami. Po jakichś 20 minutach rozpoznaję znajomą bryłę dworca.

– No to spokojnie zdążyliśmy. Teraz tylko wygodnie się rozsiąść.

Pociąg powrotny też jest przepełniony. O tej porze wielu ludzi wraca z pracy, więc nie mamy co liczyć na miejsca obok siebie. Udaje nam się jednak rozlokować w komplecie. Tomek zapada w sen. Ja jeszcze grzebię chwilę w notatkach, przy okazji doczytuję *Natychmiastową akcję* Andy'ego McNabba. Facet wstąpił do Royal Green Jackets w wieku 16 lat. Walczył w niejawnych misjach na całym świecie, a na koniec opisał to językiem, którego nie powstydziłby się Tom Clancy. Fascynująca lektura, nawet jeśli szatkowana na kawałki, dzielone przystankami podróży.

Spoglądam na zegarek i nie bez satysfakcji stwierdzam, że znów jedziemy zgodnie z planem. Fajna ta Werona. Obiecuję sobie, że przyjadę tutaj o innej porze roku. Ale jak zwykle, wrócę przy każdej okazji, jak tylko pojawi się tani bilet. Nie znalazłem Julii, czasem jednak nie chodzi o to, żeby złapać króliczka, tylko żeby go gonić.

Podsumowanie:

Werona nie jest dużym miastem, co traktuję jako zaletę. Na zwiedzenie wystarczy jeden dzień, zatem nawet w trakcie kilkudniowego wypadu do północnych Włoch można spokojnie podjechać tam pociągiem, podobnie jak do położonej nieco dalej na zachód Wenecji. Tak więc lotnisko w Bergamo to znakomita baza wypadowa.

Co kręci:

Tak samo jak w innych włoskich miastach poczucie, że życie może być piękne. Werona ma jednak tyle skojarzeń historyczno-literackich, że właśnie tu odnosi się wrażenie bycia w urzekającym miejscu. Wydaje mi się, że ceny w lokalach są nieco wyższe niż w Mediolanie, ale to dotyczy restauracji w samym

centrum. W bocznych uliczkach na pewno można znaleźć tańsze wyżywienie, a ludzie są przyjaźni.

Lokalizacja pozwala łatwo dojechać z tanich lotnisk, a przy dłuższym pobycie zwiedzić także pobliską Wenecję albo zobaczyć jezioro Garda.

Co wkurza:

Dojazd do miasta jest raczej nieciekawy. Autobus był przepełniony i jechał w żółwim tempie. Nie ma możliwości kupna biletów na przystanku, więc warto o tym pamiętać w głównej hali, inaczej trzeba się wracać.

Może tylko muzeum zwane grobem Julii. Wstęp kosztuje ponad 5 euro, a nic w nim nie ma – poza grobem oczywiście. Ale ponieważ to jest miejsce domniemane, mam wrażenie, że trochę dałem się naciągnąć. Z drugiej strony, skoro jest się już w magicznym miejscu, warto wydać trochę kasy na magię.

Cennik:

- Obiad w restauracji: 11 EUR.
- Pizza na mieście: około 7–8 EUR.
- Chleb: 2 EUR.
- Coca-cola, 2 litry: 2 EUR.
- Piwo: 1,20 EUR.
- Wino: 3 EUR.
- Woda mineralna: 1 EUR.
- Czekolada: 1,50 EUR.
- Pamiątki na bazarku: od 1–2 EUR.
- Bilet komunikacji miejskiej, 90 minut: 1,30 EUR.

PODRÓŻ 11

WIELKIE ŻARCIE

miejsce

Rzym

cel podróży

wyskok na pizzę

czas podróży

2 godziny

cena biletu

26 złotych

A może zjemy coś dobrego?

Uśmiecham się, bo określenie „coś dobrego” najczęściej oznacza w naszym języku „szybka potrawa”. Bez zwłoki ripostuję.

– Czyli co, znowu pizza?

– Ale nie jakaś pizza. Dobra pizza.

Hanka, podobnie jak ja, jest amatorką dobrej kuchni. Słusznie, bo jeśli nawet są to proste potrawy, to odpowiednio podane, smakują o każdej porze roku.

– To może od razu powiesz, co masz?

– Jest promocja na Rzym. Wylot we wtorek, powrót w środę, 26 złotych.

Czyli tak naprawdę jedno popołudnie i wieczór. Co prawda, ostatnio zrobił się włoski maraton, ale do tej pory zwiedzaliśmy północną część kraju, a stolica leży 600 km na południe, to zupełnie inny region. Rzadko trafia się taka gratka, poza tym łatwo zamieniać się dyżurami w pracy. Nie trzeba mi tego powtarzać dwa razy.

– Bierzemy.

Malownicza uliczka.

Nauczony poprzednimi zakupami, szybko klikam kolejne punkty zamówienia. Hania w tym czasie ustala nazwisko operatora, który dysponuje wolnym terminem. Po chwili mamy rezerwację dla nas i Krzyśka. *Veni, vidi, vici*: przybyłem, zobaczy-

łem i… oczom nie wierzę. Tak wielka atrakcja za tak niewielkie pieniądze. Na pewno coś nie wyjdzie. A jednak udaje się wszystko pospinać.

Typowa wyprawa do Rzymu uwzględnia obejrzenie najważniejszych zabytków i wizytę w Watykanie. Piękne, wartościowe, niezapomniane, ale wymagające czasu. To jednak nie ma być typowa podróż. Chcemy pojechać na pizzę i kawę. Po prostu. Zarazem udowodnić, że zamiast tracić kasę na taksówkę do centrum miasta, można to zrobić w podobnej cenie w światowej metropolii. Czy nie fajniej jest jednego dnia być w pracy, a następnego rozkoszować się cappuccino w jednym z najpiękniejszych miejsc świata? I tak sobie latać co jakiś czas na kawkę i kolację? Przecież to marzenie, które staje się rzeczywistością.

Wyobraźcie sobie dialog przez telefon: „Cześć, stary, wpadniesz wieczorem na kręgle?". „Dziś nie, dziś mam zamówiony stolik w Rzymie…". Za wiele rzeczy można w życiu zapłacić kartą, ale cisza po drugiej stronie słuchawki – bezcenna. Mnie wydaje się to absolutnym odjazdem. Rano być jeszcze w robocie w stolicy Polski, a wieczorem zajadać się w stolicy Włoch. Wpaść jak wicher na jedno popołudnie to coś dla mnie. W końcu jestem z Kielc, miasta, w którym nieźle wieje.

Zamienimy wieczne miasto na wietrzne miasto.

Lot z Warszawy trwa dwie godziny. Wylot o 11.30, powrót 14.30 następnego dnia. W sam raz, żeby zrealizować plan i nie zrywać się bladym świtem. I będąc wypoczętym i zrelaksowanym, zapomnieć o gonitwie i wyścigu szczurów. Dostosować się do miejscowych zwyczajów.

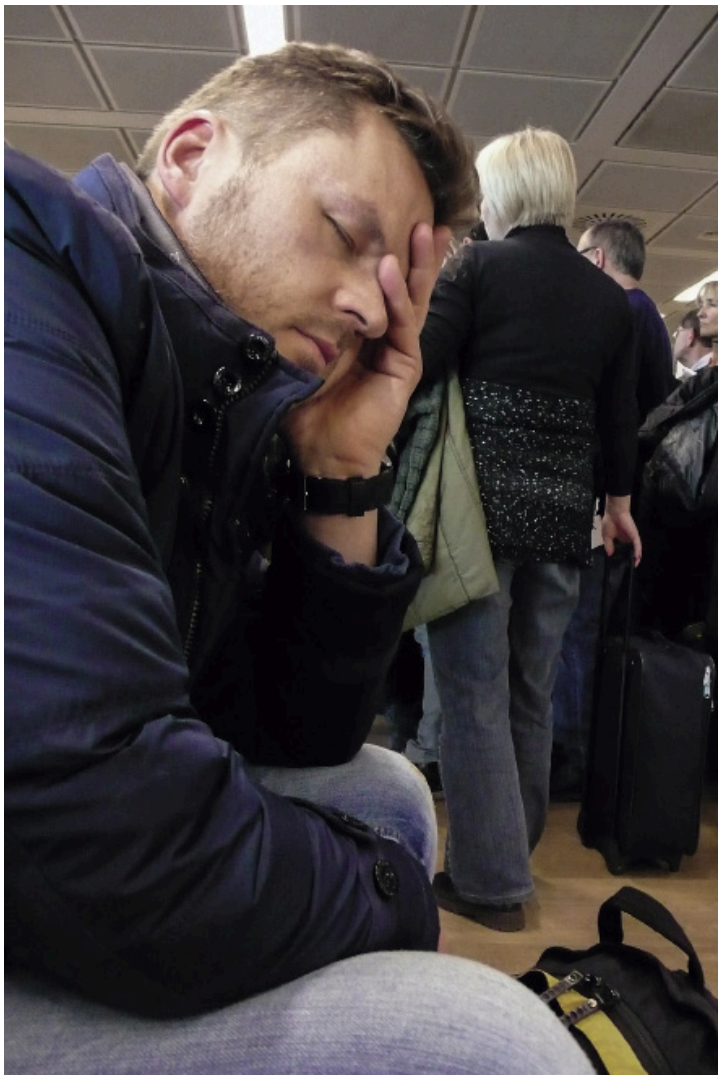

Sennik podróżnika.

Jak mówi przysłowie, jeśli jesteś w Rzymie, czyń jak czynią rzymianie. Będąc w jakimś miejscu, zachowuj się w nim tak jak inni. A ponieważ inni będą jedli i pili, mam zamiar iść w ich ślady. Na razie idę w ślady Hani i tradycyjnie pompuję poduszkę. Ostatnio zasypiam w każdym środku lokomocji, szczególnie w samolotach. A odkąd przywiozłem ze Szwecji parę znakomitych zatyczek, kompletnie izoluję się od otoczenia.

Czytam *Białą gorączkę* Jacka Hugo-Badera, fascynujący zapis podróży ładą nivą po pijanej Rosji, której nie znamy. Bardzo chciałbym zobaczyć postsowieckie republiki islamskie, Syberię,

dotrzeć aż do Władywostoku. Mimo że z opowieści wyłania się często smutny obraz ludzkiej rozpaczy, zaprawionej bimbrem i spirytusem, wszystko się klei w fascynującą całość.

Na razie jednak kleją mi się również powieki. Za kilka chwil zasypiam jak niemowlak. Nie zawsze jestem dobrze zorganizowany, ale zawsze uważam sen za najcenniejszy skarb. Między innymi dlatego, że jest tak ulotny.

– Dolecieliśmy.

Lotnisko Fiumicino nosi imię Leonarda da Vinci. Nikt jednak nie używa tej nazwy. Podobnie jak na Lotnisko Chopina w Warszawie wszyscy mówią Okęcie, ku niezadowoleniu pracowników, tak tu Fiumicino to… Fiumicino.

To główny i największy port lotniczy Włoch, oddalony o 30 kilometrów od Rzymu. Do centrum miasta prowadzi autostrada A91. Można wybrać pociąg – „Leonardo Express" kursuje co 30 minut i jedzie zaledwie pół godziny. Nie ma żadnych przystanków po drodze, ale bilet kosztuje aż 11 euro.

Nie ma co przepłacać.

Za taką cenę możemy jechać w obie strony autobusem. Będzie trochę dłużej, ale za to jest szansa na lepsze widoki. Podobnie jak w przypadku pociągu, przystankiem końcowym będzie dworzec Termini.

Jest kilka linii, najpopularniejsza to Terravision, znana już z podróży do Londynu i Mediolanu. Na jej stronie można kupić bilety jeszcze w Polsce. Wyjdzie taniej, ale nawet jeśli kupuje się bilet w autobusie, cena wyniesie tylko 5 euro. Inni operatorzy, jak Cotral czy Sitbus, zaczynają kurs nawet od 3,90 euro, ale mogą również mieć wyższą cenę. Warto sobie poklikać w Internecie, a na miejscu pytać o cenę i wybrać najniższą. To nie Polska, że jest jeden autobus, a jak ci się nie podoba, to łaski bez. To Włochy, z których czasem się śmiejemy, że takie chaotyczne i leniwe, a mające znakomicie skomunikowane lotnisko.

– Niedrogo, nawet jak na polskie zarobki.

– No, a popatrz, taki PKS często kosztuje ponad 30 złotych.

– Dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie jeździ PKS-em, jeśli ma wyjście.

Podróżujemy prawie pustym autobusem. Przy wejściu biletерka pyta o kamerę, ale nie z podejrzliwości, tylko z ciekawości. Po doświadczeniach z Mediolanu i Werony wiem, że Włosi nie mają z tym żadnych problemów. To nie Anglicy, którzy się czepiają każdego publicznego filmowania. Tu jest południe Europy, tu przepisy nie rządzą ludźmi, tu się żyje.

Jest wczesne popołudnie. Trochę korków na drodze wjazdowej, ale za to pogoda jak marzenie. Piętnaście stopni. Ludzie siedzą w kawiarniach, lekko ubrani, niektórzy nawet w koszulkach z krótkim rękawem. Zapominam, że to koniec stycznia, mam wrażenie, że wiosna atakuje w pełni. W ogrodach kwitną drzewa mandarynkowe, na ulicach palmy mienią się odcieniami zieleni. Ja z kolei zielenieję z zazdrości.

– Boże, jak mi brakuje takiego klimatu.

– Nawet mi nie mów. Przecież to jest jakiś absurd, że u nas można się pochlastać z tej zamieci, a tu aż się serce raduje.

Faktycznie, nastawienie zmienia się pod wpływem pogody. Człowiek zapomina o zmęczeniu i czasem złym humorze. Wszystko jest jakieś takie radosne. Normalnie cieszę się jak młody pies z pcheł.

Roma Termini. Albo Stazione Termini. To nie tylko dworzec autobusowy, lecz także stacja przesiadkowa metra i główny dworzec kolejowy w Rzymie. Miejsce, które wszyscy tu kojarzą, więc w razie potrzeby każdy wskaże drogę. I łatwe do zapamiętania. Od kilku lat nosi imię Jana Pawła II, ale jeśli przyjdzie ci pytać o kierunek, samo słowo „Termini” wystarczy.

Roma Termini.
Rzymska „Warszawa Centralna”.

Z jednej strony znajduje się Piazza Dei Cinquecento, z drugiej – Via Marsala. Autobusy zatrzymują się właśnie przy tej drugiej alei. To określenie również warto zapamiętać, co nie będzie trudne, wystarczy skojarzyć z Marsa Alam, popularnym miejscem egipskich wypadów rodaków.

Przy tak krótkim pobycie noclegu najlepiej szukać w okolicy, będzie blisko z powrotem. Od hoteli aż się roi; właściwie każdy numer to inne miejsce noclegowe. Nie są drogie, a gwarantują, że w trakcie powrotu nie trzeba będzie z nich zasuwać kawał drogi z językiem na wierzchu.

– Nasz hotel to Lam Guesthouse. Jest na Via Vicenza 20.

– Wietnamski?

– Nie mam pojęcia. Czemu?

– Jakoś to Lam mi się kojarzy. Nieważne.

– To dwie uliczki dalej. Zaledwie kilkaset metrów.

Faktycznie. Obok Via Marsala jest Via Vicenza, a pod wskazanym numerem znajduje się domofon z informacją o hotelu. Po otwarciu drzwi moim oczom ukazuje się wąska klatka schodowa. I przedpotopowa winda, którą wjeżdża się na górę do re-

cepcji. Jeśli grupa liczy więcej niż dwie osoby, ktoś będzie musiał poczekać na drugi kurs, bo więcej do windy się nie zmieści. Albo drałować na piechotę. Na piąte piętro.

Może i hotel jest wietnamski, ale recepcjonista pochodzi z innej części świata. Założyliśmy się z Hanką, że to Hindus. Zresztą pytam go o to, bo rozmawiamy sobie o tym, skąd kto pochodzi.

– Bangladesz.

– Dhaka? – upewniam się. Niech wie, że trafił na ludzi, którzy trochę wiedzą o jego ojczyźnie. Zgadza się, jest ze stolicy. W ogóle bardzo sympatyczny gość. Sam wypełnia za nas papiery, więc w oczekiwaniu na zakończenie formalności wychodzę na taras. Widok od strony podwórka przesłania armia balkonów, z których zwisa bielizna.

– Takiego krajobrazu nie uświadczysz w drogich hotelach.

Hanka ma rację. Widok jest niepowtarzalny. Drogie hotele mają swoje atrakcje, ale tańsze stawiają na naturalizm. Czuję się jak na planie filmu Vittorio De Siki. Jak dla mnie neorealizm jest spoko.

Za trzyosobowy pokój płacimy 49 euro. Plus 6 euro jakiegoś miejskiego podatku. Czyli razem 55. To bardzo dobra cena. Zwłaszcza że pokój okazuje się naprawdę sympatyczny. Trochę wali stęchlizną, ale wystarczy otworzyć okno. Niedawno malowany, czysty i schludny, cieszy oko zmęczonego podróżnika. Jest nawet telewizor, ale bardziej interesują nas łóżka. Okazuje się, że zamiast trzech pojedynczych stoi na środku łoże małżeńskie, a obok ustawiono piętrowe. Wychodzi na to, że albo będę spał z kimś w tym pierwszym, albo wcisnę się w segmentowiec.

– Ja chcę od okna – Krzysiek już sobie rezerwuje skrawek własnego królestwa.

– A ja mogę na górze na piętrowym – Hanka też szybko dokonuje wyboru.

– No to ja spróbuję w tej wnęce. – Nigdy jeszcze nie spałem w piętrowym, najwyższa pora spróbować.

Na wszystko przyjdzie czas. Teraz trzeba zostawić co niepotrzebne i ruszać na miasto. Już dochodzi 16.00, jesteśmy głodni,

a przecież musimy nakręcić jak najwięcej, zanim zapadnie zmrok.

– Sporo tutaj meneli.

– Ale także wielu turystów, więc nie wywołuj dresa z bloku.

– Z moich wyliczeń wynika, że najlepiej będzie kierować się Via Cavour. W ten sposób dojdziemy do Piazza del Fico. Tam znajduje się Pizzeria Da Francesco. Polecił mi ją Jacek Pałasiński, który po Rzymie porusza się lepiej niż niejeden rodowity mieszkaniec.

– Zapamiętaj tę nazwę. Jedzenie jest znakomite, obsługa sympatyczna, a co ważne, stołują się tam tubylcy. To znaczy, że będą papierowe obrusy, dużo hałasu i radosne spożywanie po umiarkowanej cenie. Jeśli chcesz jeść jak rzymianie, idź do Francesco. Poza tym nie mają nic przeciwko, żeby wpakować się do środka z kamerą. Sam tam kiedyś robiłem reportaż.

Jackowi ufam w tych sprawach bezgranicznie. W redakcji skrzętnie zanotowałem dane, teraz porównuję je z mapą. Z hotelu to nieco ponad trzy kilometry. Spacerek, nie ma sensu nawet korzystać z metra. Zbyt wiele pięknych rzeczy po drodze do zobaczenia.

– Koloseum – jakie to oczywiste, będąc w Rzymie.

– Faktycznie.

Zabytek klasy zerowej.

Turystyczna arena.

Ledwo przechodzimy przez kilka przecznic, a już widać z boku jedno z najsłynniejszych miejsc świata. Pełno turystów z Azji, słychać także język rosyjski. Nie robimy magazynu turystycznego, ale będąc w Rzymie, nie można nie zwiedzić jednej z jego największych atrakcji. Oczy robią mi się jak wejście audio-video.

– Koloseum mogło pomieścić nawet 55 tysięcy osób, tyle co współczesny stadion. A jeśli dzień był zbyt słoneczny, górę zasłaniano tak, by walczący na dole gladiatorzy nie dostali udaru.

Nagrywamy setkę i zmierzamy dalej w stronę Piazza Navone. W labiryncie uliczek próbuję używać GPS-a, ale wystarczy zapytać dowolną osobę o kierunek, a wskaże z uśmiechem drogę. Albo ci ludzie nie mają takich zmartwień jak Polacy, albo, co bardziej prawdopodobne, nie zatruwają sobie nimi życia w takim stopniu.

Po kilkunastu minutach jesteśmy na miejscu. Teraz pozostaje jeszcze znaleźć właściwy numer. Co metr inna knajpka, przed każdą pracownik zachęcający szerokim gestem do wejścia. Pokusa wielka, ale próbowanie zostawię sobie na kolejne wyjazdy. Na razie trzeba trzymać się planu. Hanka ma rację.

Pizzeria Da Francesco. Lokal wciśnięty w zaułek, ale kolorowy szyld nie pozostawia wątpliwości. To tu.

– *Buongiorno*. Jesteśmy dziennikarzami z Polski, wiele słyszeliśmy o waszym lokalu – zaczynam tłumaczyć pracownikowi, który stanął mi na drodze do wejścia. Uśmiecha się i woła szefa, któremu też wyjaśniam, że chcemy nie tylko zjeść, lecz także pokazać to w kamerze. Zgadza się bez żadnych ceregieli, informuje tylko, że teraz mają przerwę na posiłek i otwierają dopiero o 19.00. To za pół godziny, ale przecież poczekamy. Pora obiadu we Włoszech różni się trochę od polskich realiów.

Co można zrobić przez pół godziny? Obok jest jeden z najpiękniejszych placów Rzymu, wspomniana Piazza Navone. Można tam zajrzeć o każdej porze. Tłumy turystów, uliczni grajkowie – serce tętniącego życiem miasta robi niesamowite wrażenie. A największe wywołuje monumentalna Fontanna Czterech Rzek – Dei Quattro Fiumi. Jak się ją obejdzie dookoła, to widać cztery rzeki z czterech kontynentów: jedna uosabia Nil, druga Ganges, kolejna Dunaj, a ostatnia symbolizuje Río da la Plata. Wzdłuż placu rozstawione są ławeczki. Jeśli ktoś nie ma siły na chodzenie, może klapnąć w dowolnym miejscu. Sprawdzam z ciekawości WiFi. Jest sygnał, ale trzeba się zarejestrować, na co teraz nie mam czasu.

– Pora na kolację.

– I kamerę.

– Najwyższy czas. Suszy mnie jak dzika po szyszkach.

Wracamy do lokalu. Witają nas wesołe okrzyki. Obsługa została już poinformowana i kelnerzy popisują się jak małe dzieci. Jesteśmy pierwsi, więc wybieramy najlepszy pod kątem obrazkowym stolik. Po chwili ląduje na nim menu. Przeglądam pizze. Po to przylecieliśmy – pokazać, że można za niewielką kasę zjeść ją w Rzymie.

Nazwy brzmią znajomo. Zresztą nawet bez angielskiego tłumaczenia wszystkie składniki można wychwycić intuicyjnie.

– No i co mam wybrać? *Which pizza is molto bene?* – pytam kelnera, jaką poleca. Chciałem po włosku, ale zapomniałem połowy słów i wychodzi melanż językowy. Nieważne. I tak powta-

rza się sytuacja z Werony. Cokolwiek wskażę palcem, mówi, że to świetny wybór, a danie jest doskonałe. A ponieważ potraw jest kilkanaście, biorę trochę „na czuja". Zresztą w przypadku pizzy interesuje mnie nie tyle wkład, ile ciasto. A to za chwilę zobaczę. Zamawiam *funghi e salsiccia*. Zdaniem kelnera grzyby i kiełbasa bardzo dobrze się komponują.

– Patrz, jak kręci palcami.

Kucharz zmienia zaczyn w cienki pasek, podrzucając go co kilka sekund. Sama czynność nie jest niczym niezwykłym, można ją zobaczyć w każdym mieście w Polsce, ale właśnie fakt, że robi to ekipa z Rzymu, sprawia, iż apetyt rośnie w miarę… kręcenia.

Krzysiek filmuje zawzięcie, ale nie jest to szczególnie trudne, bo personel służy pomocą – wykonuje na życzenie duble i czeka na sygnał „akcja". Chłopcy wyraźnie bawią się pracą. Podobnie klienci, którzy niepostrzeżenie zapełnili lokal. To duże ułatwienie, bo nikt nam nie wchodzi w drogę. Atmosfera jest bardzo serdeczna.

– Zobacz, jest już po dwudziestej, a tu przychodzą rodziny z małymi dziećmi.

– Dla mnie to niesamowite. Niby wiemy o południowym stylu życia, ale jednak za każdym razem jest to zderzenie. Oni nie tylko jedzą, oni celebrują. Głośno dyskutują, zamawiając kolejne flaszki i butelki piwa. Jest środek tygodnia, a miejscowi biesiadują jak w weekend. Ze swadą, ale nie agresywnie. Hałaśliwie, a zarazem z umiarem. Żyją i wiedzą, jak z życia zrobić użytek. Właśnie tego mi najbardziej brakuje w Polsce.

Pizza jest przepyszna. Jacek miał rację. Niby proste danie, a jednak takie najłatwiej zepsuć. Ciasto cieniutkie jak pergamin, a składniki idealnie dobrane. Wśród nich znajduję nie tylko grzyby i ser, lecz także kawałki wędliny – w smaku przypomina białą kiełbasę, którą serwuje się w okolicach Wielkanocy, ale jest nieco łagodniejsza. Sycące danie, nie dałbym rady żywić się nim codziennie. Za to po całym dniu o suchym pysku jest znakomitym źródłem kalorii i energii. Do tego stanowi niezły podkład pod zapitkę.

– Mam nadzieję, że nie zamówiłaś wina za 100 euro.

Widzę w karcie, że niektóre butelki kosztują nawet więcej.

– Najlepiej zawsze brać wina domowe, z tutejszej piwnicy.

Hanka ma rację. Na trójkę nie opłaca się zamawiać trunku na kieliszki, lepiej poprosić o całą butelkę. Wychodzi 10 euro. I dawka w sam raz dla każdego. Nie jestem koneserem win, wszystko mi jedno, czy piję białe czy czerwone. Albo mi smakuje, albo nie. A to jest w porządku.

Pizza na telefon.

Przed pizzą miałem jeszcze nadzieję, że spróbujemy innych specjałów z mięsa i makaronu. Jestem jednak tak najedzony, że nie mam szans na dokładkę. Okazuje się, że Hanka również ma dość. Nawet Krzysiek wydaje się jakby syty, a – jak często powtarza – może jeść każdą ilość o każdej porze.

To jest wielkie żarcie. Niemal jak w filmie Marca Ferreriego o tym samym tytule, który widziałem przed laty na kasecie wideo. I pamiętam, że bohaterowie postanawiają popełnić samobójstwo z przejedzenia, co im się zresztą udaje. Nikt z nas nie ma takiego zamiaru, więc plany deserowe muszą ulec zmianie. Przede wszystkim my musimy zmienić miejsce.

– Nie chce mi się wychodzić, ale mamy jeszcze kawałek do przejścia.

– No to *arrivederci*.

Żegnamy się serdecznie z ekipą. Wymieniamy grzeczności i obiecujemy, że niedługo się zobaczymy. Dla mnie nie jest to tylko grzecznościowy zwrot. Bilety na tanie linie są w stałej sprzedaży. Kiedy będę ponownie w Rzymie, na pewno tu zajrzę. Oczywiście, odwiedzę także inne knajpy. Ale dobrze mieć punkty zaczepienia.

Świeże powietrze uderza w nozdrza jak orkan, za chwilę lata po skołatanych smakami trzewiach. Czuję się napęczniały jak ludzik z reklamy opon Michelina. Jednak doświadczenie z poprzednich podróży, a szczególnie niedawny maraton pieszy po Londynie, sprawia, że nie zamierzam się poddawać.

Fontanna di Trevi. Zatopione marzenia?

W drodze powrotnej ponownie mijamy Piazza Navone. Nic się nie zmieniło, na placu dalej jest pełno ludzi. To miasto nie śpi.

– Mamy bardzo blisko do fontanny di Trevi. Właściwie to nawet nie musimy nadkładać drogi.

Hanka ma rację. Za kilka minut i po zadaniu kilku pytań dochodzimy do kolejnego kultowego miejsca. Nie przepadam za tym określeniem, ale w tym wypadku mam to gdzieś.

– O ja cię chrzanię.

– Też na mnie robi wrażenie.

Zapomniałem, czego się spodziewać. Po niedawnym locie do Brukseli naiwnie pomyślałem, że będzie to coś w stylu Manneken Pis. Ładne, ale małe. A tymczasem zobaczyłem giganta, choć równie ładnego.

– To jest fontanna XXL.

Legenda wiąże się z istnieniem dziewicy o imieniu Trevia. Podobno to ona odkryła źródło wody wykorzystane przy budowie akweduktu. Samą fontannę rozsławiła Anita Ekberg, kąpiąc się w niej w *Słodkim życiu* Felliniego.

– To co, wrzucamy jakąś kasę?

– Ale jaką?

– To nie ma znaczenia. Ważne, żeby wiedzieć, w jaki sposób to zrobić.

Są różne metody wrzucania bilonu: na wprost, z ukosa, bokiem, do góry. Nawet nie przypuszczałem, że w tak banalnej czynności można odnaleźć tyle technik. Francuzi czynią to z wdziękiem, Polacy z nadpobudliwym animuszem, jakby wciąż leczyli się z kompleksów, że są częścią Europy. Anglicy też mają jakiś patent, a Koreańczycy, którzy chyba wykupili wszystkie miejsca w biurach podróży, robią to z pewną nieśmiałością.

Każdy sposób jest dobry. Ale ponoć tylko jeden gwarantuje załatwienie sprawy – prawą ręką przez lewe ramię. Już jedna moneta zapewnia powrót do Rzymu, dwie oznaczają romans, trzy – ślub. Ponieważ nagrywaliśmy setki, wrzuciłem siedem monet. Nie wiem, co to znaczy.

– Na zakończenie wieczoru proponuję jeszcze Schody Hiszpańskie. Trochę zboczymy ze szlaku, ale podjedziemy sobie metrem. Poza tym po drodze zrobimy zakupy do pokoju.

Hanka jak zawsze ma plan. I jak zawsze trudno jej nie przyznać racji.

Kasa w fontannie. Groszem nie śmierdzę.

Sklep znalazł się za rogiem. Despar, taka włoska Żabka. Wszystko, co potrzeba, to jakaś woda na następny dzień. Cola też się nie zmarnuje. Bierzemy jeszcze butelkę wina i włoskie paluszki z kminkiem. Za wszystko płacę niecałe 8 euro. Jak zwykle kartą. Przelicznik jest niemal identyczny, a kolejne punkty spłyną na konto Wizzair.

Hiszpański akcent w Rzymie.

– Idziemy na schody. To gdzieś blisko, choć jest za ciemno, żeby zobaczyć na mapie.

Za diabła nie mogę sobie przypomnieć, jak to jest po włosku. Schody, schody, no nic, trzeba pytać o *spanish stairs*.

Okazało się, że to wystarcza. Jak zwykle dochodzimy za chwilę po nitce do kłębka na miejsce. W wieczornej ciszy. Wydawało mi się, że podobnie jak na zdjęciach będą tam siedziały tłumy. A tymczasem spotykamy zaledwie kilka osób. Co nie zmienia faktu, że miejsce jest piękne. Zarówno same schody, jak i dumnie patrzący na turystę z góry kościół Trójcy Świętej.

– Powiedzmy, że dziś zrobimy dokumentację. Jutro po śniadaniu skoczymy tu nagrać gotową zapowiedź.

Obok schodów jest stacja metra Spagna. Linia czerwona, jedna z dwóch podziemnych linii, wyznaczająca trasę Anagnina–Battistini. Oprócz Schodów Hiszpańskich, pozwala dotrzeć do Watykanu, fontanny di Trevi i Bazyliki św. Jana na Lateranie. Jest w czym wybierać. Bilet kosztuje 1,50 euro. Można jechać przez 75 minut od chwili skasowania. Zbytek łaski. Do przejechania mamy trzy przystanki.

Wszędzie są automaty, więc mając bilon, nie ma żadnego problemu z zakupem. Nie radzi sobie tylko Anglik, napakowany jak autobus w niedzielę do Lichenia. Jest kompletnie pijany i coś tam wykrzykuje w amoku. Zdaje się, że ma pretensje do pakistańskich sprzedawców. Zważywszy że jest we Włoszech, wnioskuję, iż osiągnął znaczny stopień upojenia.

– Chodźmy szybciej, bo się zaraz do nas przyczepi.

– Nie wygląda groźnie.

– To samo mówili o azbeście.

To była pierwsza i ostatnia zalana w trupa osoba, jaką zobaczyłem w trakcie pobytu w Rzymie. Na szczęście nie czepia się nas, tylko zataczając się, pomyka w przeciwnym kierunku, zdzierając po drodze koszulkę z pleców.

Wagoniki kolei podziemnej nie przypominają tych kolorowych z Paryża. Metro jest mroczne, nie tak schludne jak to z Brukseli. Chyba najbliżej mu do tego z Budapesztu. Ale podobnie jak każde inne, jeździ często i szybko. Dotarcie do Termini zajmuje zaledwie 10 minut. Idąc przez dworcowy pasaż, biorę z baru plastikowe kubki. Przydadzą się, bo w pokoju nie zauważyłem żadnych szklanek.

Resztę wieczoru spędzamy na rozmowie i konsumpcji zapasów. A sen na podwójnym łóżku okazuje się lepszy, niż się spodziewałem. Jedyny zgrzyt to zimna woda. Krzysiek, który pierwszy idzie się kąpać, robi to w lodowatym strumieniu. Nie mówi ani słowa i dopiero kiedy wraca, skarży się, że trochę ciężko jest wytrzymać.

Chcę iść w jego ślady, ale ledwo odkręcam kurek, zgrzytając zębami, słyszę pukanie. To nasz przyjaciel z Bangladeszu. Hanka poleciała do recepcji, żeby interweniować w sprawie wody.

Okazuje się, że wystarczyło zapalić piecyk.

Gorąca woda płynie szerokim strumieniem, a ja czuję się jak nowo narodzony. Do szczęścia brakuje mi jeszcze słowa pisanego. W wolnych chwilach czytam *Zakopane odkopane*. Kilka miesięcy wcześniej byłem na premierze książki Pauliny Młynarskiej i Beaty Sabały-Zielińskiej. Teraz dałem się zauroczyć miastu, którego jak większość turystów tak naprawdę nie znam. Do-

piero dzięki lekturze czuję, że zaczynam poznawać historię zupełnie inną od tego, co widzi się na Krupówkach. To trochę jak z Rzymem. Też ma swoje żelazne punkty, ale żeby go poznać i zrozumieć, warto zboczyć z utartych szlaków. Zakopane również nakręcimy. Kiedyś.

Najedzony, napojony i co najważniejsze czysty, zasypiam jak kamień, licząc na kamienny sen. Do pewnej godziny rzeczywiście taki jest. Następnego dnia rozdzwaniają się dzwony. Siódma rano nie jest moją ulubioną porą. Dotąd jeszcze liczyłem, że może nasze budziki będą miały lekkie spóźnienie i zaczniemy dzień trochę później. Teraz nie ma możliwości, żeby nie wstać.

Szybki prysznic, tym razem w wodzie gorącej jak smoła, i pakowanie rzeczy. Trzeba się uwijać, bo najpóźniej o 12.00 musimy być ponownie na Termini, jeśli chcemy być spokojni, że zdążymy na czas na lotnisko.

– To są wasze kupony na śniadanie.

Tym razem na posterunku w recepcji jest inny pracownik. Też miły. Tłumaczy, gdzie mamy się zgłosić. Bo je się na zewnątrz. Mieszka się w Lam, ale posiłki wydają w zupełnie innym miejscu. Tuż naprzeciwko dworca jest trattoria, w której od rana krzątają się pracownicy. A śniadanie okazuje się kawą i rogalikiem, co w zupełności wystarczy. Czarne espresso z cukrem i lukrowana słodka bułka dają taki zastrzyk energii, że obudzi nawet największego śpiocha.

– Lecimy dalej. Czas nas goni nieubłaganie.

Zgodnie z obietnicą zaczynamy od Schodów Hiszpańskich. Znów nie ma na nich tłumów, tym razem pora jest zbyt wczesna. Ale świeci słońce, co stanowi zapowiedź pięknego dnia.

Ekipa w pracy od rana. Znowu leję wodę.

Schodami na szczyt.

Sto trzydzieści osiem stopni. To jedne z najdłuższych i najszerszych schodów w Europie. Większe są tylko Schody Potiomkinowskie w Odessie, ale gdzie Rzym, a gdzie Krym. I właśnie po tych najdłuższych i najszerszych schodach muszę biegać jak młody zajączek.

– Jeszcze raz poproszę.

Góra, dół, góra, dół. Podobno szczyt prędkości to trzasnąć szufladą na klucz tak szybko, żeby go jeszcze do niej schować. Myślę, że zbliżam się do rekordu. Krzysiek chyba się mści za 30-kilometrowy marsz po Londynie. Teraz on rządzi, a ja z każdą kolejką czuję, że zaraz wypluję płuca. Przed ostatecznym wyczerpaniem ratują mnie turystki z Polski.

– Dzień dobry, miło pana widzieć.

Mama z córką zagaduje do mnie przyjaźnie.

– Dzisiaj w Rzymie, jak widzę?

– Ano tak – błyskam elokwencją, nie ma co. Ale przynajmniej mam czas na drugi oddech. Odchodząc, słyszę, jak córka pyta:

– A kto to jest ten pan? – Na co mama odpowiada oburzona:

– Jak to, nie wiesz? On prowadzi w *Dzień Dobry TVN* program o tanim podróżowaniu. – Mimo woli uśmiecham się nad przewrotnością losu. Dwanaście lat pracy w TVN24 przez te panie nie zostało zauważone, a jeden sezon cyklu o tanich podróżach znają na pamięć. Dobra nauczka, że nie zawsze to, co nam się wydaje najważniejsze, jest takim dla innych.

Po schodach robimy jeszcze jeden szybki spacer w stronę Koloseum. Poprzedniego dnia nagraliśmy, co trzeba, ale Krzysiek chce się upewnić, że będzie miał dubla w lepszym świetle. Tam jest stacja metra o tej samej nazwie. Tym razem to linia niebieska, trasa Laurentina–Rebibia, i oprócz Koloseum można nią dotrzeć do Circus Maximus oraz Bazyliki św. Pawła za Murami.

Znów 1,50 euro. Tym razem do przejechania tylko dwa przystanki. Dosłownie kilka minut, za to w wielkim ścisku. Do tej pory nie rozumiałem uwag o zatłoczonym metrze. Teraz przeżywam to na własnej skórze. Nie ma jak się ruszyć, więc lepiej pilnować portfela i komórki. Nigdy nie wiadomo, czy kieszonkowcy nie ruszyli właśnie na łowy.

Dworzec mamy już obcykany, ale i tak docieramy na przystanek autobusowy na kilka minut przed odjazdem. Tym razem nie można kupić biletów u kierowcy, nie rozumiem dlaczego, ale nie mamy czasu na wyjaśnienia. Obok jest punkt firmy, w którym je sprzedają. Za chwilę ładujemy się do środka.

Podróż powrotna na Fiumicino trwa dłużej niż poprzednio. Znów dają o sobie znać korki. Mamy jednak taki zapas, że i tak zdążę pobuszować po bezcłowych sklepach. Pod tym względem lotnisko ma sporo do zaoferowania, aczkolwiek są one rozrzucone na dużej przestrzeni. Pomiędzy nimi sporo kafejek, również umieszczonych seriami, niczym grzyby w skupiskach. Podobnie jak w Mediolanie wyznaczono strefę dla palaczy.

Odlot jest planowany na 14.30, ale w tym czasie dostajemy komunikat o zmianie bramki. Inni pasażerowi również latają z miejsca na miejsce. Trochę jak w scenie z Kapelusznikiem i Marcowym Zającem w *Alicji w Krainie Czarów* – gdzie biesiadnicy co jakiś czas muszą się przesiąść o jedno miejsce.

W końcu, z kilkudziesięciominutowym opóźnieniem, startujemy. Samolot nie jest pełny, ale wolnych zostało zaledwie kilka miejsc. Znajduję jedno w ostatnim rzędzie, tuż przy toalecie. Moje ulubione, lubię mieć za plecami ścianę. Natychmiast zapadam w sen. Mam nadzieję, że obudzę się dopiero nad Warszawą.

Arrivederci, Roma. Wrócę do ciebie, i to nie tylko na kolejne wielkie żarcie. *Veni, vidi, vici*. Nie było łatwo cię poznać w tak krótkim czasie. A jednak przyszedłem, zobaczyłem i zwyciężyłem.

Z mauzoleum Hadriana rozciągają się takie widoki.

Podsumowanie:

Byłem w Rzymie ponad 20 lat temu. Stolica Włoch wydawała mi się nie do ogarnięcia. Wszystko było monumentalne, a histo-

ryczne dziedzictwo przytłaczało chłopaka z demoludów. Tym razem odniosłem wrażenie, że jestem niemal w domu. Miasto jest bardzo przyjazne, ludzie uśmiechają się i są chętni do pomocy. Nawet rodacy sprawiają jakby mniej posępne wrażenie. Rzym się nadaje dla turysty w każdym wieku. Daje możliwość poznania go od strony sakralnej, historycznej i kulinarnej. W sezonie niegłupim pomysłem wydaje się również wyjazd podmiejską kolejką na plażę w Lido. To zaledwie 20 kilometrów od centrum.

Co kręci:

Możliwość obcowania z pięknem absolutnym niemal za darmo. Jeśli nie chcemy płacić za wejście do muzeów, sam spacer po mieście połączony z podziwianiem cudów jest nieziemskim doświadczeniem. O Rzymie można napisać tomy. W każdym z nich będzie wspólny mianownik: miasto po prostu rządzi.

Co wkurza:

Włoskiej niepunktualności nie doświadczyłem, więc z jednej strony traktuję to jako zaletę. Być może miałem szczęście, ale opis opieram na osobistych, subiektywnych doświadczeniach. Nie znalazłem w nich miejsca na spóźnienie metra czy autobusu na lotnisko. Dopiero na samym lotnisku zaczęło się robić nieciekawie.

Częste zmiany bramek to podobno normalka. Trzeba słuchać zapowiedzi i przenosić się z miejsca na miejsce. Możliwe spore opóźnienia i konieczne uzbrojenie się w cierpliwość.

Cennik:

- Dojazd z lotniska: 5 EUR w jedną stronę.
- Kawa na mieście: od 1 EUR.
- Pizza: 6–14 EUR.
- Wino: od 2–3 EUR.
- Chleb: 2 EUR.

- Woda mineralna: 0,40 EUR.
- Coca-cola, 2 litry: 2 EUR.
- Piwo: 1,20 EUR.
- Wino: 3 EUR.
- Czekolada: 1,50 EUR.

PODRÓŻ 12

MAŁA SYRENKA

miejsce

Malmö i Kopenhaga

cel podróży

dotrzeć najtańszą drogą

czas podróży

24 godziny

cena biletu

48 zł + 150 zł

Wszystkie drogi prowadzą co celu. Nie zawsze jednak najprostsza droga jest drogą najtańszą. Chcę się dostać do Kopenhagi. Wiele dobrego słyszałem o stolicy Danii, ale nie udało mi się do tej pory znaleźć metody na szybki wyskok. Samochód i prom to dłuższa wyprawa, no i nie ma bezpośrednich połączeń. Mimo że w Kopenhadze mieszka wielu Polaków, dotarcie do niej wiąże się ze sporym kosztem. Albo lot linią regularnego przewoźnika, co oznacza wydatek co najmniej kilkusetzłotowy, albo samochód, czyli nie tylko koszty benzyny, lecz przede wszystkim czas, który dla miłośników *citibreaków* nie jest sprzymierzeńcem.

Jak sobie z tym poradzić? Polecieć do innego kraju i przekroczyć granicę autobusem. Jeśli nie możesz trafić prosto w cel, wymierz obok, a potem dokonaj poprawki. Chcąc często latać, warto przyswoić sobie tę zasadę. A bilety w obie strony znalazłem za 48 złotych. Wylot w niedzielę po południu, powrót w poniedziałek pod wieczór.

– Ciepło się ubierzcie.

– Bez przesady.

– To jednak zima i Skandynawia.

Hanka jak zwykle myśli o wszystkim.

Bilety to połowa planu. Są bowiem do Malmö. Stamtąd można podjechać autobusem albo pociągiem. Niedaleko, w godzinę się zajedzie. To jest właśnie ten plan. Aby się dostać do Danii, muszę najpierw znaleźć się w Szwecji. Kilkanaście lat temu byłoby to niemożliwe. Nie w tak szybkim czasie. Jednak od 2002 roku oba kraje łączy most przez cieśninę Sund. Dzięki temu istnieje możliwość przedostania się z kraju do kraju w godzinę, co jest do zaakceptowania.

– Czym będziemy jechać?

– Zobaczymy na miejscu. Na grupach dyskusyjnych piszą, że można łapać zarówno szwedzki odpowiednik PKS-u, jak i pociąg. Wymaga to przesiadek, ale popytamy ludzi. Zawsze możemy to pokazać w kamerze.

Zgodnie z rozkładem nadchodzi niedzielne popołudnie. O tej porze lotnisko wydaje się spokojniejsze. W części, w której sie-

dzimy, prawie nie ma pasażerów. Niestety, brakuje też samolotu.

– Lot do Malmö jest opóźniony o pół godziny.

Rozważania o logistyce przerywa komunikat. Akurat, kiedy tak nam zależy na czasie. Nieliczni oczekujący używają szwedzkiego przekleństwa. Brzmi bardzo podobnie do *fuck you*. Żeby nie tracić czasu, od razu przeglądam informacje o transporcie. Wkrótce znajduję notkę o firmie, która wozi chętnych spod lotniska w Malmö do samego centrum Kopenhagi. Hanka od razu tam dzwoni.

– Ogłoszenie nieaktualne, ale podam wam numer do człowieka, który obecnie się tym zajmuje.

Firma Neptun i kolejny telefon. Tym razem strzał w dziesiątkę. Okazuje się, że zostały dokładnie trzy miejsca. Gdyby Hania zadzwoniła kilka minut później, pewnie nie udałoby nam się ich zarezerwować. Mamy szczęście, ale trzeba na nie zapracować. I właśnie to zrobiliśmy.

– Jest w końcu nasza zguba.

Opóźniony samolot kołuje, a za chwilę pakujemy się do środka. Hania jedzie pierwszym autobusem. Po chwili melduje, że zajęła miejsca w trzecim rzędzie. Zuch.

Jedną nogą w Szwecji, drugą w Danii.
Most łączący dwa kraje.

Lot trwa godzinę i pięć minut. Lubię krótkie trasy. Aczkolwiek od pewnego czasu i tak przebiegają mi błyskawicznie. Zwłaszcza że czytam *Dallas 63* Stephena Kinga. To jedna z najpiękniejszych książek, jakie znam. Kinga traktowałem jak wyrobnika do czasu *Serc Atlantydów*. Teraz jestem przekonany, że to wielki pisarz. A książka jest nie tylko pasjonująca, lecz także gruba, zajęłaby jedną trzecią bagażu, dlatego wersje papierowe zastąpiłem PDF--ami i EPUB-ami na tablecie. Dzięki temu mam pod ręką całą bibliotekę. I żadna podróż mi niestraszna. A krótkie trasy przebiegają wręcz ekspresowo. Jak ta.

– No i jesteśmy.

Hania już pakuje rzeczy, za chwilę cała nasza trójka znajduje się głównym holu.

Lotnisko Malmö-Sturup nie jest duże. Mimo że to największy port lotniczy w Szwecji, sprawia kameralne wrażenie. Ludzi też mało, co dla mnie stanowi zaletę. Nie przepadam za zatłoczonymi portami, jak Luton czy Stansted. Do centrum Malmö jest zaledwie 30 kilometrów. Dla nas ważniejsze, że odległość do śródmieścia Kopenhagi wynosi tylko 55 kilometrów. Na jedno i dru-

gie jest za mało czasu. Może ewentualnie uda się zobaczyć Turning Torso, jeden z najwyższych budynków w Europie.

– Państwo do mnie?

Wśród oczekujących jest poważny mężczyzna w czapce naciągniętej głęboko na czoło.

– Chyba tak. Rozmawialiśmy godzinę temu. Trzy miejsca.

– To do mnie. Zapraszam.

Kurs do Kopenhagi kosztuje 150 duńskich koron w jedną stronę. To tak, jakby ciąć na połowę, czyli 75 złotych. Drożej niż przelot do Szwecji tam i z powrotem, ale i tak taniej niż lot bezpośredni. A pojazd to wieloosobowa furgonetka, sunąca cicho i sprawnie do celu.

– Niecała godzina drogi. Niestety w dużej mgle.

To, że jedzie się krótko, jest plusem. Szkoda jednak, że nie ma widoków. Trasa wiedzie bowiem przez szczególne miejsce, pokazujące, że za pomocą potęgi ludzkiego umysłu i wielkich pieniędzy można pokonać wszelkie przeszkody.

Sund. Ewentualnie ØreSund. Jak zwał tak zwał, ważne, że to cieśnina oddzielająca duńską Zelandię od szwedzkiej Skanii. I most, który ma prawie osiem kilometrów długości. A jest jeszcze trzy i pół kilometra tunelu i cztery kilometry sztucznej wyspy. Jednym szlakiem lecą osobówki i ciężarowe, drugim – kolej. To najdłuższy most na świecie łączący dwa państwa. Jeśli pogoda dopisuje, gwarantuje piękne widoki.

– Widzisz coś?

– Nic.

– Ja też nic.

Niestety, teraz widzialność jest mocno ograniczona. Poza tym zrobiło się ciemno. W końcu to już prawie 19.00. Może uda się jutro w drodze powrotnej.

Życie to nie bajka.

Wjeżdżamy do Kopenhagi. Gdybym nie wiedział, pewnie nie zgadłbym. Miasto jak miasto. Zimny dzień, mało widać. Na razie nic ciekawego. Podobnie jak w szwedzkich miastach, mam wrażenie pustki. Niby chodzą ludzie po ulicach, ale jakoś tak w mniejszości, jakby woleli wieczorami siedzieć w domu. Szwedzi tak robią, widocznie Duńczycy też.

Parkujemy niedaleko od słynnego parku rozrywki Tivoli. O tej porze roku jest jeszcze zamknięty, więc nie ma co sobie nim zawracać głowy.

– Chodźmy najpierw do hotelu.

Jak zwykle zgoda. Zawsze dużo chodzimy, lepiej się maksymalnie odciążyć.

– Mamy nocleg w Copenhagen Downtown Hostel. Znajdźmy go.

Problem w tym, że nikt nie potrafi nam wskazać właściwej drogi. Nazwy ulic są tak skomplikowane, że samo ich wymówienie sprawia nie lada trudność. Nie bez kozery język duński uchodzi za jeden z najtrudniejszych, a przeciętny Polak może powiedzieć najwyżej *tak*, czyli „dziękuję". Nawet pozostali Skandynawowie nazywają go chorobą gardła. Wyczytałem w samouczku, że w duńskim wymawia się aż 22 samogłoski, a w polskim mamy ich tylko osiem. To sprawia, że nawet dzieci wolniej uczą się swojego języka. Co dopiero ja, mimo że dzieckiem tylko bywam mentalnie.

– Vandkunsten 5?

Nie wiem, czy wymawiać fonetycznie, czy jakoś „fandkunszten". Rowerzystki z blond włosami rozkładają bezradnie ręce. Ewentualnie pokazują kierunek, co do którego ja mam wątpliwości.

– Wydaje mi się, że to tu.

– Ale przecież szliśmy tą ulicą. Trzymasz mapę odwrotnie.

– Właśnie dobrze trzymam. Zresztą i tak mogę się pytać ludzi do kamery.

Trochę się sprzeczamy o drogę, ale mimo wszystko posuwamy się naprzód. Może to jest ciężkie do zrozumienia dla osoby niebędącej w Skandynawii, ale zapewniam, że wieczorami nawet główne deptaki świecą pustkami.

Fontanna na placu Ratuszowym.

Wreszcie jest. Zza zakrętu wyłania się budynek, w którym według adresu powinien się mieścić nasz hostel.

– Nawet nie był daleko, tylko myśmy szli jakoś dookoła. Copenhagen Downtown Hostel jest usytuowany rzekomo pięć minut drogi od Pałacu Ratuszowego i Ogrodów Tivoli. Jest za zimno i za mało czasu, żeby to sprawdzić, ale wydaje mi się, że czas został zaniżony o co najmniej kilka minut. Za to na pewno jest blisko od głównego deptaku Strøget. A pokój trzyosobowy typu *economy* kosztuje 368 złotych za dobę, czyli nieco ponad 122 złote na osobę. Jak na Kopenhagę, to nie jest wygórowana cena. Poza tym w opisie na **bloking.com** znajduję informację, że w pokoju jest prywatny prysznic i toaleta. Luksus.

Przepiękny widok na miasto z wieży Rundetårn.

Uliczka, przy której stoi hostel, jest niemal wymarła. Za to w pubie mieszczącym się na dole niemal wszystkie miejsca są zajęte. Widzę przez szybę, że to przede wszystkim turyści. I głównie dziewczyny. Azjatki, Hiszpanki, jak zawsze Rosjanki.

Miła niespodzianka. Dla samotnych podróżników dobrze mieć takie miejsce w trakcie bezsennych nocy. A pub jest czynny do drugiej. Można tu zjeść ciepłą potrawę oraz napić się dobrego duńskiego piwa.

Właśnie w pubie dostajemy karty do pokoju i informację, jak się dostać na czwarte piętro.

– Jak będziecie opuszczać pokój, proszę o wyrzucenie pościeli do specjalnego kosza.

Barman przyjmuje należność, zachęcając przy okazji do skorzystania ze śniadania. Kosztuje około 79 koron i zaczyna się już od siódmej rano. Nie skorzystamy, musimy wcześnie wyjść na zdjęcia, ale grzecznie potakuję, że się zastanowimy. Na razie wchodzimy w bramę obok i wjeżdżamy na czwarte piętro.

Korytarz roi się od pokojów, a jest ich tak dużo, bo są bardzo ciasne. Widziałem na zdjęciach. Nie spodziewałem się jednak, że to będzie rzeczywiście tak mała klitka. Dwanaście metrów kwadratowych. Na jedną osobę w sam raz, dwie zmieszczą się, ale z trudem, przy trzech to już się robi cela więzienna.

– Na trzech Chińczyków albo jednego Marcina Prokopa.

Pokój to wąska kiszka z podwójnym łóżkiem. Trzecie jest wsunięte i dopiero po rozłożeniu daje miejsce do spania. Wtedy jednak nie ma jak się poruszać. No i jest łazienka.

– Spójrzcie na tę oszczędność.

Pomieszczenie o powierzchni jakichś dwóch metrów kwadratowych łączy w sobie wszystkie najpotrzebniejsze funkcje. Ma mikroskopijną umywalkę, do tego toaletę i prysznic. Ten ostatni to właściwie kurek u sufitu, z którego woda spływa bezpośrednio na posadzkę. Cała łazienka staje się wtedy kabiną prysznicową.

– Teraz rozumiem, po co jest ten skrobak do wody.

– Tylko uważaj, żeby się nie pomylić. Przekręcisz nie ten kurek i zmoczysz się, zamiast tylko umyć ręce.

Wiem już, że nie będę korzystał z tej łazienki. Wolę te na korytarzu. Przyzwyczaiłem się do nich w trakcie podróży po Europie. Zawsze było czysto i schludnie. Jeśli tylko masz klapki, nie grożą ci żadne bakterie.

– Pora jeszcze wczesna. Idziemy na miasto.

Ogrywamy hotel, żeby nie musieć się męczyć kolejnego dnia, i wychodzimy na plac. Kilkaset metrów dalej jest ścisłe centrum.

Strøget to najdłuższy w Europie deptak handlowy. Ma tylko 1,2 km długości, ale wydaje się znacznie dłuższy, jeśli przystaje

się przy witrynach. A warto się zatrzymywać, bo podobnie jak w Mediolanie, są tu sklepy znanych marek, ale także powszechnie znane sieciówki. Popularność deptaka zwiększyła się drastycznie w latach sześćdziesiątych, kiedy uznano, że w centrum miasta samochody nie są mile widziane. Skorzystali z tego piesi. I sąsiednie państwa. Od tamtej pory to właśnie Strøget stał się wzorcem dla innych stolic, jako miejsce, w którym ludzie i rowery mają więcej do powiedzenia niż oktany.

Strøget oznacza „prosty", ale wydaje mi się, że szlak co chwila wije się i zakręca. Od strony zachodniej jest zakończony placem o nazwie Rådhuspladsen, a od strony wschodniej – placem Kongens Nytorv. Przytaczam te nazwy, bo po nich łatwiej zlokalizować konkretne miejsce, a jednocześnie są w miarę nietrudne do wymówienia. A sam Kongens, czyli plac Królewski, to najpiękniejszy i największy rynek, założony w 1670 roku przez króla Chrystiana V, którego konny posąg można podziwiać w centrum placu.

Jest późny wieczór i większość sklepów już zamknięto. Czynne są za to wszystkie knajpy i choć nie ma w nich tłumów, wiadomo przynajmniej, gdzie przesiadują niedobitki pieszych. Wszędzie palą się także świeczki. Czytam w przewodnikach, że Duńczycy zużywają ich najwięcej na świecie. Zapalają je do każdego posiłku. Miły zwyczaj. Kolacja przy świecach? Brzmi nieźle, choć jest strasznie oklepane. A gdyby jeszcze śniadanie przy świecach? To już coś oryginalnego.

– Gdzie jest spożywczak? – Jak zwykle potrzebuję wody i czegoś słodkiego. Jeśli podróżuje się, przemierzając kilometry na piechotę, warto mieć przy sobie butelkę mineralnej albo coli i jednego czy dwa batoniki. Nawet jeżeli nie będzie okazji ich zjeść, nie zmarnują się. A w sytuacji, kiedy potrzebny okaże się zastrzyk energii, są nie do zastąpienia. Dlatego w każdym miejscu na świecie staram się zrobić zakupy w lokalnym sklepie. Po pierwsze, przekonuję się, jakie są ceny, po drugie, poznaję lokalne przysmaki, a po trzecie, jestem niemal samowystarczalny.

Kłopot polega na tym, że koło deptaku nie widzę żadnego sklepu. Znaczy jest 7-Eleven, ale nie ma tam wyboru, a poza tym

obowiązuje bardzo duża marża. Boję się jednak, że potem nie będzie niczego, jak mawiał klasyk, więc kupuję dla siebie i dla Hanki wodę mineralną. Krzysiek bierze sobie tradycyjnie colę.

– No nie, popatrzcie.

Ulicę dalej jest wielki dyskont. Netto, popularny w Danii i w Niemczech, choć istnieje także w północno-zachodniej Polsce. A w nim wszystko, czego potrzeba piechurowi.

Widzę, że jest bogata oferta paczkowanego mięsa i wędlin. Dania to jeden z największych producentów wieprzowiny i bekonu. W kraju liczącym nieco ponad 5 milionów mieszkańców hoduje się ponad 13 milionów świń.

Biorę pieczywo, jakieś parówki, do tego słodkie batoniki i colę. Mineralna w poprzednim sklepie kosztowała 30 koron, czyli około 15 złotych, tu jej cena wynosi 5 koron, czyli 2,50 zł. Jest także duńskie piwo, więc biorę sześciopak. Piwo kosztuje około 12 koron za sztukę, czyli 6 złotych. W poprzednim sklepie było dwa razy droższe. Niech mi ktoś powie, że mu to nie robi różnicy.

Widok z góry na kopenhaskie planetarium.

Skandynawię uznaje się za jedną z droższych części Europy. Na szczęście dla turystów chcących bliżej poznać Danię jest ona najtańsza ze wszystkich krajów skandynawskich. Trzeba tylko uważać, w jakim sklepie robi się zakupy. Jeśli w 7-Eleven, marża będzie bardzo wysoka. Ale w dyskoncie Netto mamy gwarancję, że nie zbiedniejemy za mocno. Ta sama woda kosztowała w pierwszym sklepie 30 koron, a w drugim zaledwie 5. Przy tradycyjnym dzieleniu na pół dawało to odpowiednio 15 złotych i 2,50. Bez komentarza. Podobno mieszkańcy najchętniej piją

wodę z kranu, która jest dobra i zdrowa, ale nie będę sprawdzał. Może są to podróże tanie, ale nie dziadowskie.

Wracamy do pokoju i idziemy się pojedynczo myć do łazienki na korytarzu. Jak zwykle nikt nie ma problemów z zaśnięciem, bo zmęczenie daje o sobie znać. Zapomniałem ręcznika, dopiero teraz to widzę. Postanawiam przeznaczyć na ten cel prześcieradło. Już tak kiedyś robiłem, z dobrym skutkiem. Ba, nawet zdarzyło mi się wytrzeć papierem toaletowym. Z braku laku też dał radę. Wysuszony i zmęczony kładę się na najniższym poziomie. Krzysiek już śpi, ma chyba najszybszy czas zasypiania, Hania także nie potrzebuje zachęty. Wkładam zatyczki do uszu. Jakoś mnie uspokajają, łatwiej mi w nich przespać całą noc. Tak jest i tym razem.

– Pobudka.

To jest najgorszy moment w trakcie każdej wyprawy. Choćbym nie wiem, jak słodko śnił, dźwięk budzika jest dla mnie niczym koszmar. A wstajemy wcześnie. W trakcie wyjazdów z kamerą każda minuta jest cenna.

Ponownie ogrywamy pokój, bo skoro kupiłem poprzedniego dnia składniki na śniadanie, to można je od razu pokazać w obiektywie. Śniadanie, po duńsku *morgenmad*, to najczęściej jogurt, ser z dżemem, jajka na miękko i marynowane śledzie. Pycha, zwłaszcza te śledzie na przebudzenie. Niestety, ja mam tylko parówki. Przy okazji patrzę na mapę, by sprawdzić, czy opłaca się dojść do pomnika Syrenki, czy lepiej tam pojechać. Można iść.

– To zaledwie kilka kilometrów. Nawet da się to zmierzyć parówkami, wychodzi półtorej. Zajdziemy tam szybko, a przy okazji możemy filmować, co się napatoczy.

Wszystko pięknie, tylko pogoda jest do… bani. Mimo czapki i rękawiczek trzęsę się z zimna. O spacerze nie ma mowy. Narzucamy szybkie tempo. Jak wiadomo, temperatura w kraju zależy od termometru.

– Boże, jak zimno.

– Jest około zera, nie narzekaj.

– Ale jakoś tak mokro. I ciapowato.

W Kopenhadze panuje klimat morski. To oznacza częste opady i wilgoć. Nawet w najcieplejszych miesiącach, lipcu i sierpniu, deszcz potrafi zepsuć każdy weekend. Na osłodę można powiedzieć, że skoro lata są chłodne, to zimy łagodne.

Tym razem trafiamy jednak na ten gorszy okres. Wiosną i latem musi tu być pięknie, teraz najprzyjemniej siedzieć w jakimś ciepłym miejscu przy kawie i kanapkach. Na razie o tym muszę zapomnieć. I przypomnieć sobie stare powiedzenie, które często przytacza Tomek Zubilewicz.

Nie ma złej pogody, jest tylko nieodpowiednia odzież.

Pędzimy pod Syrenkę. Po drodze mijam kanał portowy Nyhavn. Nie sposób być w Kopenhadze i na niego nie trafić. Biegnie przez całe miasto i stanowi bramę od morza do starego centrum miasta przed Kongens Nytorv. Podobno kiedyś cieszył się złą sławą, ale teraz jest jedną z wizytówek miasta. Pełno tu barów, pubów i kafejek. Dookoła przemykają rowerzyści. To bardzo popularny sposób komunikacji. Wszyscy jadą opatuleni, nie zważając na niesprzyjającą pogodę. Podoba mi się to, nie ukrywam. Ukrywam za to twarz przed wiatrem. Nie cierpię nosić szalika, ale teraz bym się skusił. Na szczęście na końcu ulicy wystarczy skręcić w lewo i już dochodzi się do portu.

Pomnik inspirowany baśnią Andersena znajduje się kilka kilometrów od nas. W normalnych warunkach to spacer na ponad godzinę. Narzucam jednak szybsze tempo, więc jesteśmy tam mniej więcej po 45 minutach.

Syrenka, ale nie warszawska.

Syrenkę ufundował Carl Jacobsen, syn założyciela browaru Carlsberg. W Polsce często próbujemy tego złocistego trunku z Danii, nie mając pojęcia o jego historii. Odsłonięta w 1913 roku statua przyciąga turystów z całego świata. Co rusz podjeżdżają z szumem kolejne autobusy i gromady roześmianych turystów szykują aparaty i telefony komórkowe. Też robię sobie kilka fotek. Gdyby było słońce, miejsce na pewno zyskałoby na atrakcyjności.

– Pomnik jak pomnik.

– Pewnie przez tę pogodę nie powala na kolana. – Ale ogólnie to bardzo przyjemne miejsce. Podobnie jak cały park. Jestem, co prawda, trochę za stary na baśnie Andersena, jednak postać

Syrenki to coś więcej niż tylko dzieje znanego baśniopisarza. Chodzi o dzieciństwo, które z biegiem lat coraz bardziej się idealizuje. Podwórko, zabawa, szczenięce lata, jakby napisał Makuszyński. Bez zamartwiania się o codziennie kłopoty. A postać z opowieści mistrza Andersena sprawia, że na wspomnienie pierwszych czytanek żywiej bije serce. Każdy ma swoją prywatną małą syrenkę w sercu. Ja mam *Chłopaków w sofixach*.

W drodze powrotnej Hanka upiera się, żeby złapać autobus. Jednak na przystanku nic nie pojawia się przez kilka minut. Ponadto zauważam, że na sąsiedniej ulicy znajduje się kolejna wizytówką Kopenhagi. Tym razem kulinarna.

Ida Davidsen. Królowa kanapek.

Ida Davidsen.

Na świecie jest pełno lokali, w których serwuje się dobre kanapki. Żadne nie będą jednak tak smakować jak te. Nie do końca wierzę w opisy, ale traktuję je z uwagą, a lokal rzeczywiście łatwo przegapić. Zwłaszcza że solidne duńskie pożywienie jest świeże i przyrządzone w prosty sposób, bez chemicznego przetwarzania.

– Dzień dobry. Czy pani jest tą słynną Idą Davidsen?

– Mam nadzieję.

Starsza dama uśmiecha się szeroko. Bije od niej dobra energia. A jeszcze bardziej miło robi się po obejrzeniu menu.

– Spójrz. To wszystko serwujemy każdego dnia. Mamy 177 pozycji. Pierwsze z nich to *smørrebrød*. Cienka kromka chleba z jajkiem albo marynowanym śledziem. Może być także salami, ikra, wędzony łosoś. Wszystko zależy od inwencji.

Przyglądam się nie tylko poszczególnym pozycjom, lecz także poszczególnym cenom. Niektóre mogą przyprawić o drżenie serca. Postanawiam jednak, że tym razem nie będę oszczędzał, i jeśli mam spróbować, zrobię to, choćby nie wiem co. Każdemu należy się od czasu do czasu odrobina luksusu.

– No i jak?

– Moment, daj mi jeszcze spróbować pozostałych składników.

Specjalnie nie odpowiadam od razu. Chcę się rozsmakować.

– To jest rewelacja. Małe ilościowo, za to znakomite jakościowo.

Trudny wybór.

Proste smaki, ale podane w takiej kompozycji, że masz pewność jedzenia i smacznego, i zdrowego. Jeśli będę ponownie w Kopenhadze, na pewno tu przyjdę. Na bank.

– No dobrze, odpoczęliśmy, zjedliśmy, a teraz lecimy dalej.

Hanka przypomina, że nie przyjechaliśmy tutaj na wypoczynek. Co byśmy bez niej zrobili? Faktycznie, minęła 12.00, a o 15.30 mamy umówionego busa do Malmö.

– Trzeba jeszcze zobaczyć najdroższą restaurację świata. Jedźcie tam metrem.

Nie jesteśmy daleko, ale ponieważ Christiania jest po drugiej stronie kanału, nie ma sensu szukać mostu i zasuwać te kilka kilometrów. Zwłaszcza że to tylko jeden przystanek.

Metro w Kopenhadze ma tylko dwie linie. Dzięki temu łatwo odnaleźć żądaną stację. Nasza to Kongens Nytorv. Biegną przez nią obie linie, zarówno zielona M1, jak i żółta M2. Podobnie jak przez następny przystanek – Christianshavn. Trzeba tylko upewnić się, że jedziemy w dobrym kierunku. Torowisko jest oddzielone od peronu szklaną ścianą, w której znajdują się

drzwi otwierające się synchronicznie z drzwiami w pociągu. Widziałem podobne rozwiązanie w Paryżu i Brukseli.

Restauracja z gwiazdami.

– Nie jestem pewien, czy tych biletów nie należało gdzieś skasować.

Krzysiek rozgląda się po wagonie.

– Ja też nie wiem, ale nie ma czasu na szukanie. Zresztą napisano na nich, że są ważne przez 90 minut od momentu wydrukowania. Jeśli zatem pośpieszymy się z nagraniem, wrócimy za tę samą cenę.

Christianię otacza legenda. Wolne miasto, ośrodek ruchu hippisowskiego i kultury alternatywnej. O tej porze wygląda zupełnie zwyczajnie. Może zawsze tak się prezentuje – nie wiem, czego się spodziewałem. Kilkaset metrów od stacji jest restauracja Noma. Niepozorny budynek, bo to odrestaurowane magazyny

dawnej floty handlowej. Ale ponoć nie suknia zdobi człowieka. Noma została nazwana najlepszą restauracją na świecie przez brytyjski magazyn „Restaurant”. Stolik trzeba rezerwować kilka miesięcy wcześniej, a chcąc zjeść obiad, należy się liczyć z wydatkiem co najmniej tysiąca złotych. Ceny trzykrotnie przewyższają te obowiązujące w innych restauracjach, dlatego że część składników jest bardzo kosztowna – jakieś zboża, dzikie zioła, dzikie węże itp. Restauracja zamyka podwoje w poniedziałki.

– No i całe szczęście, że dziś poniedziałek.

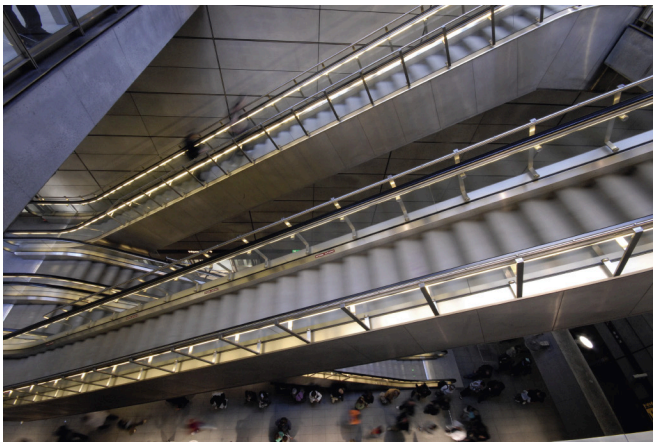

Metro w Kopenhadze.

Wracam na stację metra. Faktycznie, udało się zmieścić w wyznaczonym czasie. Ponownie Kongens Nytorv i powrót na Strøget. Przy skrzyżowaniu Vesterbrogade i bulwaru Andersena rozciąga się plac, na którym wznosi się miejski ratusz oraz pomnik znanego baśniopisarza. Pamiątkowe zdjęcie i marsz do autobusu.

– Kopenhaga jest piękna, ale pogodę ma do d…

– Do niczego – podpowiada Krzysiek.

– Do niczego – powtarzam bez grymaszenia.

Przecieram obiektyw kamery, bo znów zaczęło padać. Zimno. Mam wrodzony wstręt do noszenia szalika. Teraz by się przydał. Na szczęście kierowca już czeka. Można się zagrzać we wnętrzu busika. Za chwilę ruszamy. Po drodze kierowca zamienia się w przewodnika i opowiada o cieśninie Sund. Nieste-

ty, pogoda znów nie dopisuje, widać tylko linię brzegową. Liczyłem, że przy wjeździe do Szwecji ujrzymy Turning Torso, trzeci co do wysokości obiekt mieszkalny w Europie, stojący w Malmö. Ma 54 piętra, ale nawet one nie są w stanie przedrzeć się przez mglistą zasłonę. Może następnym razem. Szwecja zawsze jest ciekawa.

Powrotny lot trwa godzinę i pięć minut. Łatwizna. Mimo krótkiej podróży udaje mi się zmęczyć na PDF-ie *Lux Perpetua*, ostatni tom trylogii husyckiej Andrzeja Sapkowskiego. Cały cykl zajął mi łącznie około dwóch lat, głównie dlatego, że czytałem go z doskoku. To dobra literatura, ale też niezłe opisy średniowiecznych Czech, które wydają się kuszące sprawdzenia. Muszę pamiętać o tym kierunku w jednej z kolejnych podróży. Na razie udaje mi się na chwilę zasnąć, jeszcze zanim maszyna dotknie kołami ziemi.

Podsumowanie:

Na Kopenhagę ostrzyłem sobie zęby od dawna, ale mimo niewielkiej odległości od Polski, wydawała mi nieosiągalna. Za drogo i za zimno. Dopiero po odkryciu możliwości podróżowania tanimi liniami przez Malmö okazało się, że mogę doświadczyć jej uroków. A temperatura była wyższa niż w Polsce. To piękna stolica, z atrakcjami dla turysty w każdym wieku. I podobnie jak reszta Skandynawii pokazująca, że pomimo drożyzny, można w niej nie tylko spokojnie przeżyć na wikcie z hipermarketów, lecz także bez problemów znaleźć tani nocleg w jednym z licznych hosteli w centrum.

Co kręci:

Spokój. Dla osób poszukujących pięknych miejsc i towarzystwa szczęśliwych ludzi Kopenhaga jest idealną miejscówką. Duńczycy przodują w rankingu bycia zadowolonym. Warto im uszczknąć trochę dobrego humoru.

Język. Choć jest trudny, wszędzie można się dogadać po angielsku. Pod tym względem Skandynawia nie ma sobie rów-

nych. Na pewno mówi się tu lepiej po angielsku niż w Polsce.

Ludzie. Życzliwi, czasem powściągliwi, niecierpiący niepunktualności. Perfekcjoniści w pracy, prywatnie biesiadnicy. Kierują się tzw. prawem Jante, stworzonym przez pisarza Aksela Sandemosa. Polega ono na tym, że mniejszość powinna się dostosować do większości i uszanować jej zdanie. Czyli podstawy demokracji.

Co wkurza:

Jak zwykle w Skandynawii – ceny. Podobnie jak w Szwecji, chodzenie do knajp w Kopenhadze może zrujnować budżet. Za to koszty żywności w sklepach są tylko nieznacznie wyższe niż w Polsce. Dlatego lepiej równoważyć siedzenie w lokalach z zaopatrzeniem w dyskoncie, a tych na kopenhaskiej starówce nie brakuje. Odradzam 7-Eleven – bardzo wysoka marża. Proponuję lokalną sieć Netto. Są także Aldi i Lidl, Fakta i Rema 1000. Można nabyć wszystko, co potrzebne. Dania ma smaczne pieczywo, wędlina też jest niezła. Popijane carslsbergiem, zmieniają się w wykwintne danie.

Cennik:

- Chleb: 5 DKK.
- Parówki paczkowane: 10 DKK.
- Piwo: 20 DKK.
- Heineken, sześciopak: 30 DKK.
- Woda mineralna: 6 DKK.
- Sok: 8 DKK.
- Coca-cola: 10 DKK.
- Papierosy: 35 DKK.
- Chipsy: 9 DKK.
- Czekolada: 10 DKK.

POSŁOWIE

KUPUJEMY BILET

W tym miejscu robimy mały postój. Mam nadzieję, że opis przygód zachęcił cię do ruszenia czterech liter, a przedstawione sytuacje rozwiały twoje obawy przed ryzykiem wyruszania w nieznane. Poznałeś mnie i naszą ekipę. Dowiedziałeś się, gdzie lecieliśmy i co udało nam się zobaczyć w krótkim czasie. Przede wszystkim jednak zrozumiałeś, że warto zakasać rękawy i wziąć się do szukania biletów. One istnieją, tylko jak każdy chodliwy towar nie czekają długo na klienta. Jeśli nie dziwisz się, dlaczego znika świeże pieczywo w twojej ulubionej piekarni, to nie bądź zaskoczony, że to samo dzieje się z miejscówkami.

My wciąż podróżujemy, ty możesz do nas dołączyć. A jeśli dotarłeś tak daleko, to przejrzyj jeszcze garść konkretnych, no-

men omen, porad, dzięki którym będziesz lepiej przygotowany do łowów. Oto one:

CENA
CZYNI CUDA

Najtańsze bilety na samolot kupiłem za 2 złote w obie strony, z Warszawy do Sztokholmu. Najdroższe, na Sardynię z Berlina i z powrotem, znalezione przez Hanię, kosztowały 200 złotych. Podróżuję kilka razy w miesiącu, czasem na weekend i wracam w poniedziałek do pracy, a niekiedy w środku tygodnia. Dopasuj sobie odpowiednią wersję.

Loty wyszukuję alfabetycznie, na przykład Warszawa–Budapeszt, Warszawa–Charków itd., i wybieram najniższą cenę. Jeśli lokalizacja przykuje moją uwagę, wtedy sprawdzam godzinę odlotu i czas dojazdu z lotniska do miasta. Zatem otwórz sobie jedno okno w Wizzairze, a drugie w Ryanie i sprawdzaj po kolei, co w interesującym cię terminie leci najtaniej z miasta, z którego chcesz wyruszyć. Jeśli znajdziesz, zapisz na kartce i szukaj dalej, może natrafisz na coś jeszcze tańszego. A jeżeli powrót jest za drogi (przewoźnicy często dają na zachętę tani kierunek tylko w jedną stronę), to poszukaj tego samego połączenia u konkurencji.

Nie zawsze obie firmy mają bazy w tym samym miejscu. Oslo Torp może brzmieć podobnie jak Oslo Rygge, ale to dwa krańce państwa. Za to Liverpool jest oddalony tylko o 50 minut od Manchesteru. Zatem można spokojnie łączyć ten dojazd, co zwiększa szansę na upolowanie tanich przelotów. Nauczysz się tego w mig. Na razie masz kupić jedno połączenie, żeby sprawdzić wszystko w praktyce.

Generalnie staram się nie kupować biletów w cenie powyżej przejazdu koleją po Polsce. Pomaga **www.azuon.com**. Pełna wersja jest płatna, ale korzystam z darmowego demo: do tanich lotów wystarcza.

PLANUJ!
CZYLI KIEDY I JAKIE PROMOCJE NAJŁATWIEJ USTRZELIĆ

Ogólna zasada jest prosta. Najłatwiej kupić Skandynawię, najtrudniej Hiszpanię i Portugalię. Jednak kto szuka, nie błądzi. Bądź częstym gościem na stronach. Dzięki temu codziennie będziesz wzbogacał wiedzę i zmieniał się z amatora w fachurę.

Przypomnę: ponieważ samolot jest najtańszym środkiem transportu, wyszukuję newsy o promocjach na **www.mleczne-podroze.pl**, **www.fly4free.pl** i **www.loter.pl**. Zapisałem się do newsletterów – zdarza się, że promocje wpadają o drugiej w nocy, a warto być pierwszym. Czytam też fora dyskusyjne – to kopalnia wiedzy o najtańszym dojeździe z lotniska do miasta oraz darmowych atrakcjach do zwiedzania. Nie faworyzuję żadnego środka transportu, spóźnił mi się zarówno samolot tanich linii, jak i regularnych. Ja chcę tylko jak najtaniej dolecieć, a darmowa kanapka mnie nie interesuje – mam swoją.

Sprawdzam też lokalizację punktów informacji turystycznej i przyglądam się miastu na **www.google.maps.pl**. Ostatnio odkryłem serwis **www.radzsobie.pl**, z gotowcami, jak przetrwać w obcych stolicach. Przydał się w Stambule. Zatem szukaj i eksploruj. Czytaj przewodniki po miastach i zbieraj własną kolekcję książek podróżniczych. Nie musisz wydawać majątku, na Allegro są egzemplarze w cenie kilkunastu złotych. A jeśli nie przeszkadza ci brak wersji papierowej, w Internecie znajdziesz je za darmo.

KUPUJEMY BILET

Jak planować? Najtańsze bilety z reguły oferuje się z dwu-, trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Najdroższe są na jutro. Loty od piątku do niedzieli na ogół mają wyższą cenę niż w poniedziałki czy wtorki. Jednak niezależnie od daty kupowanie biletów to przede wszystkim umiejętne zbijanie kosztów. Dlatego kupuję je wyłączenie bezpośrednio u przewoźnika i nie ma znaczenia, czy to **www.wizzair.com**, **www.ryanair.com**, **www.easy-**

jet.com czy **www.lot.pl**. Nie korzystam z pośredników, dzięki temu oszczędzam na prowizji, wynoszącej nawet kilkadziesiąt złotych. Innymi słowy – po chleb idę prosto do piekarni. Jeśli zaglądam na **fru.pl**, **tanie-loty.com** czy **lataj.pl**, to tylko po to, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie ma promocji, której nie zauważyłem. Jeśli tak, wracam na stronę przewoźnika i dokonuję zakupu.

Lecę z bagażem podręcznym, bo jest bezpłatny, i nie zamawiam większej przestrzeni na nogi czy funkcji przypominania lotu SMS-em. Żadnych wodotrysków, to tylko dwie godziny lotu, a rzadko trafiam na komplet pasażerów, więc rozkładam się na trzech miejscach. Bagaż to niezła pułapka, bo klient ma opory, żeby wybrać opcję „lecę bez bagażu". Tymczasem chodzi o to, że „bez bagażu" oznacza bagaż podręczny, czyli plecak do 10 kilogramów. Wystarczy ci, nie obawiaj się; zważ sobie na wadze w domu, ile można w tym przedziale zmieścić.

Reszta procesu kupowania to umiejętne odmawianie. Nie chcę niczego, co proponuje mi system. Nie uginam się przed propozycjami nie do odrzucenia.

Ryanair

Trzeba się mocno pilnować. Szczególnie ważna jest opcja w trakcie wybierania ubezpieczenia – większość, przestraszona, klika „Polska" i z przerażeniem widzi, że niewielka cena zostaje gwałtownie powiększona o koszty usługi. Tymczasem chodzi o to, żeby zaznaczyć opcję „Ubezpieczenie podróżne nie jest wymagane".

Przewoźnik tego nie podpowie, to nie jest w jego interesie. Chce zarobić na wszystkim. Dlatego przyszykował kolejną pułapkę. Za chwilę wyświetla się wielki napis: „Czy na pewno nie chcesz ubezpieczenia?". I odpowiedź do wyboru: „Tak" albo…?

No właśnie – wystarczyłoby zwykłe „Nie", ewentualnie „Nie, dziękuję". Jednak w tym wypadku naszym oczom ukazuje się napis czcionką, którą można dostrzec chyba nawet z kosmosu: „Nie, dziękuję, ZARYZYKUJĘ".

ZARYZYKUJĘ.

Jak to brzmi? Jak prośba o kłopoty. Nikt ich nie chce, dlatego właśnie teraz najwięcej osób wymięka. Tymczasem trzeba właśnie wybrać tę opcję, żeby spokojnie przejść do kolejnego etapu. Więc „ryzykuj" i nie przejmuj się tanimi sztuczkami. Cena na końcu ma być taka jak na początku. Proces jest stosunkowo mało przyjazny, ale można go ogarnąć. Zasada ogólna brzmi: na wszystkie sugestie odpowiadamy „nie".

Wizzair

Tu jest o tyle lepiej, że po założeniu własnego konta widać w historii, jakich rezerwacji się dokonało. Zanim to zrobiłem, płaciłem za bilety przelewem. Potem odkryłem, że przewoźnik ma własną kartę powiązaną z bankiem CITIBANK. Warto ją wyrobić, bo po pierwsze, MasterCard pozwala na płacenie w Polsce i na świecie z pocałowaniem ręki, a po drugie, dzięki niej zbiera się punkty, które zostają przerzucone na twoje osobiste konto w Wizzairze, i możesz nimi płacić za loty. To jakby program lojalnościowy, dzięki któremu im więcej płacisz, tym więcej dostajesz.

Ja płacę za benzynę, za mieszkanie, codzienne zakupy. Każdą płatność realizuję kartą CITI. Z mojej karty w Millennium nie mam żadnych profitów, a tu zbieram miesięcznie sumę, która pozwala mi latać liniami Wizzair ZA DARMO. Policz, ile płacisz miesięcznie na życie i pomysł, że ktoś ci będzie z tego oddawał procent, całkowicie za darmo.

„Jak to – zapytasz – nie trzeba płacić?". Nie, jeśli spłacisz kredyt do 54 dni. Czyli jeżeli płacę za benzynę, powiedzmy, 200 złotych, potem robię przelew ze swojego banku i wyrównuję rachunki. Utrzymuję ZERO na karcie i nie ponoszę kosztów, a wręcz zarabiam.

„No tak – powie ktoś – ale tylko przez rok, potem naliczają 9 złotych miesięcznie". Odpowiem tak – zadzwoń po roku i powiedz, że chcesz kolejny za darmo. Jeśli nie, to dziękujesz za usługę. DADZĄ CI ZA DARMO. Oni zarabiają na każdej twojej transakcji, nie od ciebie, lecz od sklepów, w których płacisz. Nie

chcą tracić klientów, więc powiedzą ci, że przedłużają, a jakże. Pamiętaj: NIE PŁACISZ I NIE ZAPŁACISZ.

A kiedy jest najtaniej? Podstawowa reguła brzmi: NIE MA REGUŁY. Hania kupiła Ibizę za niecałe 200 zł na pół roku przed lotem, a ja znalazłem kiedyś Szwecję na kilkanaście dni naprzód. Generalnie, najwięcej promocji wpada na dwa–trzy miesiące przed dzisiejszą datą. Sprawdź sobie w systemie i porównaj.

Po kupieniu biletu weryfikuję dojazd do centrum, bo co prawda w Budapeszcie jedzie się miejskim autobusem jak w Warszawie, ale już z Beauvais do Paryża musiałem wybulić 15 euro. Podobnie z Nyköping do Sztokholmu jest ponad 100 km, więc przepłaciłem w dniu wyjazdu za miejsce w busie 60 złotych, zamiast wcześniej przyjrzeć się tańszym połączeniom na stronie szwedzkich kolei: **http://www.sj.se/**.

Nie trzeba kupować biletów z półrocznym wyprzedzeniem; czasy, kiedy obowiązywała zasada „im wcześniej, tym taniej", dawno minęły. Właściwie regułą jest, że nie ma reguły. Tylko linie wiedzą, na jakich trasach mają pełne obłożenie, a gdzie muszą się mocniej postarać, żeby mieć komplet pasażerów. Dokładnie odwrotnie niż polska kolej. Nowe linie autobusowe funkcjonują w podobny sposób. Nie ma stałej ceny – ta zmienia się w zależności od terminu wyjazdu. Im wcześniej, tym taniej, choć bywają wyjątki.

Na początku książki pisałem, że nie tylko samoloty się liczą. Autobusy to również potęga. Oprócz Simple Express mamy Polskiego Busa i stare poczciwe PKS. A na osoby zamierzające zwiedzić południową Europę, Słowację, Węgry i Rumunię czeka węgierska linia Orangeways, która ma przystanek w Krakowie. Jest też masa przewoźników regionalnych. Neonet, Albatros czy Muszkieter mają strony internetowe i czekają na twoje zgłoszenie.

Najtrudniej znaleźć promocje na pociąg. Wynika to z faktu, że póki nie zostaną uwolnione polskie tory, jesteśmy skazani na firmę, która choć podzieliła się na niezależne spółki, nie umie trafić z czytelną ofertą do klienta. Musisz zatem przeglą-

dać strony **www.intercity.pl** i **www.przewozyregionalne.pl**. Pomocna jest aplikacja bilkom, która gromadzi wszystkie kierunki i pozwala jako tako zorientować się w gąszczu niejasności, jaki zafundowało nam odchodzące w cień niesławy PKP.

NASTĘPNY LEVEL, CZYLI KUPUJEMY SKŁADAK

Jeśli opanowałeś kierunki podstawowe i wiesz już, jak dostać się do celu i wrócić za dzień czy dwa, pora, żebyś wiedział, w jaki sposób kupować połączenie łączone. Czyli przykładowo, jeśli chcesz się dostać z Warszawy do Belgradu, musisz wcześniej zahaczyć o Oslo. Pozorny paradoks, ale patrząc na ceny połączenia z Warszawy do Sandefjordu, a potem z Sandefjordu do Belgradu, zrozumiesz, że jest to dużo tańsze i fajniejsze niż bulenie bajońskich sum za bezpośredni przelot.

Podobnie jeśli chcesz lecieć na przykład z Warszawy do Poznania, wspomniany Sandefjord daje ci szansę na poznanie miasta. Oczywiście pociągiem będziesz za trzy godziny, a samolotami zajmie ci to cały dzień. Ja jednak wolę, jeżeli się nie śpieszę, dolecieć sobie do Wrocławia czy Szczecina, przesiadając się w portach norweskich lub angielskich, w ekstremalnych przypadkach nawet na nich nocując. Wybór należy do ciebie.

CO ZABRAĆ I JAK SIĘ PAKOWAĆ?

Co się przyda, a z czego można zrezygnować bez żalu? Sposób pakowania rzeczy jest równie ważny jak kupno biletów. Nie w kosteczkę, tylko w rulonik – jak twister w KFC, wtedy wchodzi więcej do małej powierzchni. Sprawdzone. Ważne, żeby wszystko nie ważyło więcej niż 10 kilogramów.

Nie używam walizek ani niczego ze stelażem. Tylko plecak zgodny z wymiarami tanich linii zapewnia brak opłaty za bagaż i wolne ręce. W Ryanie wynoszą one: 55 cm x 40 cm x 20 cm, a w Wizzie: 42 cm x 32 cm x 25 cm. Kiedyś poszedłem do sklepu z linijką i wybrałem jak największy plecak, z masą kieszeni i zasuwek. Używam lekkiego tableta, bo muszę mieć kontakt

ze światem i książki w PDF-ie na czarną godzinę. Ciuchy pakuję zwinięte w rulon, kosmetyki wkładam do plastikowego woreczka, zbieram też saszetki z hoteli – przydają się na kolejną wyprawę. Spokojnie mieszczę się w dozwolonych dziesięciu kilogramach i zostaje jeszcze sporo miejsca na upominki.

SZUKAJ NOCLEGU

Jak znaleźć i zarezerwować najtańsze noclegi? Najczęściej sypiam w niedrogich hostelach. Znajduję je na **www.booking.com** albo jeszcze lepiej **www.trivago.pl**. Niedawno odkryłem **www.hotelcalculator.com**, który sprawnie przelicza ceny. Wybieram noclegi z opcją bezpłatnego anulowania rezerwacji, bo chcę mieć możliwość zmiany planów. Zdarzyło się raz, że hotel pod Brukselą ściągnął mi bezprawnie należność. Co prawda wyjaśniłem pomyłkę, ale zajęło mi to kilka miesięcy.

Fajną rzeczą jest nocowanie na lotniskach. Jeśli obsługa nie wyrzuca na zewnątrz, można skorzystać z łazienki i wygodnie rozłożyć się przy grzejniku. Na **www.sleepinginairports.net** sprawdzam, czy dany port jest przyjazny dla podróżnych, a potem uśmiecham się z sympatią do obsługi, żeby mnie zostawiła w spokoju.

NA ZAKOŃCZENIE

I jeszcze jeden ważny drobiazg. Ponieważ mimo istnienia wspólnej waluty, wciąż kilka krajów (niestety) używa pieniędzy narodowych, czasem ciężko przeliczyć w głowie wszystkie ceny. W tej kwestii nieocenione jest Google. Wystarczy wpisać dowolną sumę i symbol waluty, a przeglądarka od razu wyświetli przelicznik na złotówki. Zatem w przypadku 100 funtów wpisujemy 100 GBP i wciskamy enter, podobnie 100 lei, czyli 100 RON, albo 100 koron szwedzkich – 100 SEK itd. W przypadku niepamiętania symbolu waluty wyszukiwarka również pomoże w podpowiedzi.

ZAMIAST POSŁOWIA

RADY PORADY, CZYLI JAK PODRÓŻOWAĆ Z GŁOWĄ

Nie podróżuj z walizką, nawet jeśli ma najpiękniejsze kółeczka świata. Plecak lepiej spełni swoją rolę. Można go nosić na plecach albo przerzucony przez ramię, a ręce pozostaną wolne. Poza tym taki bagaż jest łatwiejszy do uformowania. Da się go odpowiednio ścisnąć lub rozepchać.

Jeśli wiesz już, że plecak jest twoim przeznaczeniem, wyszukaj go, z linijką w ręku. Niech będzie jak największy z możliwych, a zarazem zgodny z wymiarami. Przypomnę, że w Ryanie wynoszą one 55 x 40 x 20 centymetrów, a w Wizzie: 42 x 32 x 25 centymetrów. Linijka naprawdę się przyda – po co przekroczyć

wymiary, a potem się martwić, czy nie każdą zapłacić za nadbagaż.

Niech plecak ma jak najwięcej kieszeni i zasuwek. Przydają się na różne rzeczy: butelki z napojami, batoniki, gazety – nigdy nie wiadomo, co będziesz ze sobą niósł.

Podróżuj podłączony do Sieci. Jeśli nie masz wypasionego telefonu, zaopatrz się w tablet, ewentualnie netbooka. Laptopy są za ciężkie. Ja używam iPada, ale nie ma znaczenia, czy wolisz Samsunga, Sony czy Motorolę. Ważne, żeby tablet był jak najlżejszy. Dzięki temu waga bagażu wzrośnie zaledwie o pół kilograma, a zyskasz dostęp do Sieci wszędzie tam, gdzie jest WiFi. Ponadto przestajesz od tej pory wozić ze sobą książki, gdyż możesz korzystać z wersji elektronicznych.

Zabierz ze sobą tylko potrzebne rzeczy. Jeśli podróżujesz latem, najwyżej lekki sweter, ewentualnie ortalionową kurtkę, zimą sweter miej na sobie. Skoncentruj się głównie na bieliźnie, bo nigdy nie wiadomo, czy będziesz miał okazję ją wyprać i wysuszyć. Ile dni, tyle par majtek, skarpety dzielone przez dwa.

Nie pakuj rzeczy w kostkę, tylko w rulony. Nieważne czy koszulka, czy ręcznik, zwiń go tak, jak robiłeś marchewkę na obozie, żeby obić kolegę. Jeśli to ciebie bili, tym lepiej wiesz, jak to się robi.

Pamiętaj o wadze maksymalnej – 10 kilogramów to 10 kilogramów. W praktyce nie zdarzyło mi się, żeby mieć kłopoty z nadmiarem. Mimo to, przy wyjeździe dłuższym niż trzydniowy, dla pewności w domu stawiam bagaż na wagę. Stawiaj i ty. Jeśli nie masz wagi, kup ją albo niech ci kupi matka. Najtańsze modele kosztują grosze.

Zbieraj w hotelach wszystko to, co dają za darmo. Saszetka z szamponem albo płynem do ciała przyda ci się na inny wyjazd. Kosmetyki przechowuj w jednym foliowym woreczku, w wierzchniej kieszeni, zawsze łatwej do otworzenia. Dzięki temu możesz umyć zęby albo użyć dezodorantu w każdym porcie lotniczym, jeśli przyjdzie ci czekać na samolot.

To samo dotyczy saszetek z kawą i herbatą – miej je przy sobie. Nie zawsze w miejscu, w którym przebywasz, jest jeszcze

czynny sklep, a ze znalezieniem wrzątku nigdy nie ma problemu.

Korzystaj z drogerii na lotniskach. W każdej podróży psikaj się kosmetykami, których zapach cię kręci. Dzięki temu poznasz poszczególne marki i zorientujesz się, co wybrać na prezent, a poza tym zawsze będziesz ładnie pachnieć.

Na terminalach zawsze są jakieś promocje kulinarne. Nie wstydź się poczęstować czekoladą czy kroplą alkoholu. Przyda się każda kaloria, więc jeśli ktoś oferuje ją za darmo, grzechem byłoby nie skorzystać. Postępuj dokładnie tak, jak bohaterka *Igrzysk śmierci*. Jeżeli jest woda, trzeba ją wypić – nie wiadomo, kiedy będzie następna.

Na końcu książki zostawiam puste miejsce. Czeka na twoje notatki. Może lista okaże się o wiele dłuższa, a może tu się właśnie zakończy. W każdym razie będzie bardziej osobista. A o to w tej pasji chodzi. O osobiste doświadczenie, jak wielką przyjemność daje podróżowanie. Od momentu upolowania biletów do chwili, w której kończy się jedna podróż, a ty już myślisz o kolejnej. Zaczynaj.

POSŁOWIE

PO LOCIE I PRZED LOTEM

To zaledwie dwanaście podróży. Ułamek kraju, Europy i świata. Zarazem dobry start, żeby zarazić się tanim podróżowaniem. I poczuć jak wolny człowiek, no i prawdziwy obywatel Europy.

Nie zawsze da się wszystko obejrzeć. To subiektywna relacja z miejsc, do których udało mi się dotrzeć, mając świadomość, że na wiele atrakcji nie starczyło czasu. Pamiętam jednak z dziennikarskiego doświadczenia słowa jednego z mentorów, który zwykł mawiać, że lepszy jest niedosyt niż nadmiar. Dlatego jeśli nawet byłem kilka razy w Londynie czy Budapeszcie, wiem, że kiedy tam wrócę, znajdę nowe miejsca i przeżyję kolejne przygody. A gdybym nawet odwiedził stare kąty, to czy nie robisz tak, jadąc do Krakowa albo Sopotu? To też ma swój urok.

Nie zawsze uda się pojechać za przysłowiową złotówkę. Zawsze jednak nabiera się doświadczenia. To też jest szkoła życia,

nie do porównania z żadną inną szkołą. A jeśli nie możesz zmienić świata, to zmień przynajmniej sposób patrzenia na niego.

Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że dobrnąłeś do końca kursu. Mam nadzieję, że jesteś gotów. Dojrzałeś do podróży i teraz nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zaczął działać. Być może nie uda się dziś, ale chodzi o to, żeby wykonać pierwszy krok.

Wypełnić i wysłać aplikację do banków w sprawie kart.

Przynajmniej zorientować się w cenach biletów.

I nie bój się, że zbankrutujesz – powtarzam to jak mantrę. Nawet w koszmarnie drogiej Norwegii kawa na lotnisku Sandefjord kosztuje 10 złotych, a w Szwecji piwo w markecie – około 6 złotych. Z kolei koszt dojazdu z lotniska Bergamo do Mediolanu wynosi tylko 4–5 euro, a za bilet autobusowy z lotniska w Olbi na Sardynii do centrum płaci się 1 euro. Jako dziecko PRL-u jestem nauczony oszczędności, dlatego wolałbym zarabiać pieniądze w Polsce, a wydawać w Budapeszcie czy Belgradzie, gdzie wszystko jest tańsze o 20–30 procent. Sprawdź na własnej skórze. I przekonaj się, że podróż to jedyny zakup, który czyni cię bogatszym.

To jest tylko propozycja. Każda z wypraw ma charakter skrajnie subiektywny. Niczego nie narzucam, choć polecam z całego serca. Sam jednak wiesz najlepiej, co interesuje cię bardziej, a poza tym po pierwszych lotach zaczniesz tworzyć swoją mapę miejsc do zobaczenia i listę ludzi do spotkania. Niemniej jednak spróbuj skorzystać z podpowiedzi, na pewno nie będziesz żałować. Wkrótce staniesz się ekspertem, i całe szczęście. Lepiej być zawodowcem, niż sprawiać zawód.

W czasie, w którym doczytałeś książkę aż do tego miejsca, tacy zapaleńcy jak my odbyli wiele kolejnych podróży. I wciąż dołączają do nich następni pasjonaci. Zajeżdżeni, zalatani. Przyłącz się do tej grupy: sam, z koleżanką, kolegą, rodziną, jak ci najbardziej pasuje. Ja stosuję wszystkie warianty. Bo zamierzam odkrywać świat pod każdą postacią. Jak mawiał Homer Simpson, chcę nawet oglądać telewizję w innej strefie czasowej. I buszować w nowych, niezwykłych centrach handlowych.

My dolecieliśmy do końca. Ale to tylko przystanek. Może spotkamy się na następnym. Będę czekał.

Jakub Porada

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Zamiast wstępu. Słowa lotne i ulotne
Jak być zalatanym, czyli jak tanio podróżować?
Jak być zalatanym. Na przykład dokąd?
Perły i wieprze. Subiektywne mity o tanim lataniu
Wilno
Białystok
Nyköping
Eindhoven
Londyn
Budapeszt
Bruksela
Paryż
Mediolan
Werona
Rzym
Malmö i Kopenhaga
Posłowie. Kupujemy bilet
Zamiast posłowia. Rady Porady, czyli jak podróżować z głową
Posłowie. Po locie i przed lotem